

Uczucie
& silniejsze
strachu

MARC LEVY



O książce

We wraku samolotu od pięćdziesięciu lat uwięzionym w lodowcu Mont Blanc alpinistka Suzie Baker odnajduje dokument, który może przywrócić dobre imię jej rodzinie. To pozornie niewiele znaczące odkrycie stawia na nogi tajne służby USA. Andrew Stilman, reporter śledczy „New York Timesa”, który niedawno opuścił świeżo poślubioną żonę, nie potrafi na nowo ułożyć sobie życia. Pograża się w depresji, a poczucie winy i beznadziei nieskutecznie topi w alkoholu.

„Przypadkowe” spotkanie w bibliotece łączy losy tej dwójki. Zafascynowany tajemniczą dziewczyną Andrew postanawia jej pomóc. Wraz z Suzie rozpoczyna dziennikarskie śledztwo, które może okazać się największym w jego karierze i... poważnie zagrozić interesom Stanów Zjednoczonych.

MARC LEVY

Uczucie & silniejsze strachu

Z angielskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA



Wydanie elektroniczne

MARC LEVY

Jeden z najlepiej rozpoznawalnych pisarzy francuskich. W wieku 18 lat podjął pracę w Czerwonym Krzyżu. Równolegle studiował zarządzanie na Uniwersytecie Paris-Dauphine.

W 1984 r. wyjechał do USA, gdzie założył firmę zajmującą się grafiką komputerową. Po powrocie do kraju otworzył kolejną, specjalizującą się w architekturze wnętrz. Debiutancka powieść **Jak w niebie** uczyniła go gwiazdą literatury. Przetłumaczona na 38 języków, rozeszła się w 3 milionach egzemplarzy; w Hollywood powstała jej adaptacja z Reese Witherspoon w roli głównej (za prawa filmowe Steven Spielberg zapłacił 2 miliony dolarów!). Łączna sprzedaż książek Levy'ego, m.in. **W następnym życiu, Dzieci wolności, Moi przyjaciele, moje kochanki, Pierwszy dzień, Pierwsza noc, Złodziej cieni, Przeznaczenie, Powtórka i Uczucie silniejsze od strachu** przekroczyła 20 milionów egzemplarzy. „Le Figaro” plasuje go na drugim pod względem poczytności miejscu we Francji (w 2012 sprzedał prawie półtora miliona książek).

www.marclevy.info

Tego autora

JAK W NIEBIE

JESZCZE SIĘ SPOTKAMY

W NASTĘPNYM ŻYCIU

MOI PRZYJACIELE, MOJE KOCHANKI

DZIECI WOLNOŚCI

WSZYSTKO, CZEGO NIE ZDAŻYLIŚMY POWIEDZIEĆ

PIERWSZY DZIEŃ

PIERWSZA NOC

GDZIE JESTEŚ?

ZŁODZIEJ CIENI

PRZEZNACZENIE

POWTÓRKA

UCZUCIE SILNIEJSZE OD STRACHU

Moim dzieciom i żonie

Prolog

Lotnisko w Bombaju, 23 stycznia 1966 roku, trzecia rano. Ostatni pasażerowie lotu Air India 101 idą po płycie lotniska ku schodkom prowadzącym na pokład boeinga 707. W pustej sali odlotów dwóch mężczyzn stoi obok siebie z twarzami zwróconymi w stronę szyb.

– Co jest w tej kopercie?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

– Komu mam ją wręczyć?

– Podczas międzylądowania w Genewie usiądzie pan w barze, żeby się czegoś napić.

Podejdzie do pana mężczyzna i zaproponuje gin z tonikiem.

– Drogi panie, ja nie piję alkoholu.

– No to nie będzie pan pił, popatrz pan sobie na szklankę. Mężczyzna przedstawi się jako Arnold Knopf. Nic więcej nie powinno pana interesować, a wiem, że zachowanie dyskrecji to pana specjalność.

– Nie za bardzo mi się podoba, że wysługuje się pan mną przy załatwianiu swoich ciemnych sprawek.

– Skąd pan wie, że chodzi o ciemne sprawy, drogi panie Adesh? – w głosie George’a Ashtona zabrzmiały nagle nieżyczliwe nuty.

– Dobrze, ale teraz jesteśmy kwita. Po raz ostatni używa pan indyjskiej poczty dyplomatycznej do celów osobistych.

– Będziemy kwita dopiero wtedy, gdy ja o tym zdecyduję. A do pana wiadomości, nie ma nic osobistego w sprawie, do której pana angażuję. Proszę uważać i zdążyć na samolot, będę miał

nieprzyjemności, jeśli znów z mojego powodu pańska podróż się opóźni... i niech pan skorzysta z okazji i wypocznie podczas lotu, nie wygląda pan najlepiej. Za kilka dni będzie pan uczestniczył w konferencji ONZ w Nowym Jorku. Szczęściarz z pana, ja już nie mogę patrzeć na to wasze jedzenie, czasem śni mi się, że stoję na Madison Avenue i jem soczystego hot doga...

Niech pan sobie zafunduje hot doga w moim imieniu.

– Nie jadam wieprzowiny, drogi panie.

– Czasem doprowadza mnie pan do rozpacz, Adesh. No, nic, życzę panu mimo wszystko przyjemnej podróży.



Adesh Shamal nigdy nie spotkał mężczyzny, który miał podejść do niego w barze na lotnisku w Genewie. Samolot wylądował najpierw w Delhi, a potem w Bejrucie, skąd wystartował o trzeciej nad ranem. Zepsuł się jeden z dwóch przyrządów do radionawigacji.

O 06:58:54 wieża kontrolna lotniska w Genewie poleciła kapitanowi, aby po tym, jak przeleci nad Mont Blanc, zszedł na poziom 190.

O 07:00:43 kapitan D'Souza zameldował, że właśnie minął szczyt góry i zaczyna schodzić do lądowania. Genewski kontroler ruchu lotniczego zareagował natychmiast: samolot znajdował się jeszcze pięć mil od masywu górskiego, kapitan błędnie odczytał swoją pozycję!

D'Souza potwierdził przyjęcie tej informacji o 07:01:06.

O 07:02:00, 24 stycznia 1966 roku znacznik lotu Air India 101 znieruchomiał, po czym znikł z ekranu monitora kontrolera ruchu lotniczego w Genewie.

Boeing 707 zwany *Kanczendzongą* uderzył w skały masywu Tournette na wysokości 4670 metrów nad poziomem morza. Z jedenastu członków załogi i stu sześciu pasażerów nie przeżył nikt.

Tak więc szesnaście lat po katastrofie *Malabar Princess* drugi samolot Air India rozbił się w tym samym miejscu o skały Mont Blanc.

24 stycznia 2013

W górach szalała wichura. Przerazające podmuchy wiatru wzbijały śnieg ze zboczy,

tworząc wiry białej zamieci. Dwoje spiętych liną alpinistów nie było w stanie widzieć dalej niż na odległość wyciągniętej dłoni. Fatalna pogoda uniemożliwiała kontynuowanie wspinaczki.

Od dwóch godzin Shamir chciał wracać, ale Suzie uparła się, żeby iść naprzód, udając, że

wycie wiatru zagłusza jego nawoływania do powrotu. Już wcześniej powinni się zatrzymać

i schronić w jamie wykopanej w śniegu. Idąc tak powoli, nigdy nie dotrą do schroniska przed

nocą. Shamirowi było zimno, twarz miał pokrytą szronem i niepokoiło go uczucie drętwienia

w kończynach. Wspinaczka na dużych wysokościach szybko może przeistoczyć się w igranie ze

śmiercią. Z górami nie można się zaprzyjaźnić, jest się tu intruzem i jeśli warunki stają się niebezpieczne, trzeba natychmiast się wycofać. Irytowało go, że Suzie lekceważy wszystko, czego ją nauczył, zanim zgodził się jej towarzyszyć.

Jednak na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów w środku burzy śnieżnej należy

zachować spokój ducha, Shamir więc, aby się opanować, zaczął przywoływać miłe wspomnienia.

Ostatniego lata pojechali z Suzie do Parku Narodowego Arapaho, żeby w ramach treningu

wdrapać się na szczyt Grays. Ale w Kolorado warunki klimatyczne były nieporównywalne

z tymi, które napotkali dzisiejszego wieczoru.

Wspinaczka na Grays stała się punktem zwrotnym w stosunkach między nimi. Po zejściu

zatrzymali się w małym motelu w Georgetown i po raz pierwszy wzięli wspólny pokój. Hotel nie miał żadnego uroku, ale łóżko było wystarczająco duże, żeby zdecydowali się nie wstawać z niego przez całe dwa dni. Dwa dni i dwie noce, podczas których opatrywali rany, zadane im

przez góry. Wystarczy czasem drobny gest świadczący o troskliwości czy krótkie spojrzenie,

żeby człowiekowi wydało się, iż znalazł swojego idealnego partnera. Tego właśnie uczucia

doznał Shamir podczas owej wyprawy.

Rok wcześniej Suzie zadzwoniła do drzwi jego mieszkania z rozbajającym uśmiechem.

W okolicach Baltimore niewielu ludzi się uśmiecha.

– Podobno jest pan najlepszym nauczycielem wspinaczki w całym kraju!
– powiedziała

na dzień dobry.

– Nawet gdyby to była prawda, nie mam się czym chwalić, Maryland jest płaski jak

pustynia! Najwyższy szczyt w tym stanie ma tysiąc kilka metrów, pięcioletnie dziecko może się nań wdrapać bez niczyjej pomocy!

– Przeczytałam na blogu o pana wspinaczkach...

– W czym mogę pani pomóc?

– Potrzebuję przewodnika i cierpliwego nauczyciela.

– Nie uważam się za najlepszego wspinacza w kraju, a poza tym nie jestem trenerem

osobistym.

– Może ma pan rację, ale podziwiam pańską technikę i doceniam bezpośredniość.

Nie czekając na zaproszenie, Suzie weszła do salonu i zaczęła mu

wyjaśniać powody

swojej wizyty. Chciała w ciągu roku zdobyć doświadczenie we wspinaczce wysokogórskiej.

Nigdy dotąd nie wspinała się w wyższych górach.

– Skąd to nagłe zainteresowanie? – spytał Shamir.

– Jedni dostają powołanie do służby bożej, mnie wezwały góry. Śnię o nich co noc.

Widząc siebie wspinającą się po ośnieżonych zboczach w kompletnej ciszy, czuję prawdziwą

ekstazę. Dlaczego mam nie zrealizować tych marzeń?

– Obydwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie – stwierdził Shamir, a widząc jej

powątpiewający wyraz twarzy, dodał: – Mam na myśli powołanie do służby bożej i zew gór. Ale

Bóg jest cichszy, w górach grzmi, szumi, a wycie wiatru czasami paraliżuje ze strachu.

– Do licha z ciszą! Kiedy moglibyśmy zacząć?

– Panno...

– Baker. Ale proszę mi mówić po imieniu – Suzie.

– Kiedy się wspinam, to właśnie po to, aby być samemu.

– Można być samemu we dwoje, ja nie mówię wiele.

– Nie można stać się doświadczonym wspinaczem w ciągu jednego roku, chyba że

człowiek poświęci się temu całkowicie...

– Pan mnie nie zna. Kiedy zdecyduję się na coś, nic mnie nie zatrzyma. Nigdy nie będzie

pan miał ucznia równie zmotywowanego jak ja.

Nauka wspinaczki stała się dla Suzie prawdziwą obsesją. Nie wiedziała, jak go namówić:

powiedziała, że mu dobrze zapłaci, że będzie mógł lepiej żyć na co dzień, odnowić swój dom,

który bardzo tego potrzebował. Shamir przerwał ten potok słów, dając jej to, co ona wzięła za pierwszą lekcję, a co było po prostu zwykłą radą. Gdy stoi się na skalistej ścianie, przede wszystkim należy zachować spokój, panować nad sobą i nad swoimi gestami. Dokładnie

odwrotnie, niż robiła to ona.

Odprawdzając ją do drzwi, obiecał, że się zastanowi i z nią skontaktuje.

Kiedy zeszła ze schodów prowadzących na ganek, spytał ją, czemu wybrała właśnie jego.

Oczekiwał szczerzej odpowiedzi, nie pochlebstwa.

Suzie odwróciła się i popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Na blogu było pana zdjęcie. Spodobała mi się pana twarz, a ja zawsze podążam za

intuicją – rzekła.

I odeszła.



Następnego dnia jednak wróciła. Chciała się dowiedzieć, co zdecydował. Zaparkowała

samochód na platformie dźwigu w warsztacie, w którym pracował Shamir, i zasięgnąwszy języka

u szefa, skierowała się zdecydowanym krokiem do kanału, w którym Shamir spuszczał olej

z jakiegoś starego cadillaca.

– Czego pani tu szuka? – spytał, wycierając ręce o kombinezon.

– Jak pan uważa?

– Powiedziałem przecież, że się zastanowię i do pani zadzwonię.

– Proponuję panu czterdzieści tysięcy dolarów za to, że mnie pan nauczy wspinaczki.

Gdyby pracował pan ze mną w weekendy, osiem godzin dziennie, to wyniesie osiemset

trzydzieści dwie godziny. Znam wspinaczy, którzy poszli w wysokie góry z mniejszym

doświadczeniem. Czterdzieści dolców za godzinę – tyle zarabia internista. A będę panu płacić na koniec każdego tygodnia.

– Czym się pani zajmuje, panno Baker?

– Odbyłam bardzo długie i niepotrzebne studia, a potem pracowałam u pewnego

antykwarium, w każdym razie dopóki nie stał się zbyt nachalny. Teraz szukam swojej drogi.

– Inaczej mówiąc, jest pani rozpieszczoną jedynaczką, która nie wie, co zrobić z wolnym

czasem. Niewiele mamy z sobą wspólnego.

– Sto lat temu to bogaci burżuje traktowali lekceważąco robotników, teraz jest odwrotnie

– odcięła się Suzie.

Shamir nie ukończył studiów, bo nie miał pieniędzy. Suma, którą Suzie mu oferowała,

mogła wiele zmienić w jego życiu. Jednak nie umiał powiedzieć, czy jej bezczelność i tupet

podobały mu się, czy go irytowały.

– Nie mam żadnych uprzedzeń, panno Baker. Jestem zwykłym mechanikiem. Różni nas

od siebie to, że ja muszę codziennie pracować, żeby zarobić na życie. Nie chciałbym, żeby szef mnie wyrzucił, bo zamiast wymienić olej w samochodzie, ucinam sobie pogawędki z ładną dziewczyną.

– Nie ucina pan sobie żadnych pogawędek, ale dzięki za komplement.

– Skontaktuję się z panią, kiedy podejmę decyzję – powiedział Shamir i

wrócił do pracy.

Decyzję podjął jeszcze tego samego wieczoru, wpatrzony w talerz w barze z fast foodem,

w którym codziennie jadał kolację – kilka kroków od warsztatu. Zadzwoił do Suzie Baker

i umówił się z nią w centrum sportowym na przedmieściach Baltimore w następną sobotę

o ósmej.

Przez pół roku spędzali każdy weekend na betonowej ścianie wspinaczkowej. Po trzech

miesiącach treningów Shamir zabrał Suzie w prawdziwe góry. Nie oszukiwała, jej determinacja

zaskoczyła go. Nigdy nie była zmęczona. Kiedy obolałe członki dawały się jej tak we znaki, że kto inny dawno by zrezygnował, ona wczepiała się z jeszcze większą energią w skalną ścianę.

Gdy Shamir oznajmił, że jest gotowa stawić czoło prawdziwym górą i że zamierza

zabrać ją, gdy tylko nadejdzie lato, na najwyższy szczyt Kolorado, Suzie była tak szczęśliwa, że zaprosiła go na kolację.

Nie licząc kilku kanapek zjedzonych podczas treningów, był to ich pierwszy posiłek we

dwójkę. Podczas tego wieczoru, gdy Shamir opowiedział jej o sobie prawie wszystko, o tym, jak jego rodzice przyjechali do Ameryki, jak skromnie żyli, jak się poświęcali, żeby on mógł

studiować, Suzie, o której wiedział jedynie, że mieszka w Bostonie i że na każdy weekend

przyjeżdża, żeby z nim trenować, oznajmiła, że w przyszłym roku zamierza wspiąć się na Mont

Blanc.

Shamir odbył próbę wejścia na Mont Blanc podczas podróży do Europy, na którą

pozwoili mu wygranie konkursu studenckiego lata wcześnie. Ale góry nie przyjęły go

serdecznie, musiał zawrócić kilka godzin drogi przed szczytem. Wspomnienie to było bardzo

bolesne, pocieszał się tym, że i on, i jego towarzysze wrócili do schroniska cali i zdrowi. Mont Blanc często zabierał życie tym, którzy nie umieli się w porę wycofać.

– Gdy mówi pan o górach, to wygląda tak, jakby myślał pan, że góry mają duszę –

powiedziała Suzie pod koniec kolacji.

– Każdy alpinista tak uważa, mam nadzieję, że pani również, przynajmniej od tej chwili.

– Wróciłby pan tam?

– Jeśli kiedyś zbiorę wystarczająco dużo pieniędzy, to tak.

– Mam dla pana nieuczciwą propozycję, Shamirze. Kiedy skończymy moje szkolenie,

zabiorę pana z sobą.

Shamir uważał, że Suzie nie jest wystarczająco przygotowana, by wspinać się na Mont

Blanc. Poza tym podróż byłaby zbyt droga. Podziękował jej i odmówił.

– Za mniej niż rok wejdę na Mont Blanc, z panem czy bez pana! – oświadczyła Suzie,

wstając od stolika.

Następnego dnia po wycieczce do Kolorado, po tym, jak się pocałowali na szczycie

Grays, Shamir przestał brać od Suzie pieniądze.

Przez następne pół roku Suzie męczyła go swoją nową obsesją, pragnieniem zdobycia

najwyższego szczytu w Europie.

Jedyna kłótnia między nimi miała miejsce któregoś ranka w listopadzie.
Wracając do

domu, Shamir zastał Suzie siedzącą po turecku na dywanie w salonie, z mapą rozłożoną przed sobą. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby rozpoznać kształt góry, po której zboczem Suzie pociągnęła czerwonym ołówkiem szlak wspinaczki.

– Nie jesteś jeszcze gotowa! – powtórzył kolejny raz. – Czy nigdy nie zdarzyło ci się

zrezygnować z pomysłu, który sobie wbiłaś do głowy?

– Nigdy! – odparła z dumą, pokazując mu dwa bilety lotnicze. – Wyjeżdżamy w połowie

stycznia.

Shamir miałby wątpliwości nawet co do wyjazdu w lecie, tak więc styczeń absolutnie nie

wchodził w rachubę. Suzie podkreśliła, że w sezonie Mont Blanc będzie się roił od turystów.

Chciała być na zboczach tylko z nim. Przez całe tygodnie analizowała trasę wspinaczki, znała jej każdy szczegół.

Shamir zdenerwował się. Na wysokości 4800 metrów ciśnienie atmosferyczne spada

o połowę, co powoduje bóle głowy, słabość w nogach, mdłości i uczucie oszołomienia

u wszystkich, którzy porywają się na wysokie góry bez wystarczającego przygotowania. Zima to był sezon wyłącznie dla doświadczonych alpinistów, a Suzie wiele jeszcze do tego poziomu brakowało.

Jednak dziewczyna się uparła.

– Przejdziemy przez szczyt Goûter i tamtędy dojdziemy do grani Bosses. Pierwszego dnia

zaczniemy wspinaczkę od Nid d'Aigle. W ciągu sześciu, najwyżej ośmiu godzin powinniśmy

dotrzeć do schroniska na Tête Rousse. O świcie dotrzemy do przełęczy

Dôme, potem miniemy

schronisko Vallot. Na wysokości czterech tysięcy trzystu sześćdziesięciu dwóch metrów

znajdziemy się na tym samym poziomie co szczyt Grays (Suzie obiecała zawrócić w tym miejscu

w razie złej pogody). Potem Deux Bosses... – mówiła dalej podekscytowana, wskazując na punkt

na mapie zaznaczony czerwonym krzyżykiem. – W końcu skalne zbocze Tournette

i wierzchołek! Robimy sobie zdjęcie i schodzimy. W ten sposób szczyt, o którym zawsze

marzyłeś, będzie twój!

– Nie tak, Suzie, nie mogę narażać cię na tyle niebezpieczeństw! A poza tym

zorganizujemy wspinaczkę na Mont Blanc w dniu, w którym mnie będzie stać, żeby cię tam

zabrać. Obiecuję ci. Z pewnością nie tej zimy, to byłoby samobójstwo.

Suzie nie ustępowała.

– A gdybym wtedy, kiedy pocałowałeś mnie po raz pierwszy na szczycie Grays,

pomyślała sobie, że oświadczysz mi się na szczycie Mont Blanc? A gdyby dla mnie było

najważniejsze na świecie, żebyś oświadczył mi się w styczniu? Czy to nie bardziej się liczy niż wszystkie twoje głupie prognozy pogody? Wszystko psujesz, Shamirze, chciałam...

– Niczego nie psuję... – wyszeptał. – Tak czy inaczej, zawsze postawisz na swoim.

Zgoda, ale od tej chwili nie zostawię ci ani sekundy spokoju. Każdy moment musimy poświęcić

na przygotowanie się do tego szaleństwa. Ta góra jest znacznie bardziej

zdradliwa, niż się

wyduje. A poza tym musisz przystosować się do panującego na jej zboczach mikroklimatu.

Jeszcze nigdy nie przeżyłaś wichury na wysokościach.

Shamir pamiętał każde słowo, które wypowiedział u siebie, w ciepłym domu

w Baltimore. Ostre uderzenia gradu boleśnie raniły mu twarz. We wzmagającym się wietrze

ledwo widział znajdującą się o piętnaście metrów od niego Suzie.

Nie wolno było ulec strachowi, nie wolno było się spocić; pot jest fatalny na

wysokościach. Kropelki przyklejają się do skóry i zamieniają w kryształki lodu przy każdym

najmniejszym spadku temperatury.

Suzie szła pierwsza, co jeszcze bardziej go niepokoiło, gdyż to on był instruktorem, a ona

uczennicą. Ale dziewczyna za nic nie chciała zwolnić tempa i wyprzedziła go już godzinę temu.

Schronisko Vallot stało się odległym wspomnieniem, a przecież tam powinni byli zawrócić. Już zapadł zmrok, gdy zdecydowali się iść dalej na tej niebezpiecznej wysokości.

Poprzez szarpaną wiatrem zasłonę śniegu wydało mu się, że Suzie macha rękami.

Normalny dystans bezpieczeństwa między dwójką ludzi połączonych liną to piętnaście metrów,

ale Suzie wreszcie zwolniła, tak więc Shamir postanowił złamać tę regułę i zbliżyć się do niej.

Kiedy się zrównali, prosto do ucha wykrzyczała mu, że jest pewna, iż zauważyła skały Tournette.

Gdyby udało im się tam dojść, schroniliby się pod skalną ścianą.

– Nie dojdziemy, za daleko! – wrzasnął Shamir.

– Masz lepszy pomysł?! – Suzie pociągnęła za linę.

Shamir wzruszył ramionami i postanowił pójść pierwszy.

– Nie idź tak blisko mnie! – rozkazał, wbijając hak w ścianę.

Kiedy poczuł, że grunt ucieka mu spod nóg, wiedział, że jest za późno.
Odwrócił się do

Suzie, żeby ostrzec ją przed niebezpieczeństwem.

Lina się wyprężyła i Suzie poleciała w przód. Nie było takiej siły, która powstrzymałaby

jej lot za Shamirem w przepaść, która otworzyła się nagle pod ich stopami.

Spadali po zboczu w straszliwym tempie, nie mogąc go wyhamować.
Kombinezon

Shamira podarł się i zamarznęte krople szronu pocięły mu klatkę piersiową. Głową uderzył

w lód. Wydało mu się, że ktoś wymierzył mu pięścią cios prosto w twarz. Oślepiła go krew lejąca się z przeciętych łuków brwiowych. Nie mógł oddychać. Alpinisci, którzy wyszli cało z upadku w szczelinę lodowca, mówią, że czuli się jak wciągani w otchłań wód na tonącym statku. Shamir czuł się tak samo.

Nie udawało im się o nic zaczepić i wciąż spadali. Shamir wołał Suzie, ale odpowiadała

mu cisza.

Lot jego zakończył się głuchym uderzeniem w zlodowaciały grunt, jakby góra, połykając

go, chciała go unieszkodliwić.

Podniósł głowę i zobaczył, jak zwała się na niego biała masa. Potem nastąpiła cisza.

2

Czyjaś dłoń odgarniała mu śnieg z twarzy. Głos dochodzący z daleka błagał go, żeby otworzył oczy. Przez mgłę dostrzegł nachyloną nad sobą białą jak prześcieradło twarz Suzie.

Dziewczyna dygotała, ale zdjęła rękawiczki i wycierała mu usta i nos.

– Czy możesz się ruszać?

Shamir kiwnął głową twierdząco. Odzyskał przytomność. Starał się wyprostować.

– Bolał mnie żebra i ramię... – jęknął. – A ty?

– Czuję się, jakby przejechał mnie walec drogowy, ale nie mam nic złamanego. Spadając, straciłam przytomność, nie mam pojęcia, ile czasu minęło od momentu, gdy tu wpadliśmy.

– A zegarek?

– Tarcza się roztrzaskała.

– A mój?

– Nie masz go na ręku.

– Umrzemy z zimna, jeśli się nie ruszymy. Pomóż mi wstać.

Suzie zaczęła odgarniać śnieg, w którym Shamir tkwił po pas.

– To wszystko moja wina! – krzyknęła, zdwajając wysiłki, żeby go odkopać.

– Czy jesteś w stanie zobaczyć niebo? – spytał Shamir, starając się podnieść.

– Może kawałek, ale nie jestem pewna, trzeba poczekać, aż się wypogodzi.

– Rozepnij mój kombinezon i rozetrzyj mi mięśnie, pospiesz się, zamarzam... Włóż z powrotem rękawiczki, jeśli odmrożisz sobie palce, to po nas!

Suzie chwyciła plecak, który zamortyzował jego upadek, wyjęła z niego

T-shirt i rozpięła suwak kombinezonu Shamira. Zaczęła go rozmasowywać z całych sił. Shamir starał się ignorować coraz dotkliwszy ból. Kiedy udało się jej trochę rozgrzać jego obolałe ciało, obandażowała Shamira, jak umiała, zasunęła suwak kombinezonu i rozłożyła śpiwór.

– Wejść do niego razem ze mną, musimy się ogrzać, to nasza jedyna szansa! – polecił.

Tym razem Suzie go posłuchała. Przeszukała jeszcze raz swój plecak i przed wyłączeniem na wszelki wypadek spojrzała na ekran komórki. Pomogła Shamirowi wsunąć się do śpiwora, wsunęła się obok i przytuliła do niego.

– Jestem wykończona.

– Nie wolno nam zasnąć. Gdyby tak się stało, już się nie obudzimy.

– Czy myślisz, że nas znajdą?

– Do jutra nikt nie zauważy, że nas nie ma. A wątpię, żeby ratownicy wpadli na to, żeby nas tutaj szukać. Musimy się stąd sami wydostać.

– Ale jak wyobrażasz sobie, że stąd wyjdziemy?

– Trzeba odpocząć, zebrać siły i jeśli świt przyniesie trochę światła, poszukamy haków.

Przy odrobinie szczęścia...

Suzie i Shamir przez długie godziny wpatrywali się w mrok. Kiedy ich wzrok przyzwyczał się do ciemności, zauważyli, że dno przepastnej szczeliny przechodzi w podziemną grotę.

W końcu promyczek światła przebił ciemność mniej więcej trzydzieści metrów od miejsca, w którym leżeli. Shamir potrząsnął Suzie.

– Wstajemy! – rozkazał.

Suzie patrzyła przed siebie. Spektakl, który ukazał się jej oczom, był jednocześnie piękny i straszny. Kilka metrów od nich pod lodowym sklepieniem ujrziała błyszczące ściany przepaści.

– To studnia – szepnął Shamir, wskazując palcem w górę szczeliny. – Naturalna studnia, która łączy się z podziemną grotą. Nie jest zbyt szeroka, może udałoby się nam wspiąć po jej ścianach jak po wnętrzu komina?

Pokazał jej drogę według niego możliwą do pokonania. Ściana była dość stroma, ale za godzinę lub dwie promienie słońca trochę rozmiękczą lód i będą mogli się w nią wczepić zębami raków. Od powierzchni dzieliło ich pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów, trudno było ocenić, ale jeśli uda im się dotrzeć do gzymsu, który widzieli, studnia prowadząca w górę od niego była wystarczająco wąska, żeby móc się nią wspiać, opierając się o ścianę i odpychając nogami.

– A twoje ramię? – spytała Suzie.

– Ból jest do zniesienia. Tak czy inaczej, to nasza jedyna szansa. Wspiać się w górę po ścianach szczeliny, przez którą żeśmy tu wpadli, jest niemożliwe. Poszukajmy czekanów.

– A jeśli weszlibyśmy do tej groty? Może tam jest inne wyjście?

– Nie o tej porze roku. Nawet jeśli płynie tędy podziemna rzeka, teraz jest zamarznięta.

Jedyne wyjście stąd to w górę tego avenu. Dziś nie damy rady. Potrzeba nam co najmniej pięciu godzin, żeby się nim wspiać, za co najmniej dwie słońce przejdzie na przeciwną stronę, a w ciemnościach nie mamy żadnych szans. Zbierzmy lepiej siły i poszukajmy zagubionego sprzętu.

Nie jest tu tak zimno, jak myślałem na początku. Możemy nawet spróbować zasnąć na chwilę, osłonięci śpiworem.

– Naprawdę wierzysz, że uda nam się stąd wyjść?

– Jesteś dobrze wytrenowana, pokonasz ten komin. Pójdiesz pierwsza.

– Nie, proszę cię, ty idź przodem – jęknęła błagalnym głosem Suzie.

– Za bardzo bolą mnie żebra, żebym mógł cię wciągnąć, a gdybym odpadł od ściany, pociągnę cię za sobą w przepaść.

Shamir wrócił do miejsca, na które spadli. Ledwo mógł z bólu oddychać, ale starał się niczego po sobie nie pokazać. Zaczął grzebać w śniegu, szukając zagubionych czekanów, gdy tymczasem Suzie poszła w głąb groty.

Nagle usłyszał jej wołanie.

– Wracaj, pomóż mi znaleźć czekany, Suzie! – krzyknął.

– Zapomnij o czekanach! Chodź tutaj!

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, wchodząc w głąb jaskini, był lodowy dywan, który ginał

w ciemnościach, gładki, jakby wykonany maszynowo.

– Poszukam latarki.

– Wracaj! – rozkazał Shamir. – Przebadamy to miejsce później.

Suzie niechętnie poszła za Shamirem. Przez godzinę grzebali w śniegu. Shamir zauważył

pasek od plecaka, który zgubił podczas upadku, i westchnął z ulgą. To znalezisko obudziło w nim nadzieję. Ale czekanów nie było widać.

– Mamy dwie latarki, dwa palniki, dwie porcje jedzenia i dwie czterdziestopięciometrowe liny. Spójrz na tę ścianę, tam, gdzie pada światło – powiedział Shamir. – Słońce topi lód, trzeba zebrać wodę. W tych warunkach szybko może dojść do odwodnienia organizmu.

Suzie uświadomiła sobie, że dręczy ją straszliwe pragnienie. Podstawiła menażkę, starając się trzymać ją prosto, pod spadające krople topniejącego lodu.

Shamir nie mylił się, światło powoli bladło i wkrótce znikło. Wyglądało to, jakby jakiś zły duch nagle zasłonił otwór, przez który prześwitywało niebo.

Suzie zapaliła latarkę przyczepioną nad czołem. Zebrała swoje rzeczy na kupkę i wślizgnęła się do śpiwora.

Shamir zgubił swoją czołówkę, więc grzebał w śniegu w świetle latarki ręcznej. Nic nie znalazł. U kresu sił, ledwo dysząc, z bólem w płucach, postanowił chwilę odpocząć. Podeszedł do Suzie, która podała mu ułamaną połówkę zbożowego batonika.

Shamir czuł, że nic nie zje, mdliło go od samego przełykania.

– Ile nam zostało czasu? – spytała Suzie.

– Jeśli będziemy oszczędzać żywność, jeśli zbierzemy wystarczającą ilość wody, jeśli lawina nie zasypie naszej studni... może sześć dni.

– Ja cię pytałam, ile mamy czasu, zanim umrzemy, ale w sumie chyba mi

odpowiedziałeś.

– Ekipa ratownicza nie będzie czekała sześciu dni, żeby zacząć nas szukać.

– Nie znajdą nas, sam to powiedziałeś. Nie na dnie tej dziury. Mnie się nigdy nie uda dotrzeć do tego ustępu skalnego, który mi pokazałeś, a gdyby nawet, to wspinanie się sześćdziesięciometrowym kominem studni przekracza moje siły.

Szamir westchnął.

– Ojciec mi mówił, że jeśli sytuacja wydaje ci się niemożliwa do ogarnięcia w całości, rozłóż ją na etapy. Każdy etap wyda ci się bardziej prawdopodobny do przebycia, a jeden mały sukces dodany do drugiego, potem do trzeciego, poprowadzi cię do celu, który sobie wyznaczyłeś. Jutro rano, kiedy tylko dzień wystarczająco oświetli szczelinę, zastanowimy się, jak dotrzeć do tej wystającej półki. Studnię możemy zaatakować następnego dnia. A teraz zgaś latarkę, trzeba oszczędzać baterie.

Leżeli w ciemnościach, a w górze słyszeli wycie szalejącego wiatru. Suzie oparła głowę o ramię Shamira i przeprosiła go. Ale wyczerpany bólem Shamir usnął.



W środku nocy Suzie obudził odgłos grzmotu. Po raz pierwszy pomyślała, że zginie tutaj, na dnie tej szczeliny. Bardziej niż samej śmierci bała się jednak umierania i czasu, jaki to będzie trwało. Szczelina skalna nie jest miejscem dla żywych ludzi, przeczytała kiedyś we wspomnieniach jakiegoś alpinisty.

– To nie jest burza, to lawina – szepnął Shamir. – Staraj się zasnąć, przestań myśleć o śmierci, nie wolno nigdy myśleć o śmierci.

– Nie myślałam o śmierci.

– Tak do mnie przywarłaś, aż się obudziłem. Mamy jeszcze czas przed sobą.

– Mam dość czekania.

Wyszła ze śpiwora i zapaliła czołówkę.

– Co robisz? – spytał Shamir.

– Muszę rozprostować nogi. Ty się nie ruszaj, odpoczywaj, nie odejdę daleko.

Shamir i tak nie miał siły wstać. Z każdym wdechem nabierał do płuc mniej powietrza niż poprzednim razem i bał się chwili, kiedy mu tego powietrza zabraknie, jeśli jego stan będzie się pogarszał. Poprosił Suzie, żeby na siebie uważała, i znowu zasnął.

Suzie ostrożnie weszła do jaskini, zwracając baczniejszą uwagę na ukształtowanie terenu.

Nigdy nie wiadomo, gdzie znajduje się najniższy poziom w szczelinie, mógł być tam jeszcze uskok. Weszła pod sklepienie i znalazła się w dużej grocie, którą zauważyła, kiedy Shamir kazał

jej pójść na skróty. Wyraz jej twarzy zmienił się, poszła naprzód zdecydowanym krokiem.

– Wiem, że jesteś gdzieś tam. Od lat cię szukam... – szepnęła.

Szła przed siebie, zaglądając w każdy kącik, każdą szczelinę w ścianie. W pewnej chwili światło czołówki odbiło się srebrnym błyskiem. Suzie chwyciła latarkę ręczną i zapaliła ją. Nie było rozsądnie zużywać tyle baterii naraz, ale była zbyt podekscytowana, żeby o tym myśleć.

Zacisnęła dłoń na latarce i wyciągnęła ją do przodu.

– Pokaż się... Chcę tylko odebrać to, co mi się należy.

Podeszła bliżej do miejsca, od którego bił dziwny blask. Lód tutaj wyglądał inaczej.

Strzepnęła cienką warstwę szronu z wierzchu i przez zamarznąłą krystaliczną powierzchnię zobaczyła kawałek metalu.

Od lat była pewna, że ta grota istnieje. Niezliczone godziny spędziła na lekturze sprawozdań alpinistów, którzy zapuścili się w pasmo skalnych ustępów znanych pod nazwą Tournette, na rozgryzaniu raportów z nieszczęśliwych wypadków, na analizowaniu każdej fotografii, na badaniu raportów glaciologów z ruchów lodowców przez ostatnich pięćdziesiąt lat, aby mieć pewność, że nie umknął jej żaden ślad. Ileż cierpienia przemilczała, myśląc o celu, jaki jej przyświecał, podczas tych wszystkich dni, kiedy

uczyła się wspinaczki!

Rzuciła okiem w kierunku śpiącego Shamira. Był zbyt daleko, by mogła go zobaczyć.

Wstrzymując oddech, krok po kroku posuwała się do przodu.

Podziemny korytarz rozszerzał się. Ściany grotty wyrzeźbione przez naturę wewnątrz góry wyglądały jak domostwo jaskiniowców.

Nagle serce jej zaczęło bić szybciej.

Oczom jej ukazał się leżący na boku kokpit boeinga 707, przykryty powyginanym żelastwem. Fragment rozbitego samolotu jakby patrzył na nią z rozpaczą, której nie umniejszył

czas.

Dziesięć kroków dalej pośród splątanych kabli i połamanych foteli leżał zastygły w śniegu fragment kadłuba.

Dno jaskini było przykryte szczątkami samolotu, w większości były to kawałki porwanego i pogiętego od siły uderzenia metalu. Przednie podwozie wystawało pionowo z małego kopczyka. Kawałek drzwi z fragmentami napisów uwięziony był w lodowym sklepieniu kilka metrów nad ziemią.

Jaskinia zamknęła się nad przednią częścią *Kanczendzongi*, stając się jej grobowcem.

Zesztywniała z przerażenia Suzie podeszła powoli do wraku.

– No i jesteś! Tak bardzo czekałam na tę chwilę! – wyszeptała i zatrzymała się, patrząc w milczeniu na szczątki rozbitego samolotu.



Usłyszała kroki, odwróciła się i zobaczyła promień latarki Shamira w wejściu do jaskini.

Zawahała się.

– Jestem tutaj! – zawołała wreszcie, wstając, i podbiegła ku niemu. Shamir miał

ściągnięte rysy twarzy.

– Nie powinieneś wstawać! – powiedziała z wyrzutem.

– Wiem, ale miałem wrażenie, że sztywnieję, poza tym niepokoiłem się o ciebie.

Znalazłaś stąd jakieś wyjście?

– Nie, jeszcze nie.

– Znalazłaś coś innego, na co warto marnować baterie latarki?

Suzie milczała. Popatrzyła na Shamira. Ten ponury wyraz twarzy wyłobilo nie cierpienie, ale świadomość grożącego im niebezpieczeństwa. To przypomniało jej powagę sytuacji, o której prawie zapomniała przez tych kilka chwil.

– Wracaj i połącz się, ja jeszcze chwilę się rozejrzę i zaraz przyjdę.

Shamir odepchnął ją i wszedł do jaskini. Na widok wraku rozbitego samolotu wytrzeszczył oczy.

– Robi wrażenie, co? – spytała Suzie.

Popatrzył na napisy w hindi, widoczne w świetle jej latarki, i przystanął.

– To prawdopodobnie resztki *Malabar Princess*... – powiedział.

– Nie, *Malabar* miał cztery silniki i śmigła, to jest *Kanczendzonga*.

– Skąd niby to wiesz?

– To długa historia – rzekła.

– Wiedziałaś, że ten wrak tu jest?

– Miałam nadzieję, że tu jest.

– Tak się uparłaś, żeby wejść na Mont Blanc po to, żeby odnaleźć ten samolot...

– Tak, ale nie w ten sposób, chciałam, żebyśmy opuścili się tutaj na linie.

– Bo wiedziałaś o tej grocie?

– Trzy lata temu jakiś alpinista odkrył wejście do tej podziemnej studni na skalnej ścianie Tournette. Było lato, usłyszał spływającą wodę podziemnej rzeki za ścianą lodu. Dostał się tam i dotarł aż do szczytu studni, ale nie zdecydował się na zejście w dół.

– Przez ten cały czas mnie okłamywałaś? Kiedy przyszedłaś do mnie do domu, już miałaś to w głowie?

– Shamir, wszystko ci opowiem; kiedy się dowiesz, zrozumiesz! – oświadczyła Suzie, idąc w stronę wraku.

Shamir chwycił ją za ramię.

– To jest grób ofiar katastrofy, święte miejsce, nie można zakłócać spokoju zmarłych.

Chodź, idziemy stąd! – rozkazał.

– Daj mi tylko godzinę, chcę się przyjrzeć tym szczątkom. A poza tym może z tej jaskini jest gdzieś łatwiejsze wyjście niż ta twoja studnia.

Suzie poszła w stronę wraku, a Shamir zagłębił się w grotę. Oczom Suzie ukazał się fascynujący widok. W środku kabiny pilota zwęglona deska rozdzielcza pokryta była warstwą lodu, który wyglądał, jakby wytrawił blachę. Suzie odgadła, czym jest ciemna masa na fotelu pilota i wyrzuciła z głowy ten obraz, odwracając się do dramatycznego widoku tyłem. Podeszła do części kadłuba, która spoczywała na boku. Siła uderzenia wypchnęła fotele pasażerów w górę.

Ratownicy, którzy przybyli na miejsce wypadku następnego dnia, zidentyfikowali fragmenty skrzydeł i usterzenia, rozpoznali również setki innych części pochodzących z kadłuba samolotu, który rozbił się o skały. Przez następne dziesiątki lat lodowiec Bossons wypłuł z siebie silniki *Kanczendzongi*, jej tylne podwozie i osobiste rzeczy pasażerów. Według raportu z miejsca katastrofy, który Suzie znała na pamięć, kokpit i kabiny pierwszej klasy bezpowrotnie znikły.

Niektórzy z prowadzących śledztwo wywnioskowali, że w chwili zderzenia ze skałą części te zostały rozbite na drobne fragmenty, inni – że zapadły się w szczelinę skalną tak jak tonący statek w podwodną głębinę. Odkrycie Suzie potwierdziło tę drugą hipotezę.

Wokół niej leżało sześć zamrożonych na kamień szkieletów. Zmarli wyglądali jak mumie w swoich podziurawionych ubraniach. Suzie uklękła w tej ponurej scenerii i popatrzyła na zwłoki w milczeniu. Te kilka metrów za nisko, kilka sekund za krótko w powietrzu i los skradł

im życie. Na podstawie raportu ekspertów do spraw katastrof lotniczych

ustalono, że gdyby pilot minutę wcześniej zdał sobie sprawę z pomyłki co do pozycji samolotu, mógłby poderwać dziób maszyny w górę i przeleciałby nad szczytami. Ale zorientował się za późno i 24 stycznia 1966

roku sto jedenaście osób zginęło, a na ciała sześciu z nich patrzyła teraz Suzie.

Zrobiła kilka kroków do przodu kabiny, gdy nagle z tyłu pojawił się znów Shamir.

– Uważaj, nie powinnaś tego robić! – usłyszała jego spokojny głos. – Czego szukasz?

– Tego, co do mnie należy. Gdyby tutaj leżał ktoś z twoich bliskich, nie byłbyś szczęśliwy, że dostajesz z powrotem coś, co do niego należało?

– Zginął tu ktoś z twojej rodziny?

– To długa historia. Obiecuję wszystko ci opowiedzieć, kiedy się stąd wydostaniemy.

– Czemu jeszcze tego nie zrobiłaś?

– Bo wówczas nie wybrałbyś się tu ze mną! – powiedziała Suzie, podchodząc do jednego z ciał.

Było to chyba ciało kobiety. Ramiona miała wyciągnięte do przodu, jakby w ostatnim geście obrony przed rażącą śmiercią. Na serdecznym palcu miała zwęgloną obrączkę, a przy jej stopach stał, zablokowany między dwoma wykrzywionymi metalowymi prętami, całkowicie stopiony kuferek na kosmetyki.

– Kim pani była? – wyszeptała Suzie, klękając. – Czy czekał na panią gdzieś mąż i dzieci?

Shamir podszedł niechętnie i również ukląkł.

– Nie dotykaj niczego – rzekł. – Te rzeczy nie należą do nas.

Suzie przekręciła się i popatrzyła na pasażera obok. Miał przypiętą kajdankami do przegubu metalową walizkę. Suzie skierowała na nią promień latarki. Na pokrywie widoczne były resztki jakiegoś napisu w hindi.

– Co to znaczy? – spytała Suzie.

– Jak mogę ci odpowiedzieć, przecież wszystko jest zatarte.

– Nie możesz odczytać żadnego słowa?

Shamir zbliżył się do walizki.

– Właściciel nazywał się Adesh, ale nie mogę odczytać nazwiska. Myślę, że to musiał być jakiś dyplomata. Tak jest napisane: „Służba dyplomatyczna... Nie otwierać” – odczytał.

Suzie nic nie odpowiedziała. Delikatnie uniosła przegub zmarłego i zdecydowanym gestem oderwała kość od reszty szkieletu, po czym zdjęła metalową obręcz kajdanków i chwyciła walizkę.

– Zwariowałaś?! – wykrzyknął Shamir zszokowany.

– Dokumenty, które tu się znajdują, mogą mieć wartość historyczną – odrzekła Suzie spokojnie.

– Nie mogę patrzeć na to, co robisz, a jestem zbyt wyczerpany, żeby się z tobą kłócić.

Wracam się położyć. Tak czy inaczej, tracisz czas. Już wystarczająco trudno będzie wdrapać się tą studnią bez bagażu, nie dasz rady z dodatkowym obciążeniem w postaci tej walizki.

Suzie spojrzała na niego wrogo. Odczepiła hak od paska i uderzyła w lód, w którym była zatopiona walizka. Zamki, zawiasy i klamry – wszystko puściło.

Wnętrze walizki lepiej zniosło ogień niż wilgoć. Suzie ujrzała wieczne pióro, którego skuwka częściowo się stopiła, resztki paczki papierosów Wills, srebrną zapalniczkę i sztywną od zimna kopertę. Wzięła ją do ręki i wsunęła pod kombinezon.

– Znalazłeś jakieś przejście? – zapytała Shamira, wstając.

– Ściągniesz na nas oboje nieszczęście.

– Chodź, idziemy, trzeba oszczędzać baterie w latarkach. Musimy trochę odpocząć. Jak tylko do jaskini zajrzy światło dzienne, spróbujemy się stąd wydostać.

Nie czekając na odpowiedź Shamira, opuściła podziemny korytarz, wracając na miejsce, na którym leżały ich śpiwory.



Gdy do groty zajrzały promienie słońca, Suzie zobaczyła, jak źle wygląda Shamir.

W ciągu ostatnich godzin jego stan się wyraźnie pogorszył, a on sam stał się niepokojąco blady.

Kiedy milczał lub się nie ruszał, miała wrażenie, że leży obok zmarłego. Starła się go rozgrzać, zmusiła go też do picia i do zjedzenia zbożowego batonika.

– Czy dasz radę się wspiąć? – spytała.

– Nie mamy innego wyjścia – westchnął. To westchnienie rozbudziło nękający go ból.

Dał jej znak, żeby uporządkowała swoje rzeczy.

– Może powinniśmy zostawić tu plecaki, żebyśmy byli mniej obciążeni? – zasugerowała dziewczyna.

– Kiedy znajdziemy się na górze, pokonamy zaledwie połowę drogi – rzekł Shamir, patrząc w górę studni. – Trzeba będzie jeszcze zejść w dolinę. Nie zamierzam zamarznąć na śmierć po wydostaniu się z tej groty. Masz! – wyciągnął dłoń w jej kierunku, wręczając jej dwa czekany, które ukrył wcześniej pod swoim śpiworem.

– Znalazłeś je?! – wykrzyknęła Suzie.

– Dopiero teraz się zorientowałaś? Nie poznaję cię. Odkąd tu wpadliśmy, straciłem partnerkę do wspinaczki, a bez niej się stąd nie wydostanę.

Shamirowi zaróżowiły się policzki i jego oddech stał się bardziej regularny. Wyjaśnił

Suzie taktykę, jaką powinni zastosować przy wychodzeniu z groty. Ona będzie szła pierwsza i za każdym razem, kiedy będzie pewna swojej pozycji, on wciągnie się za nią na linie.

Lodowa ściana przed nimi przypominała organy w wielkiej katedrze. Suzie przypięła ciasno swój plecak, wzięła głęboki oddech i ruszyła do przodu. Shamir nie spuszczał jej z oczu, wskazywał jej, gdzie postawić stopę lub czego się chwycić, kiedy trzeba było naciągnąć lub popuścić linę.

Pierwsze piętnaście metrów wspinaczki zajęło jej prawie godzinę. Na dwudziestym metrze znalazła lekki występ, który pozwolił jej przysiąść. Zablokowała nogi o ścianę, odpięła śrubę lodową od uprząży i wkręciła ją w ścianę lodowca. Sprawdziwszy, czy dobrze trzyma, wpięła w nią bloczek i przeciągnęła linę, powtarzając gesty, których Shamir uczył ją nieskończoną ilość razy.

– Gotowe, możesz się podciągać! – krzyknęła, starając się popatrzeć w dół. Ale była tak skurczona, że widziała tylko swoje kolana, buty i klamry.

Pierwsze metry wysokości Shamir pokonał, korzystając ze śladów Suzie. W miarę jak się wciągał, odczuwał coraz silniejszy ból i kilka razy zdawało mu się, że dalej nie da rady.

„Nie spiesz się, jeden krok po drugim...” – wewnętrzny głos przypomniał mu wskazówki ojca.

Nagle jakies trzy metry ponad sobą zauważył wgłębienie. Dał sobie kwadrans na dotarcie tam i postanowił, że gdy wyjdzie z tego piekła, pójdzie do ojca i powie, że jego wskazówki uratowały mu życie.

Starał się nie słuchać drugiego, nakładającego się na pierwszy, głosu, który szeptał, że wszystkie jego wysiłki idą na marne i że lepiej byłoby położyć kres cierpieniu, zasypiając na dnie groty... Podparł się rękoma i centymetr po centymetrze zaczął wciągać się w górę. Minęła pierwsza sekunda, druga...

Zajęło im trzy godziny wspięcie się na lodowy występ. Gdy tylko sytuacja na to pozwalała, Suzie spoglądała w dół na Shamira wspinającego się pod nią, podziwiając jego oszczędne gesty, które tak jej się spodobały, gdy wspinali się na szczyt Grays.

Dotarcie do półki skalnej było ich pierwszym zwycięstwem, nawet jeśli oboje wiedzieli, że najniebezpieczniejsza część wspinaczki jest jeszcze przed nimi. Siedząc na występie, starali się odzyskać siły. Shamir zebrał garstkę sypkiego śniegu i podał ją Suzie.

– Wypij to! – powiedział.

Potem on też się napił i Suzie zauważyła, że śnieg w kąciku jego ust zaróżowił się.

– Krwawisz... – szepnęła.

– Wiem, coraz trudniej mi oddychać – powiedział. – Ale czeka nas jeszcze długa droga.

– Zaraz się ściemni.

– Dlatego cię prosiłem, żebyś nie marnowała baterii latarek na przeszukiwanie tego wraku. Nie przetrzymam całej nocy tutaj, nie mam już sił – rzekł, dysząc ciężko. – Ruszamy albo pójdiesz dalej beze mnie.

– Ruszamy! – odrzekła Suzie.

Wtedy Shamir dał jej ostatnią lekcję wspinaczki. Suzie słuchała go z wytężoną uwagą.

– Żeby maksymalnie oszczędzać baterie, będziesz zapalała czołówkę tylko raz na jakiś czas. W ciemności zaufaj swoim dłoniom, które są równie zdolne, jak oczy, żeby znaleźć dobre miejsce do uchwytu. Jeśli musisz skoczyć, upewnij się, że jedna twoja stopa ma się naprawdę na czym oprzeć. Jeśli będzie ci się wydawało, że to już koniec, ale tylko wtedy, zapal latarkę i natychmiast zapamiętaj wszystko, co widzisz, zanim ją szybko zgasisz z powrotem.

Suzie powtórzyła jego wskazówki i chwyciła czekan.

– Nie zwlekajmy, skorzystajmy z ostatnich chwil światła... – poprosił Shamir.

Suzie przykucnęła na występie. Powoli się prostując, wbiła czekan w pionową ścianę.

Pierwsza próba... potem wciągnęła się za jednym zamachem o pięć metrów w górę, zrobiła krótką przerwę i ruszyła dalej.

Komin był szeroki, zwężenie przy wylocie było jeszcze dość daleko. Od Shamira dzieliło ją dwadzieścia metrów. Znów wbiła śrubę, zamocowała linę i gdy znalazła się we właściwej pozycji, przerzuciła ciało w tył, zamierzając wyciągnąć dłoń, żeby pomóc Shamirowi podciągnąć się w górę.

Shamir widział każdy manewr Suzie. Wyprostował się na występie, wbił zęby raków w jej ślady, napiął mięśnie nóg i zaczął się wciągać.

Szedł w górę bez przerwy. Suzie dodawała mu odwagi. Kiedy musiał

przystanąć, żeby złapać nikiący oddech, Suzie zaczęła opowiadać o tym, co zrobią, gdy wrócą do Baltimore. Ale on jej nie słuchał, skupiając uwagę na ruchach, które musiał wykonywać. I jego wysiłki przynosiły skutek. Wkrótce poczuł, jak dłoń Suzie głaszcze go po głowie. Podniósł oczy i zobaczył, że Suzie zwisa głową w dół, obserwując go przez cały czas wspinaczki.

– Powinnaś uważać na swoją pozycję, zamiast się wygłupiać, cholera! – zaklął.

– Damy radę i tak. Pokonaliśmy już dwie trzecie drogi i patrz, jeszcze jest jasno.

– Musi być piękna pogoda... – westchnął Shamir.

– Jutro rano wyciągniemy się na śniegu i będziemy widzieć słońce, słyszysz?

– Tak, słyszę! – westchnął. – Teraz wyprostuj się i zrób mi miejsce. Oprę się na chwilę o ścianę i odpocznę, podczas gdy ty będziesz szła w górę.

– Słuchaj, Shamir! – powiedziała Suzie. – Komin nie ma więcej niż dwadzieścia metrów.

Przed chwilą naprawdę widziałam niebo. Mamy dość liny. Dotrę tam jednym podejściem, wyjdę i wciągnę cię.

– Zbyt długo wisiałaś głową w dół i zaczynasz mówić głupstwa. Jestem zbyt ciężki.

– Po raz pierwszy proszę cię, żebyś zrobił tak, jak mówię. Nie jesteś w stanie wspinać się dalej, wiesz to tak samo dobrze jak ja. Przysięgam ci, że wydostaniemy się z tej dziury!

Shamir wiedział, że Suzie ma rację. Za każdym oddechem słyszał w płucach gwizd, a za każdym wydechem czuł w ustach smak krwi.

– Zgoda! – rzekł. – Idź, zobaczymy potem. We dwójkę damy radę.

– Oczywiście, że we dwójkę damy radę! – powtórzyła Suzie.

Zaczęła przenosić ciężar ciała na drugą stronę, żeby znaleźć się po prawej stronie Shamira, kiedy usłyszała, jak zaklął.

„Kiedy wbijasz czekan, zwróć uwagę na dźwięk, jaki on przy tym wydaje, i przyjrzyj się mu dokładnie” – poinstruował ją któregoś dnia, gdy

wchodzili na szczyt Grays. Ale to było w lecie i w otwartej przestrzeni. Czekan Shamira wydał dziwny dźwięk, który Suzie również usłyszała. Spróbował go przesunąć, żeby móc wbić go solidnie, ale nie mógł ruszyć ramieniem.

Nagle usłyszał odgłos pęknięcia. Lodowa kolumnada, naruszona przez nich w wielu miejscach, pękała.

Shamir wiedział, że tylko sekundy dzielą go od katastrofy.

– Ubezpieczaj mnie! – wrzasnął, starając się odskoczyć od ściany.

Lód ustąpił gwałtownie. Suzie rzuciła się w przód, próbując uchwycić jedną ręką dłoń Shamira, a drugą przytrzymać linę, która zsuwała się w błyskawicznym tempie wzdłuż paska.

Poczuła, jak skórzana saszetka ześlizguje się pod jej kurtką, przez chwilę jej uwaga uległa rozproszeniu i puściła dłoń Shamira.

Szarpnięcie było gwałtowne, lina ścisnęła ją boleśnie i przez chwilę nie mogła złapać oddechu, ale wytrzymała.

Shamir wisiał pięć czy sześć metrów pod nią. Powinien się przekręcić i poszukać nowego miejsca uchwytu, ale był u kresu sił.

– Obróć się! – wrzasnęła Suzie. – Obróć się i zaczepl!

Siła ciężkości ciągnęła ją we wszystkie strony, zaczęła się huścić, żeby pomóc przyjacielowi przypiąć się do ściany, tak jak mu poleciła.

Shamir pomyślał, że jego jedyną szansą jest wykonanie węzła Prusika, a Suzie zrozumiała, co on chce zrobić, widząc, jak chwyta za jeden z repsznurków zwisających mu z uprząży biodrowej. Prusik jest węzłem samoblokującym się. Bez obciążenia łatwo przesuwają się po linie. Przyczepia się nim linę do bloczka, zaciska się i już można się wciągnąć w górę.

Shamir zaczynał widzieć wszystko niewyraźnie, jego gesty stawały się niezręczne. Kiedy owijał cieńszą linę wokół głównej liny, ta wyslizgnęła mu się i spadła w głąb szczeliny.

Podniósł głowę i spojrzał na Suzie, wzruszając ramionami.

Patrząc na nią zawieszoną nad przepaścią ponad nim, zaczął rozwiązywać

jeden z pasków przytrzymujących plecak, który następnie zsunął i precyzyjnym gestem wyjął z niego nożyk, który trzymał zawsze w górnej kieszeni plecaka.

– Shamir, nie rób tego, błagam! – jęknęła Suzie.

Oddychała ciężko i płakała, widząc, jak Shamir odcina drugi pasek od plecaka.

– Uspokój się, jesteśmy zbyt ciężcy, żeby podciągnąć się w górę! – sapnął.

– Przysięgam ci, że damy radę! Zaczekaj, zaraz znajdę oparcie i wciągnę cię! – jęknęła.

Shamir odciął plecak i oboje usłyszeli, jak uderzał o ściany przepaści, spadając. Potem nastąpiła cisza i słychać było tylko ich krótkie oddechy.

– Czy naprawdę chciałaś mnie poprosić o rękę, kiedy znajdziemy się na górze? – spytał

Shamir, podnosząc głowę.

– Zamierzałam cię przekonać, żebyś ty poprosił o moją rękę – odpowiedziała Suzie. – I z pewnością to zrobisz.

– Powinniśmy teraz wyrazić nasze uczucia! – powiedział Shamir ze smutnym uśmiechem.

– Nie, zaczekajmy, aż się stąd wydostaniemy, kiedy będziemy na górze, wcześniej nie.

– Suzie, czy chcesz mnie za męża?

– Przestań, Shamir, błagam cię, przestań!

Cały czas patrząc na nią, Shamir dodał:

– Kocham cię. Zakochałem się w tobie w dniu, w którym zapukałaś do moich drzwi, od tej chwili moja miłość wciąż rosła. Chciałbym móc pocałować pannę młodą, ale jesteś trochę za daleko.

Shamir złożył pocałunek na swojej rękawiczce i uczynił ruch, jakby zdmuchiwał go w kierunku Suzie. Potem krótkim, precyzyjnym gestem przeciął linę, którą był z nią związany.

3

Kiedy Shamir znikł w otchłani groty, Suzie zawyła jak ranne zwierzę. Nie usłyszała głuchego odgłosu ciała rozbijającego się o lodową taflę. Wisiała bez ruchu w cichych ciemnościach, czekając, aż zimno z kolei ją unicestwi.

Potem pomyślała: skoro on poświęcił swoje życie, by ją uratować, byłoby żałosne, gdyby się okazało, że uczynił to nadaremnie.

Powtórnie zaświeciła czołówkę, popatrzyła w górę krateru, przeniosła ciężar ciała na stopy i wbiła się rakami w ścianę. Za każdym wbiciem butów w lód słyszała odgłos spadającego śniegu i wyobrażała sobie wtedy, jak ten śnieg okryje ciało Shamira.

Trzeba było zacisnąć zęby i wspinać się w mroku z oczami pełnymi łez, piąć się w górę bez odpoczynku. Słuchać rad, których jej nie szczędził, przypominać sobie tembr jego głosu, bicie jego serca, czuć jego skórę, gdy lepiła się do jej skóry w skotłowanym łóżku. Czuć jego język w swoich ustach, na piersiach, brzuchu i w swoim ciepłym wilgotnym wnętrzu. Czuć jego dłonie, które odpychały ją i przyciągały, czuć jego dłonie i piąć się w górę. Piąć się godzinami w górę, bez ustanku, by wreszcie wydostać się z tego białego piekła.

O trzeciej w nocy palce Suzie wbiły się w brzeg przepaści, która ich pochłonęła. Długo walczyła, żeby wreszcie całe jej ciało znalazło się na zewnątrz. Kiedy, leżąc na plecach, ujrzała nad sobą w końcu rozgwieżdżone niebo, rozpostarła nogi i ręce i zawyła jak zwierzę, a dźwięk jej głosu odbił się od srebrzystych ścian lodowca, który ją otaczał.

Wierzchołki wokół niej błyszcząły metalicznym światłem. Rozróżniała szczyty, przełęcze i ośnieżone granie. Z przepaści z gwizdem dobywał się wiatr, który wpadał między wielkie sople.

Z oddali doszedł do niej łoskot obsuwającego się skalnego zbocza. Kamienie, uderzając w granitową skałę, ciągnęły za sobą warkocz iskier. Suzie wydało się, że znajduje się w innej rzeczywistości, jakby, rodząc się z niczego, wylądowała w jakimś niepokalanym świecie. Ale tutaj nie było Shamira.



Shamir ją uprzedzał: „Kiedy znajdziemy się na górze, pokonamy zaledwie połowę drogi.

Potem trzeba będzie jeszcze zejść w dolinę”.

Czasu było mało. Kombinezon Suzie ucierpiał tak jak ona sama. Pierwsze ukłucia zimna poczuła w talii i w kostkach. Gorzej, zdała sobie sprawę, że straciła czucie w palcach. Podniosła się, chwyciła plecak i zaczęła dokładnie analizować trasę, którą musiała jeszcze przebyć. Zanim jednak ruszyła w drogę, uklękła na brzegu przepaści. Spojrzała na szczyt Mont Blanc, przeklęła tę straszną górę i przysięgła powrócić tu, żeby zabrać zwłoki Shamira.



Gdy schodziła, nie czuła w ogóle swego ciała. Jak lunaticzka sunęła przez ciemność.

Cena za naruszenie spokoju gór okazywała się coraz wyższa.

Wiatr zaczął dąć ze zdwojoną siłą. Suzie szła w oślepiającej bieli, nie widząc absolutnie nic. Za każdym krokiem słyszała ponure trzaski pękającego lodowca.

Wyczerpana zaszyła się na noc w szczelinie skalnej. Mimo że chroniła prawą dłoń, wsuwając ją do kieszeni kurtki, czuła w niej szarpiący ból. Zdjęła szal i zamotała go najciaśniej, jak mogła, na prawej dłoni, wściekła sama na siebie na widok czerniejących koniuszków odmrożonych palców. Wyjęła z plecaka maszynkę gazową, ustawiła ją na kamieniu i postanowiła zużyć resztki gazu, żeby roztopić trochę lodu i ugasić pragnienie. W chyboczącym świetle wzięła do rąk skórzaną saszetkę, która kosztowała Shamira życie, i postanowiła przejrzeć jej zawartość.

Znajdował się w niej list w plastikowej kopercie, której Suzie nie otwierała, żeby jej nie uszkodzić, wypłowiła fotografia jakiejś kobiety i czerwony klucz. Suzie ostrożnie zamknęła saszetkę z powrotem i wsunęła ją pod kombinezon.

O świcie ruszyła w drogę. Niebo było jasne. Szła, co chwila potykając się, bez przerwy upadała, ale za każdym razem się podnosiła.

Ratownicy znaleźli ją na wpół przytomną w szczelinie lodowego wzniesienia. Policzki miała odmrożone, krew zabarwiła na czarno palce jej

dłoni bez rękawiczki, ale najbardziej uderzyło ratownika jej spojrzenie. Odbijał się w nim dramat, który niedawno przeżyła.

4

Karawan jechał powoli tuż za trzema samochodami o przyciemnionych szybach. Siedzący po prawej stronie kierowcy Simon wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w drogę.

Sznur samochodów wjechał na cmentarz i krętymi ścieżkami dotarł na wzgórze.auta zaparkowano wzdłuż chodnika.

Pracownicy zakładu pogrzebowego wysunęli trumnę z karawanu i ustawili ją na drewnianych koziołkach obok świeżo wykopanego grobu. Na wierzchu położyli dwa wieńce.

Z jednego zwisała wstęga z napisem: „Najlepszemu przyjacielowi”, na drugim, ofiarowanym przez związek zawodowy dziennikarzy, można było odczytać następujące słowa: „Naszemu drogiemu koledze, który poświęcił życie dla wykonywanego zawodu”.

Parę metrów od grobu, nieco na uboczu, stał jakiś reporter miejscowej telewizji z kamerą.

Czekał na rozpoczęcie uroczystości pogrzebowych, żeby nakręcić kilka scen.

Simon zabrał głos jako pierwszy, mówiąc, że zmarły i on byli jak bracia, że pod maską upartego, często szorstkiego w obyciu dziennikarza krył się człowiek szlachetny, wspaniałomyślny i dowcipny. Andrew nie zasługiwał na tak wczesną śmierć. Zostało mu jeszcze wiele do zrobienia, to niepowetowana strata.

Simon musiał przerwać, żeby powstrzymać szloch, otarł oczy i zakończył swoją mowę sentencją, że najlepsi zawsze odchodzą pierwsi.

Po nim nad grobem stanęła Olivia Stern, redaktorka naczelna „New York Timesa”, i nakreśliła tragiczne okoliczności śmierci Andrew Stilmana.

Dziennikarz, zasłużony reporter, pojechał do Argentyny śledzić losy dawnego zbrodniarza wojennego. Gdy wrócił do Nowego Jorku po trudnej misji zakończonej sukcesem, został zamordowany podczas joggingu na ścieżce biegnącej wzdłuż rzeki Hudson, co jest dowodem na to, że jeśli komuś śmierć jest pisana, trudno jej uciec. Morderstwo popełnione w celu

ukrycia prawdy było jednocześnie ponurą zemstą, dokonaną przez córkę kata, którego Andrew zdemaskował. Dokonując zamachu na życie Stilmana, jego morderczyni zaatakowała wolność prasy, a jej postępek był kolejnym z ciągu zbrodni, których niegdyś dopuścił się jej ojciec. Jednak przed utratą przytomności Andrew zdążył wyjawić sanitariuszom jej nazwisko i władzom argentyńskim przesłano już wniosek o ekstradycję.

– Ameryka nie pozwoli ujść bezkarnie zabójcom jednego ze swych synów.

Sprawiedliwości stanie się zadość! – oznajmiła dobitnie Olivia Stern. Następnie położyła dłonie na trumnie i wzniosła oczy do nieba, uroczyście oświadczając: Andrew Stilman był człowiekiem głębokich, niezachwianych przekonań, poświęcił życie dla zawodu dziennikarza, ostatniego szanca demokracji. Andrew Stilmanie, który padłeś na tym szanccu jak żołnierz na polu chwały, nigdy o tobie nie zapomnimy! Już jutro „Sala B”, mieszcząca archiwa naszej gazety, ta, która znajduje się na pierwszym piętrze pod ziemią na prawo od windy – tu Olivia Stern rzuciła porozumiewawcze spojrzenie w kierunku dyrektora administracyjnego – zostanie nazwana twoim nazwiskiem. Nie będzie to już „Sala B”, ale „Sala imienia Andrew Stilmana”. Pamięć o tobie nigdy nie zaginie! – oświadczyła na koniec uroczyście.

Kilku kolegów Andrew, którzy przyszedli na pogrzeb, zaczęło klaskać, a Olivia Stern ucałowała wieko trumny, zostawiając na powerniksowanej dębowej desce ślad ust odcisnięty szminką „Rouge” Coco Chanel, po czym wróciła na swoje miejsce.

Pracownicy zakładu pogrzebowego na znak Simona unieśli trumnę i postawili ją na podnośniku ustawionym nad grobem. Naciśnięto odpowiedni guzik i trumna z ciałem Andrew Stilmana powoli znikła we wnętrzu ziemi.

Ci, którzy wzięli wolne przedpołudnie, żeby odprowadzić na miejsce ostatniego spoczynku zmarłego dziennikarza, podchodzili po kolei oddać mu ostatni hołd. Była między nimi Dolorès Salazar, dokumentalistka, która lubiła Andrew – często wpadali na siebie w sobotę rano w lokalu Stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików mieszczącym się przy Perry Street; Manuel Figera, zajmujący się roznoszeniem poczty w biurze – Andrew był jedynym z pracowników redakcji, który od czasu do czasu stawiał mu kawę w kafeterii;

Tom Cimilio, dyrektor administracyjny, który dwa lata wcześniej groził Andrew zwolnieniem, jeśli ten raz na zawsze nie rozwiąże swoich problemów z alkoholem; Gary Palmer z działu prawnego dziennika, mediator konfliktów wywoływanych regularnie przez Andrew w trakcie wykonywania obowiązków służbowych; Bob Stole, przewodniczący związku zawodowego – ten akurat nigdy nie poznał Andrew, ale miał dyżur w dniu pogrzebu, i Freddy Olson, pracujący przy sąsiednim biurku. Po Freddy'emu trudno było poznać, czy powstrzymuje łzy, czy nerwowy śmiech, tak bardzo wyglądał na naćpanego.

Olson jako ostatni rzucił białą różę na leżącą w dole trumnę. Nachylił się, żeby spojrzeć, gdzie dokładnie spadła, i o mało co nie wpadł za nią, na szczęście w ostatniej chwili szef związkowców złapał go za rękaw.

Potem żałobnicy stopniowo zaczęli odchodzić od grobu kolegi i wracać do swoich samochodów. Przy pożegnaniu obejmowali się, Olivia i Dolorès płakały, Simon podziękował

wszystkim za przybycie i w końcu ludzie rozeszli się do swoich zajęć.

Dolorès o jedenastej miała wizytę u manikiurzystki, Olivia umówiła się na lunch z przyjaciółką, Manuel Figera obiecał żonie, że pojedzie z nią do Home Depot kupić nową suszarkę do bielizny, Tom Cimilio miał być świadkiem na ślubie swego siostrzeńca, Gary Palmer spieszył się na spotkanie z przyjacielem, który handlował na pchlim targu przy Dwudziestej Piątej Ulicy, Bob Stole wracał na dyżur do redakcji, a Freddy Olson zarezerwował sobie na czas lunchu masaż orientalny w pewnym zakładzie w Chinatown, którego pracownice prawdopodobnie od bardzo dawna się nie spowiadały ze swoich grzechów.

Każdy wracał do swego życia, pozostawiając Andrew Stilmana śmierci.



Pierwsze godziny po pogrzebie wydały mu się bardzo długie, a zwłaszcza samotne, co było dość nieoczekiwane dla kogoś, kto samotność od zawsze uwielbiał. Opadł go niepokój, który tym razem nie wywołał ani apetytu na kieliszek fernet-branca z coca-colą, ani zimnych potów, ani dreszczy, ani nawet, co oczywiste w zaistniałej sytuacji, lekkiego przyspieszenia pulsu.

Potem nadeszła noc, a z nią ta dziwna rzecz, z której szybko zdał sobie sprawę.

Mimo że do tej chwili jakoś przyzwyczaiał się do wyjątkowego braku przestrzeni w tym podziemnym pomieszczeniu bez drzwi i okien, a nawet niespecjalnie przeszkadzała mu cisza królująca sześć stóp pod ziemią – chociaż tak lubił wsłuchiwać się w uliczną kakofonię, odgłos walących młotów pneumatycznych, motocyklistów, dla których warkot rzeźącego silnika był

potwierdzeniem wysokiego poziomu testosteronu, wycia syren, pulsującego alarmowego dźwięku cofającej się ciężarówki, który budzi w was ochotę zamordowania kierowcy, głośnych pijackich śpiewów powracających do domu o każdej możliwej porze rozbawionych ludzi, którym chciałoby się odstawić pod oknami podobny koncert – ku swemu wielkiemu zdziwieniu zauważył, że lewituje kilka centymetrów ponad kopczykiem przykrywającym jego ciało. Żeby nie wiem jak absurdalnie to wyglądało, siedział po turecku i widział wszystko, co działo się wokół, to znaczy niewiele.

Ponieważ miał dużo wolnego czasu, zaczął robić listę tego, co widział: trawnik z trawą przechyloną wiatrem w kierunku północnym... zarośla złożone z cisów, klonów i dębów w rogu cmentarza chylące się w tę samą stronę... Cała okoliczna przyroda zdawała się zwracać w kierunku autostrady, która biegła w dole cmentarza.

I nagle, gdy skonsternowany Andrew zastanawiał się, jak długo przyjdzie mu jeszcze tak się nudzić, usłyszał głos:

– Przyzwyczaisz się. Z początku się dłuży, ale w końcu traci się poczucie czasu. Wiem, co myślisz. Gdybyś wcześniej pomyślał o śmierci, kupiłbyś sobie teren z widokiem na morze.

Zrobiłbyś jednak duży błąd! Ciągły szum fal może być bardzo denerwujący. Na autostradzie natomiast może się od czasu do czasu wydarzyć coś ciekawego. Korki, pościgi policyjne, wypadki... To o wiele bardziej interesujące, niż sobie można wyobrazić.

Andrew spojrział w kierunku, z którego dochodził głos. Nad sąsiednim grobem zobaczył

jakiegoś mężczyznę, również siedzącego po turecku kilka centymetrów nad ziemią, który się do niego uśmiechał.

– Arnold Knopf – przedstawił się mężczyzna, nie zmieniając pozycji. –

Tak się nazywałem. Zaczynam pięćdziesiąty rok pobytu tutaj. Zobacysz, przyzwyczaisz się, to kwestia czasu.

– A więc tak wygląda śmierć? – spytał Andrew. – Wisi się nad własnym grobem i gapi na autostradę?

– Gapisz się, na co chcesz, masz wolny wybór, ale dla mnie autostrada jest najciekawsza.

Czasem też mamy odwiedziny, zwłaszcza w weekendy. Żyjący przychodzą płakać nad naszymi grobami, ale nie nad moim. Nasi sąsiedzi są tu tak długo, że ci, co ich odwiedzali, też już umarli.

Większość z nich nawet nie fatyguje się, żeby wyjść na zewnątrz. Jesteśmy, jeśli mogę tak to ująć, najmłodszy w tym sektorze. Mam nadzieję, że będą cię odwiedzać, z początku zawsze ktoś przychodzi, potem smutek mija i wszystko wraca do normy.

Podczas swojej długiej agonii Andrew często wyobrażał sobie, jak może wyglądać śmierć, mając nadzieję znaleźć w niej formę uwolnienia się od demonów, które go męczyły za życia. Ale to, co się wydarzyło, było najgorsze z tego, co sobie mógł wyobrazić.

– Widziałem różne rzeczy... – podjął sąsiad. – Pamiętam poprzednie stulecie, przeżyłem trzy wojny. Kiedy myślę, że to zwykły bronchit mnie załatwił... Niech mi ktoś powie, że śmieszność jeszcze nikogo nie zabiła! A ty? – Andrew nic nie odpowiedział. – Ale mamy czas, a poza tym nie martw się, wszystko słyszałem! – ciągnął sąsiad. – Elegancyjści ludzie przyszli cię pożegnać. Zostać zamordowanym to jednak coś!

– Zgadza się, to niebanalne – odrzekł Andrew.

– I to jeszcze przez kobietę!

– Przez kobietę czy przez mężczyznę, jakie to ma znaczenie...

– Faktycznie, chyba niewielkie. A jednak... Szanowny pan nie miał dzieci? Nie zauważyłem ani żony, ani drobiazgu.

– Nie, ani żony, ani dzieci! – westchnął Andrew.

– Kawaler więc?

– Od niedawna.

– Szkoda, ale może to lepiej dla niej.

– Też tak myślę.

Gdzieś daleko rozbłysły reflektory wozu policyjnego, a kombi, które policja chciała zatrzymać do kontroli, zjechało na pobocze.

– Widzisz, cały czas coś się dzieje na tej autostradzie. To jest autostrada Long Island, która prowadzi na lotnisko JFK. Wszyscy się bardzo spieszą i policja zawsze ich łapie w tym miejscu. W lepsze dni, kiedy kierowca nie chce się zatrzymać, możesz oglądać pościg aż do tamtego zakrętu. Potem, niestety, rząd platanów zasłania widok.

– To znaczy, że nie możemy ruszyć się znad naszych grobów?

– No niezupełnie, z czasem powoli możemy. Udało mi się w zeszłym tygodniu dotrzeć do końca alejki, sześćdziesiąt stóp za jednym razem! Cóż, pięćdziesiąt lat treningu, trzeba powiedzieć. Całe szczęście, że są rezultaty, bo inaczej po co się wysilać?

Andrew się załamał. Sąsiad przysunął się bliżej.

– Nie martw się, naprawdę przywykniesz. Na początku wydaje się to niemożliwe, ale zobaczysz, do wszystkiego można się przyzwyczaić, uwierz mi.

– Czy mógłby się pan na chwilę przymknąć? Potrzebuję ciszy!

– Jak długo sobie życzysz, mój chłopcze, rozumiem, ja się nie spieszę! – odrzekł Arnold Knopf.

I siedzieli tak obok siebie po turecku w ciemną noc.

Jakiś czas później na pnącej się w górę drodze prowadzącej do bramy cementarnej pojawiły się światła reflektorów samochodu. Dla Arnolda było tajemnicą, w jaki sposób otworzono kratę, zwykle o tej godzinie zamkniętą, i podzielił się swoim zaskoczeniem z Andrew.

Brązowe kombi stanęło przy chodniku. Wsiadła z niego kobieta, która ruszyła w ich kierunku.

Andrew natychmiast rozpoznał byłą żonę, Valérie, swoją największą miłość, którą utracił

na skutek najgłupszej pomyłki swego życia. Stan, w jakim się znalazł, był

ceną, jaką zapłacił za chwilę roztargnienia, za przejściowe szaleństwo.

Czy Valérie w ogóle wiedziała, jak cierpiał z powodu wyrzutów sumienia? Czy wiedziała, że zrezygnował z walki o życie z chwilą, gdy przestała odwiedzać go w szpitalu?

Valérie podeszła do grobu i przykucnęła w pełnym skupienia milczeniu.

Widząc ją w tej pozycji przed sobą, po raz pierwszy, odkąd morderca wbił mu ostrze w ciało nad brzegiem rzeki Hudson, poczuł ukojenie.

Oto Valérie, przyszła do niego, jest tu, to liczy się najbardziej.

Nagle Valérie zadarła spódnicę i zaczęła siusiać na płytę nagrobną.

Skończywszy, opuściła spódnicę i powiedziała głośno: – Pieprzę cię, Andrew Stilmanie!

Potem wsiadła do samochodu i odjechała tak szybko, jak się zjawiała.

– No, no! – aż gwizdnął Arnold Knopf. – Ale historia!

– Czy ona naprawdę nasikała na mój grób?

– Nie chcąc parafrazować znanego poety, wydaje mi się, że uczyniła właśnie to.

Przepraszam, ale co jej zrobiłeś, że przyszła nasikać na ciebie w środku nocy?

Andrew westchnął.

– W naszą noc poślubną wyznałem, że zakochałem się w innej.

– Ależ się cieszę, że mam ciebie za sąsiada, Andrew Stilmanie, nie masz pojęcia! Czuję, że będę się nudził o wiele mniej, a może nawet wcale. Wcześniej trochę cię okłamałem, naprawdę nudy tu są okropne! A ponieważ kości zostały rzucone, nie ma wyjścia, to impas, mój drogi. Nie powiem, ale wydaje mi się, że twoja żonka jeszcze ci nie wybaczyła. Z drugiej strony uczynić takie wyznanie w trakcie nocy poślubnej... Nie chciałbym się wymądrzać, ale przyznaj, że fatalnie wybrałeś moment na tego rodzaju szczere zwierzenia!

– Nie umiem kłamać! – westchnął Andrew Stilman.

– Było się dziennikarzem, tak? Opowiesz mi później, muszę teraz odrobić

swoje ćwiczenia na skupienie się, obiecałem sobie dotrzeć do tamtych zarośli przed końcem stulecia.

Dość już mam tych platanów!

„Być” w czasie przeszłym... Uświadomienie sobie tego czasu w odmianie uderzyło Andrew z siłą kuli armatniej wbijającej się w mur fortecy. Być do tej pory, a od tej pory stać się tylko gnijącym ciałem.

Andrew poczuł, jak jakaś siła wciąga go z powrotem pod ziemię. Próbował z nią walczyć i zawył z bezsilności.



Simon podszedł do kanapy, ściągnął kołdrę na podłogę i potrząsnął przyjacielem.

– Przestań jęczeć, to nie do zniesienia! Wstawaj, jest dziesiąta, dawno powinienes być w pracy!

Andrew wziął głęboki wdech, jak nurek, który wypływa na powierzchnię po długim pobycie pod wodą.

– I przestań pić, będziesz dużo spokojniej spał! – dodał Simon, biorąc do ręki opróżnioną butelkę jacka danielsa. – Wstawaj, idź się ubrać albo przysięgam, że zrzucę cię ze schodów, mam dość oglądania cię w takim stanie.

– Dobra, dobra... – Andrew przeciągnął się. – To sprężyny w twojej kanapie mnie wymęczyły. Nie mógłbyś urządzić wreszcie porządnego pokoju gościnnego?

– A ty nie możesz wreszcie wrócić do siebie? Wszedłeś ze szpitala trzy miesiące temu.

– Już niedługo, obiecuję! Nie lubię być sam w nocy. A poza tym u ciebie nie piję.

– Nie pijesz, dopóki nie zasnę! W kuchni zostawiłem ci kawę. Idź do pracy, Andrew, to najlepsze, co możesz zrobić, i to naprawdę jedyna rzecz, którą robisz dobrze.

– „Najlepsi zawsze odchodzą pierwsi”... Naprawdę? Nie mogłeś znaleźć lepszej maksymy do wygłoszenia nad moim grobem?

– Przypominam ci, że to wszystko istnieje tylko w twojej chorej wyobraźni. To ty piszesz scenariusze swoich koszmarów i szczerze mówiąc, twoje dziennikarskie wycieczki są żałosne.

Simon wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Andrew poszedł do łazienki. Spoglądając w lustro, stwierdził, że wygląda nieźle, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile wypił poprzedniego wieczoru. Zmienił jednak zdanie, gdy podszedł bliżej. Oczy miał napuchnięte, czarny zarost skrywał większą część policzków. Simon miał rację, może czas wrócić na zebrania wspólnoty Anonimowych Alkoholików przy Perry Street. Na razie pokaże się na porannym zebraniu redakcji, a potem pójdzie do biblioteki miejskiej. Od trzech miesięcy lubił w niej przesiadywać.

Gdy znajdował się w tej wielkiej sali, mimo panującej dokoła ciszy miał wrażenie, że jest w towarzystwie. Jakie inne miejsce na świecie mogłoby tak ratować go przed samotnością, jednocześnie nie narzucając mu ludzkiej obecności?

Umyty i czysto ubrany wyszedł z mieszkania, wpadł do Starbucksa, gdzie połknął

śniadanie, i pognął do redakcji. Spojrzał na zegarek i skierował się wprost do sali konferencyjnej, gdzie Olivia kończyła kolegium redakcyjne.

Dziennikarze wstawali od stołu i wychodzili na korytarz. Andrew stał przy drzwiach.

Olivia dała mu znak, żeby zaczekał. Kiedy wszyscy już wyszli, podeszła do niego.

– Nie musi pan tak szybko wracać do pracy, Andrew. Ale jeśli decyduje się pan na powrót, proszę to zrobić naprawdę. Poranne kolegium redakcyjne jest obowiązkowe.

– Przecież jestem...

– Jest pan i pana nie ma... Od trzech miesięcy nie napisał pan ani jednego zdania.

– Zastanawiam się nad następnym tematem.

– Nic pan nie robi i jeszcze wrócił pan do picia.

– Jak pani może tak mówić?

– Proszę się przejrzeć w lustrze.

– Pracowałem do późna w nocy nad nowym reportażem.

– Miło mi to słyszeć. Może mi pan zdradzić temat?

– Kobieta zgwałcona i śmiertelnie pobita w slumsach Johannesburga osiemnaście miesięcy temu. Policja nic nie robi, żeby złapać morderców.

– Ten przypadek, jak i inne tego typu powtarzające się codziennie akty przemocy w RPA, z pewnością przykuje uwagę czytelników, proszę mnie uprzedzić, gdy pan skończy, zarezerwuję pierwszą stronę.

– To była ironia?

– To chyba jasne.

– Ona została zamordowana z powodu orientacji seksualnej. Jediną jej zbrodnią było to, że kochała inną kobietę. Z tej samej przyczyny policja, która zna winnych tej zbrodni, tyle się interesuje mordercami, co przejechanym bezdomnym psem. Jej rodzina walczy, żeby sprawiedliwości stało się zadość, ale władz to nie obchodzi, oni raczej skłonni są pogratulować tym troglodytom, którzy ją zabili. Miała dwadzieścia cztery lata.

– To tragiczne wydarzenie, ale Republika Południowej Afryki jest daleko od nas, a jeszcze dalej od centrum zainteresowań naszych czytelników.

– W zeszłym tygodniu jeden z naszych błyskotliwych kongresmenów republikańskich stwierdził w telewizji, że małżeństwo homoseksualne to otwarte drzwi dla kazirodztwa i pedofilii. Żyjemy w dziwnym świecie, wszędzie stawia się granice, nawet nasz kochany burmistrz stara się ograniczyć konsumpcję napojów gazowanych w salach kinowych, ale żeby ktoś starał się przeciwdziałać głupocie kongresmenów, nic z tego! Powinno powstać prawo, które karałoby ich również, gdy przekroczą tolerowaną normę ignorancji!

– Interesuje się pan polityką, Stilman?

Andrew poprosił, żeby redaktor naczelna nie lekceważyła jego słów.

Słowa kongresmena były nie tylko obraźliwe, one wręcz nawoływały do nienawiści. Andrew chciał udowodnić, jak bardzo mogą zaognić konflikt nierozważne wypowiedzi, jeśli stygmatyzują jakąś grupę społeczną.

– Widzi pani teraz, o co mi chodzi? Zaczynam od opisanie zbrodni dokonanej na niewinnej dziewczynie, przedstawiam pasywność władz południowoafrykańskich, które pozostają wobec tego przestępstwa całkowicie obojętne, a potem przechodzę do naszego kongresmena, tego głupka, i do jego wypowiedzi, nieobliczalnej w skutkach, jeśli ktoś potraktuje ją dosłownie. Jeśli mi się uda, mógłbym zmusić jego partię do wyparcia się tej opinii, a więc do publicznego zajęcia stanowiska.

– Niejasny i ryzykowny plan, ale jeśli zajmuje to pana do czasu, dopóki nie trafi się temat bardziej...

– ...bardziej istotny niż zgwałcenie, pobicie i zadżganie dwudziestoczteroletniej kobiety tylko dlatego, że była lesbijką?

– Tego nie powiedziałam, Stilman!

Andrew położył dłoń na ramieniu szefowej, wywierając lekki nacisk, jakby w celu podkreślenia swoich słów.

– Olivio, proszę mi obiecać, że w dniu, gdy naprawdę umrę, wstrzyma się pani od przemawiania nad moim grobem.

Olivia popatrzyła na Andrew zaintrygowana.

– Dobrze, ale dlaczego?

– „Padłeś na tym szanccu jak żołnierz na polu chwały”... No nie, naprawdę wstydzilem się za panią.

– O czym pan w ogóle mówi, Stilman?

– Ach, o niczym, nieważne. Wystarczy, jeśli mi pani to obieca... I jeszcze jedna rzecz.

Sala archiwów? Nie mogła pani wybrać miejsca bardziej ponurego?

– Dość tego, Andrew, tracę tylko z panem czas. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mi pan tu opowiada. Proszę się zabrać do pracy, gotowa jestem pokryć koszty biletu do Kapsztadu, żeby tylko pan zniknął mi wreszcie z

oczu!

– Do Johannesburga! I to niby ja chodzę z głową w chmurach! Chyba śnię!

Andrew wszedł do windy i wrócił do swego biura. Panował tam ten sam nieporządek, jak tego dnia, w którym na niego napadnięto. Freddy Olson ze zbiorciem krzyżówek w dłoni żuł

koniec ołówka i kiwał się na krześle.

– Widmo na cztery litery, masz jakiś pomysł? – spytał wchodzącego Andrew.

– A ślad moich czterech palców na twojej gębie, masz pomysł?

– Jakiś mężczyzna na rowerze w West Village został przewrócony przez policjanta – ciągnął Olson niezbity z tropu. – Policjant najpierw przeciął mu drogę, a potem jeszcze chciał go wylegitymować. Kiedy rowerzysta zaprotestował, że niby co to za porządki, policjant założył mu kajdanki i zabrał do aresztu. Chcesz się tym zająć?

– A w jaki sposób on zaprotestował?

– Według spisanego zeznania starszy pan spoliczkował policjanta za obraźliwy ton, jakim ten się do niego zwrócił.

– W jakim wieku był ten twój rowerzysta?

– Osiemdziesiąt pięć lat, a policjant – trzydzieści.

– To miasto zawsze będzie mnie zaskakiwać! – westchnął Andrew. – Zostawiam kronikę wydarzeń codziennych tobie, na mnie czeka prawdziwa robota dziennikarska.

– Czysty burbon czy daiquiri?

– Chcesz rozmawiać o nałogach, Olson? Na moim pogrzebie byłeś nawalony jak stodoła.

– Nie wiem, o czym mówisz. Od dawna już niczego nie biorę. Przysiągłem sobie, że jeśli umrzesz, rzucam kokę.

Andrew świadomie powstrzymał się, żeby nic nie odpowiedzieć koledze, wziął ze swojego biurka korespondencję, egzemplarz porannego wydania dziennika i wyszedł z redakcji.

Był piękny dzień. Andrew skierował swoje kroki do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, która znajdowała się kilka przecznic dalej.



Przy wejściu do czytelni pokazał kartę biblioteczną. Dyżurny bibliotekarz przywitał go cichym „dzień dobry”.

– Dzień dobry, Yacine – odrzekł Andrew, wyciągając do niego dłoń.

– Zamówił pan coś na dziś? – spytał bibliotekarz, patrząc na ekran komputera.

– Przychodzę zaopatrzony we wszystko, czego potrzebuję, dla pewności, że nie będę robił

niczego pożytecznego, czyli mam z sobą moją korespondencję i dzisiejsze wydanie gazety.

Yacine odwrócił się w kierunku stołu, przy którym zwykle siadywał Andrew.

– Ma pan dziś sąsiadkę – odezwał się wciąż szeptem.

– A nasza umowa?

– Przykro mi, panie Stilman, ale w tej chwili dużo ludzi przychodzi do biblioteki, sala jest pełna do tego stopnia, że niektórym musimy odmawiać. Nie mogłem trzymać tego miejsca wolnego w nieskończoność.

– Czy ona przyszła na długo?

– Nie mam pojęcia.

– Ładna?

– Raczej.

– Kto to jest?

– Wie pan, że nie mamy prawa podawać tego rodzaju informacji.

– I mnie też to dotyczy, Yacine?

– Panie Stilman, niech pan spojrzy, ilu ludzi już ustawiło się za panem. Proszę iść na swoje miejsce.

Andrew posłusznie wszedł do czytelnicy, starając się stąpać złośliwie głośno. Równie głośno odsunął krzesło, na które opadł, i rozłożył gazetę.

Za każdym razem, gdy odwracał stronę gazety, starał się szeleścić jak najgłośniej. Jego sąsiadka nawet nie uniosła głowy. Wreszcie znudziła go ta zabawa i przestał, starając się skupić na artykule, który czytał.

Ale nie udało mu się – odłożył gazetę i zaczął obserwować zagłębianą w pracy młodą kobietę siedzącą naprzeciw niego.

Wyglądała jak Jean Seberg i była tak samo jak ona uczesana. Czytała z uwagą, przeciągając palcem wskazującym po każdym wierszu. Od czasu do czasu notowała coś w zeszycie. Andrew dawno nie widział kogoś tak skupionego.

– Mam nadzieję, że to w kilku tomach? – spytał. Młoda kobieta podniosła oczy znad tekstu. – Nie wiem, co pani czyta, ale wygląda na coś pasjonującego... – dodał.

Kobieta uniosła brew ze zdziwieniem i wróciła do lektury.

Andrew patrzył na nią jeszcze chwilę, ale zanim zdążył coś powiedzieć, kobieta zamknęła zeszyt i wstała. Odniosła książkę bibliotekarzowi i wyszła.

Andrew podniósł się i podbiegł do bibliotekarza.

– Życzy pan sobie jakąś książkę, panie Stilman?

– Tę! – Andrew popatrzył na książkę, którą młoda kobieta zostawiła na kontuarze koło komputera.

Yacine położył na niej dłoń.

– Najpierw muszę wpisać zwrot, dopiero potem mogę wystawić nowy rewers – odrzekł. – Zna pan przepisy, prawda? Proszę wrócić na miejsce, przyniesiemy ją panu.

Andrew wydał usta, dając do zrozumienia bibliotekarzowi, że jego nadgorliwość zaczęła go w najwyższym stopniu drażnić.

Opuścił bibliotekę. Ku swemu zdumieniu zaczął pośród tłumu siedzącego na wielkich schodach przed budynkiem szukać wzrokiem swojej sąsiadki. Po chwili wzruszył ramionami i postanowił się przejść.



Następnego ranka Andrew jak zwykle zjawił się w czytelnicy około dziesiątej rano. Miejsce naprzeciw niego było wolne. Kilka razy omiótł wzrokiem siedzących w sali ludzi, wreszcie zrezygnowany opadł na krzesło i rozłożył gazetę.

W porze lunchu poszedł do kawiarni. Dziewczyna, obok której siedział wczoraj w bibliotece, zbliżała się do kasy, przesuując tacę po blacie biegnącym wzdłuż chłodzonego bufetu. Andrew wziął kanapkę z półki, starając się nie stracić z oczu młodej kobiety, i wślizgnął

się do kolejki.

Chwilę później usiadł niedaleko od niej i patrzył, jak je. Jadła tartę jabłkową i jednocześnie notowała coś w zeszycie. Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie oderwać jej od pracy.

Andrew to zafascynowało. Kęs, notatka, kęs, notatka – przesuwał wzrokiem od zeszytu do jej ust, w których co chwila znikwały odgryzane z apetytem kawałki ciasta. Uderzyło go coś, co zauważył już poprzedniego wieczoru. Kobieta używała wyłącznie lewej ręki: palcem wskazującym przesuwała po tekście, a potem notowała coś w zeszycie. Prawa ręka wciąż znajdowała się pod stołem. Andrew zaczął się zastanawiać, co ona ukrywa.

Młoda kobieta podniosła głowę, popatrzyła dokoła, uśmiechnęła się krótko do Andrew i poszła w kierunku czytelnicy, po drodze zsuwając resztki z tacy do kosza na śmieci.

Andrew wrzucił do tego samego kosza swoją kanapkę i dogonił ją. Usiadł na swoim miejscu przy stole i rozłożył gazetę.

– Mam nadzieję, że to dzisiejsza! – rzuciła po chwili.

– Przepraszam?

– Jest pan tak mało dyskretny... Spytałam tylko, czy czyta pan ostatnie wydanie.

Ponieważ tylko pan udaje, że czyta, więc od razu przejdę do rzeczy: czego pan ode mnie chce?

– Ależ niczego, wcale się panią nie interesowałem, zastanawiałem się, to wszystko... – wydukał Andrew, nie umiejąc ukryć zmieszania.

– Zbieram materiały o historii Indii, interesuje to pana?

- Jest pani nauczycielką?
- Nie. A pan jest policjantem?
- Również nie. Jestem dziennikarzem.
- Analitykiem finansowym?
- Dlaczego pani to przyszło do głowy?
- Z powodu pana zegarka. Według mnie tylko dziennikarz zajmujący się finansami może sobie pozwolić na taki zegarek.
- To prezent od żony... od mojej byłej żony.
- Nie zadrwiła sobie z pana.
- Nie, to raczej ja z niej zadrwiłem.
- Mogę już wrócić do pracy? – spytała młoda kobieta.
- Oczywiście – odpowiedział Andrew. – Nie chciałem pani przerywać. Podziękowała mu i zagłębiła się w lekturze.
- Jestem reporterem! – sprecyzował Andrew.
- Nie chcę być niegrzeczna, ale wolałabym móc skupić się na pracy.
- Dlaczego interesują panią Indie?
- Zamierzam się tam wybrać.
- Na wakacje?
- Nie zostawi mnie pan w spokoju, co? – westchnęła kobieta.
- Dobrze, już nic nie powiem. Od tej chwili będę milczał jak zakłęty.

I dotrzymał słowa. Nic nie mówił przez całe popołudnie, ledwo skinął jej głową na pożegnanie, gdy wyszła dyskretnie godzinę przed zamknięciem biblioteki.

Wychodząc, złapał książkę zostawioną przez jakiegoś czytelnika na kontuarze, wsunął

pod okładkę banknot dwudziestodolarowy i wręczył książkę bibliotekarzowi.

- Chcę tylko poznać jej nazwisko.

– Baker – wyszeptał Yacine, przyciskając książkę do piersi.

Andrew sięgnął do kieszeni i wyjął z kieszeni džinsów drugi banknot z portretem Jacksona.

– A jej adres?

– Sześćdziesiąt pięć Morton Street – wyszeptał Yacine, chowając drugą dwudziestodolarówkę do kieszeni.

Przed budynkiem biblioteki na rogu Piątej Alei kłębił się tłum. O tej godzinie znalezienie taksówki było praktycznie niemożliwe. Andrew spostrzegł, jak jego sąsiadka macha dłonią na skrzyżowaniu z Czterdziestą Drugą Ulicą. Na jej poziomie zatrzymała się czarna limuzyna i kierowca opuścił szybę, żeby zaproponować swoje usługi. Andrew podszedł dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, jak młoda kobieta negocjuje cenę kursu. Po chwili wsiadła i czarny crown płynnie wjechał między sznur samochodów.

Andrew popędził aż do Szóstej Alei, zbiegł do metra, wsiadł do pociągu linii D

i kwadrans później wyłonił się z wyjścia stacji Zachodniej Czwartej Ulicy. Stąd udał się do Henrietta Hudson Bar, którego kartę drinków znał doskonale. Zamówił u barmana piwo imbirowe i usiadł przy stoliku pod oknem. Patrząc na skrzyżowanie ulic Morton i Hudson, zastanawiał się, dlaczego założył, że młoda kobieta z biblioteki pojedzie prosto do siebie, a przede wszystkim, co spowodowało, że zachował się tak bezsensownie i przyjechał aż tutaj. Po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że to wszystko z powodu nudy. Uregulował

rachunek i wyszedł z baru z zamiarem udania się do Simona, który właśnie musiał kończyć pracę w swoim warsztacie.

Kilka minut później czarna limuzyna podwiozła Suzie Baker pod jej dom.



Żelazna krata była opuszczona. Andrew szedł w kierunku warsztatu Simona. Zauważył

przyjaciela pochylonego nad otwartą maską studebakera zaparkowanego nieco dalej na ulicy.

– Dobrze, że jesteś! – ucieszył się Simon. – Nie mogę go uruchomić, a sam nie dam rady wepchnąć go do warsztatu. Martwiłem się, że będę musiał zostawić go na noc na ulicy!

– Zazdroszczę ci twoich zmartwień, stary.

– Przecież to jest moje źródło utrzymania, więc normalne, że dbam o swoje samochody.

– Wciąż go nie sprzedałeś?

– Sprzedałem, ale facet, który go kupił, zwrócił mi go w zamian za zakup oldsmobila rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty. W taki sposób w moim zawodzie zdobywa się wierność klientów. Pomożesz mi?

Andrew ustawił się z tyłu studebakera, a Simon stanął z przodu i przez opuszczoną szybę manewrując kierownicą, zaczęli obaj pchać samochód w kierunku warsztatu.

– Co się w nim zepsuło? – spytał Andrew.

– Nie mam pojęcia, sprawdzę jutro z mechanikiem.

Po wstawieniu samochodu do warsztatu przyjaciele udali się na kolację do Mary's Fish Camp.

– Chyba zabiorę się wreszcie do pracy! – oznajmił Andrew, siadając przy stoliku.

– Najwyższy czas.

– I wrócę do siebie.

– Nikt cię do tego nie zmusza.

– Ty mnie zmuszasz.

Andrew złożył zamówienie u kelnerki.

– Masz od niej jakieś wiadomości?

– Od kogo? – spytał Simon.

– Wiesz dobrze, o kim mówię.

– Nie, nie mam z nią kontaktu, zresztą, dlaczego miałbym mieć?

– Nie wiem, po prostu miałem nadzieję, że może...

- Zapomnij o niej, ona nie wróci. Za bardzo ją skrzywdziłeś.
- Pijacki wieczór i głupie wyznanie, nie wydaje ci się, że płacę za to zbyt wysoką cenę?
- Nic na to nie poradzę, powinieneś opowiedzieć to jej.
- Ona się wyprowadziła.

- Nic o tym nie wiedziałem, ale skąd ty o tym wiesz, skoro nie masz od niej żadnych wieści?
- Czasem przechodzę pod domem, w którym ona teraz mieszka.
- Przypadkiem?
- Tak, zdarza mi się to zupełnie przypadkowo.

Andrew spojrział przez szybę baru na wygaszone okna swojego mieszkania po drugiej stronie ulicy.

– Nic na to nie poradzę, to silniejsze ode mnie. Niektóre miejsca budzą uśpione wspomnienia. Chwile, które przeżyłem obok niej, są najszcześniejszymi chwilami w moim życiu.

Idę pod jej okna, siadam na ławce i zaczynam wspominać. Czasem widzę cienie nas obojga, jak wieczorem wracamy razem do domu z pełnymi torbami zakupów zrobionych w sklepiku na rogu.

Słyszę jej śmiech czy narzekanie, patrzę na miejsce, w którym prawie zawsze upuszczała jakiś pakunek, gdy szukała kluczy. Czasem nawet wstaję z ławki, jakbym miał ten upuszczony pakunek podnieść i jej podać, z absurdalną nadzieją, że brama domu się otworzy i że życie zacznie płynąć od nowa w momencie, w którym się zatrzymało. To głupie, ale jestem wtedy bardzo szczęśliwy.

- Często tak robisz?
- Dobra ta twoja ryba? – spytał Andrew, celując widelcem w talerz Simona.
- Ile razy w tygodniu przechodzisz pod oknami jej mieszkania, Andrew?
- spytał Simon.

– Moja ryba jest lepsza, źle wybrałeś...

– Musisz przestać litować się nad sobą. Nie udało się wam, to smutne, ale to nie koniec świata. Masz całe życie przed sobą.

– Słyszałem już wiele banałów, ale „Masz całe życie przed sobą” to szczyt wszystkiego.

– I jeszcze chcesz mnie pouczać...

Potem Simon opowiedział przyjacielowi, co mu się wydarzyło w ciągu minionego dnia, a Andrew zwierzył mu się z nowej znajomości, jaką zawarł w bibliotece.

– Dopóki nie będziesz siadał pod jej mieszkaniem i jej szpiegował, to raczej dobra nowina.

– Zasadziłem się na nią w barze na rogu ulicy.

– Co zrobiłeś?

– Słyszałeś, co powiedziałem. Ale to nie to, co myślisz. Coś mnie w tej kobiecie intryguje, nie wiem jeszcze, co to może być.

Andrew zapłacił kelnerowi. Charles Street była puściutka, tylko jakiś starszy pan wyprowadzał swego labradora, pies kulał tak samo jak jego pan.

– Niebawem, jak właściciele upodobniają się do swoich psów! – wykrzyknął Simon.

– Tak, ty powinieneś kupić sobie cocker-spaniela. Chodź, wracamy, to moja ostatnia noc na twojej niewygodnej kanapie. Jutro się wyprowadzam, daję słowo. Obiecuję ci również, że koniec z wysiadywaniem pod oknami Valérie. Tak czy inaczej, ona też się wyprowadziła.

Doprowadza mnie do rozpaczmyśl, że prawdopodobnie zamieszkała z jakimś innym facetem.

– Ale tego właśnie powinieneś jej życzyć.

– Myśl, że zwierza się komu innemu, że zajmuje się innym mężczyzną, że pyta go, jak mu minął dzień, że dzieli z nim to wszystko, co dzieliła ze mną... Nie daję sobie z tym rady.

– Jesteś po prostu zazdrosny, a ona zasługuje na kogoś lepszego.

– Ach, mam dość tych twoich kazań!

– Ktoś jednak musi ci wygarnąć całą prawdę o tobie prosto w oczy!

– Być może ktoś inny, ale nie ty, Simonie, nie ty!

– Po pierwsze, nie masz żadnego dowodu na to, że Valérie zamieszkała z innym ani też na to, że jeśli tak postąpiła, to jest z tym mężczyzną szczęśliwa. Można z kimś zamieszkać z lęku przed samotnością, można chcieć dzielić z nim codzienność, żeby odreagować bolesne rozstanie, cały czas myśląc o dawnym ukochanym. Można rozmawiać z nowym partnerem, słysząc głos tego poprzedniego, patrzeć swojemu obecnemu partnerowi w oczy i widzieć spojrzenie tego poprzedniego...

– No widzisz, mój drogi, to właśnie potrzebowałem usłyszeć. A skąd ty to wszystko wiesz, powiedz mi?

– Bo przeżyłem coś takiego, kretynie.

– Byłeś z jakąś kobietą, myśląc o innej?

– Nie, byłem z kobietą, która kochała innego, byłem dublerem, a kiedy się jest zakochanym, rola dublera jest bardzo bolesna. Jesteś wszystkiego świadom, ale udajesz, że o niczym nie wiesz aż do chwili, gdy już dłużej nie jesteś w stanie wytrzymać, albo do chwili, gdy ona cię wyrzuci z domu.

Zrobiło się chłodno. Simona przeszedł dreszcz. Andrew objął go ramieniem.

– Dobrze nam razem – westchnął Simon. – Nie musisz wyprowadzać się już jutro, jeśli nie czujesz się gotów. Ja mogę od czasu do czasu przespać się na tej kanapie, a ty w moim łóżku.

– Wiem, stary, wiem, ale już jest dobrze, czuję to. Co nie przeszkadza, że może w tę ostatnią noc skorzystam z twojej propozycji i prześpię się w twoim łóżku. Sam to zaproponowałeś!

Po czym w milczeniu poszli w kierunku mieszkania Simona.

5

Oparty o samochód mężczyzna wypatrywał cierpliwie, udając, że czyta przewodnik.

Kiedy lokatorka z trzeciego piętra wyszła na spacer z psem, rzucił książkę i, zanim brama się za nią zatrzasnęła, wślizgnął się do budynku.

Na ostatnim piętrze zaczekał, aż zniknie echo jego kroków, i sprawdził, czy klatka schodowa jest pusta. Znalazł drzwi 6B, wyjął komplet wytrychów i manipulując jednym z nich przy zamku, dostał się do środka.

Mieszkanie zajmujące narożnik budynku miało sześć okien. Story były opuszczone.

Niemożliwe, żeby zauważył go ktoś z przeciwka. Mężczyzna sprawdził, która godzina, i zabrał

się do pracy. Pociął nożem siedzenia i oparcie kanapy, zajrzał pod dywan i pod oprawione zdjęcia wiszące na ścianie, wysunął wszystkie szuflady biurka. Na koniec przeszukał sypialnię.

Łóżko spotkał ten sam los co kanapę, podobnie fotel stojący obok wejścia do łazienki. Zawartość komody wylądowała na poprutym materacu.

Gdy usłyszał dźwięk kroków na klatce schodowej, szybko wrócił do salonu, ścisnął

w dłoni rękojeść noża trzymanego w kieszeni i przywarł do ściany, wstrzymując oddech.

Usłyszał głos osoby stojącej po drugiej stronie drzwi, która jakby kogoś wołała.

Mężczyzna powoli wyjął nóż i zmusił się do zachowania spokoju. Głos zamilkł, lecz za drzwiami wciąż słychać było czyjś oddech. W końcu oddech ucichł i rozległ się stukot oddalających się kroków.

Gdy powróciła cisza, mężczyzna zdecydował, że byłoby ryzykowne zejść schodami klatki schodowej. Ten, którego obecność podejrzewał, być może wezwał policję. Komisariat znajdował

się kilka ulic dalej i patrole przechodziły tędy dość często.

Zaczekał chwilę, zanim postanowił opuścić mieszkanie. Na końcu korytarza klatki schodowej zauważył uchylone okno i wyszedł przez nie na schody przeciwpożarowe biegnące po zewnętrznej ścianie budynku. Był grudzień i mimo że zima spóźniała się z nadejściem, gęste listowie było już tylko odległym wspomnieniem. Gdyby tędy zszedł aż na ulicę, w końcu ktoś by go zauważył, a dla jego cichego współnika było bardzo ważne, żeby nikt nie umiał podać jego rysopisu. Piętro niżej wydostał się przez ochronną barierkę na przylegające do niej schody.

Zajrzał przez okno piątego piętra do wnętrza, po czym łokciem wybił szybę. Zamek ustąpił bez trudności, otworzenie okna było dziecinną zabawką. Mężczyzna skulił się i wślizgnął do sąsiedniego budynku, skąd wyszedł, nie napotkawszy nikogo na swojej drodze.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w boczną ulicę.



Andrew bardzo uważał, żeby nie odezwać się do sąsiadki, która usiadła naprzeciw niego.

Przywitał ją tylko lekkim skinieniem głowy, które ona mu odwzajemniła, siadając. Od dwóch godzin każde z nich było pochłonięte własną pracą.

Leżąca na stole komórka Suzie Baker zawibrowała. Młoda kobieta odczytała wiadomość i zaklęła pod nosem.

– Jakiś problem? – zdecydował się spytać Andrew.

– Owszem! – odpowiedziała Suzie Baker, patrząc mu prosto w oczy.

– Mogę w czymś pomóc?

– Wątpię, chyba że pan skłamał i jest jednak z policji – odpowiedziała, wstając.

– Nie umiem kłamać, kłamię bardzo nieudolnie. Co się stało?

– Drzwi od mojego mieszkania są uchylone, dozorca budynku podejrzewał, że w środku ktoś jest, bał się wejść, dlatego chciał się dowiedzieć, czy jestem u siebie.

– Ale pani tam nie ma – powiedział Andrew, irytując się natychmiast na siebie, że palnął

coś tak głupiego.

Suzie kiwnęła głową twierdząco i poszła do wyjścia, zapominając o książce, którą przeglądała.

Andrew wziął książkę do ręki i poszedł za Suzie. Spomiędzy stron wypadł na podłogę mały notes. Andrew podniósł go, odłożył książkę na kontuar, za którym stał Yacine, przyspieszył

kroku i kiedy znalazł się na placu przed biblioteką, zdążył jeszcze zauważyć, jak Suzie Baker wsiada do taksówki.

– I co teraz, kretynie? – mruknął pod nosem, wściekły na siebie.

Na Piątej Alei samochodyjechały zderzak w zderzak. Andrew był pewien, że tak samo będzie na Siódmej i na Dziewiątej. Jeśli pojedzie metrem, zdąży przed nią.

– Jeszcze jedna głupota! – zaklął, schodząc na stację.

Kiedy wyszedł z metra na wysokości Czwartej Ulicy, zaczął się zastanawiać, jak wytłumaczy swojej sąsiadce z czytelnicy, skąd zna jej adres. Nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

Kiedy zbliżał się do budynku, w którym mieszkała, Suzie Baker wysiadała z taksówki.

Nie zastanawiał się.

– Proszę pani! – krzyknął w jej kierunku.

Obróciła się.

– Co pan tu robi?

– Zostawiła pani książkę na swoim stoliku, zwróciłem ją bibliotekarzowi, a wychodząc, zauważyłem, że wsiada pani do taksówki. Przestraszyłem się, że będzie pani sama z tym włamywaczem. Wiem, że to głupie. Z pewnością zadzwoniła już pani na policję. Ale ponieważ nie widzę przed domem żadnego radiowozu, myślę, że to był fałszywy alarm i że już odjechali.

Ja też już znikam! – zakończył Andrew, robiąc efektowne „w tył zwrot”.

– Skąd pan znał mój adres? – usłyszał za plecami jej głos.

Odwrócił się do niej.

– Złapałem następną taksówkę i dałem kierowcy parę dolców, żeby pojechał za panią.

Przyjechaliśmy w tym samym momencie.

– Z szybkością, z jaką jechałam, mógł pan wysiąść ze swojej taksówki i wsiąść do mojej...

– Myślałem o tym, ale się nie ośmieliłem! – rzekł Andrew.

Suzie Baker przyjrzała mu się z uwagą.

– Nie wzywałam policji – oznajmiła krótko.

– A pani dozorca?

– Wysłałam mu SMS-a, że jestem w łazience i nie mogłam domknąć drzwi.

– Dlaczego pani skłamała?

– Mieszkam tu od niedawna i podnajmuję ten lokal. To niezgodne z przepisami.

Prawdziwą właścicielką jest moja przyjaciółka, która wyjechała na kilka miesięcy do Europy.

Gdyby coś się stało, drobna suma, którą wręczam dozorczy co tydzień, nie wystarczyłaby, żeby opłacić jego milczenie. Nie mogę stracić tego mieszkania. Wie pan, jak trudno coś wynająć w Nowym Jorku?

– Komu pani to mówi...

Suzie Baker zamilkła.

– Może pan ze mną tam wejść? Skłamię, jeśli powiem, że się nie boję. Ale nie nalegam, nie chcę pana na nic narażać.

– Nie sądzę, żeby istniało jakieś ryzyko. Jeśli drzwi do mieszkania zostały otwarte wytrychem, włamywacz już dawno uciekł. A poza tym już tu jestem, więc może się do czegoś przydam. Chodźmy! – rzucił i wziął Suzie za rękę. – Ja wejdę pierwszy.

Gdy Andrew ujrzał, w jakim stanie jest salon, poprosił Suzie, żeby zaczekała na progu.

Rozejrzał się dokoła i wyjął z kieszeni małego walthera TPH, którego kupił, wychodząc ze szpitala.

Pięć miesięcy wcześniej potraktowałby jak wariata każdego, kto nosił przy sobie broń.

Ale po tym, jak ktoś napadł na niego z nożem, kiedy niemal wykrwawił się w karetce i wreszcie po spędzeniu dwóch miesięcy w szpitalu uważał, że ma prawo do noszenia pistoletu w kieszeni marynarki. Jego niedoszły morderca wciąż przebywał na wolności.

Wszedł do mieszkania, otworzył kopnięciem drzwi sypialni i przejrzał każdy kąt.

Uznał, że Suzie przeżyłaby szok, gdyby sama odkryła swój dom w takim stanie, dlatego pogratulował sobie w myślach, że przyszedł tu razem z nią. Odwrócił się i aż podskoczył

z wrażenia, kiedy zobaczył ją tuż za sobą.

– Prosiłem, żeby zaczekała pani na klatce!

– Nie słucham cudzych poleceń, taka już jestem. Czy może pan to schować? – dodała, patrząc na pistolet.

– Tak, oczywiście! – odrzekł Andrew zażenowany, że trzyma pistolet w dłoni.

– Ktoś się nieźle tutaj zabawił... – westchnęła Suzie. – Co za burdel!

Odwróciła się plecami do Andrew i pochyliła, żeby pozbierać porzucane dokoła przedmioty. Andrew nagle poczuł się głupio.

– Pomogę pani! – zaproponował i ukląkł przy niej, podnosząc leżący na podłodze sweter.

– Proszę to położyć na łóżku, później wszystko poukładam.

– Nie sprawdza pani, czy coś nie zginęło?

– Tu nie ma nic wartościowego. Nie mam pieniędzy, biżuterii nie noszę. Może pan przynieść nam z kuchni coś do picia? Ja tymczasem odłożę to na miejsce! – powiedziała, pokazując Andrew, że przydeptuje jej biustonosz.

– Oczywiście! – odrzekł.

Chwilę później wrócił ze szklanką wody, którą Suzie wypła duszkiem.

– Ci, którzy splądrowali pani mieszkanie, nie szukali ani pieniędzy, ani tym bardziej biżuterii...

– Dlaczego pan tak uważa?

– Włamywacz nawet nie wszedł do kuchni. Większość ludzi chowa wartościowe przedmioty w fałszywej puszcze po napoju gazowanym albo na dnie pudełka z płatkami owsianymi, albo jeszcze lepiej w plastikowej torebce w zamrażalniku.

– Może dozorca mu przeszkodził?

– Prawdziwy złodziej zacząłby od kuchni. A po co, na przykład, pociął materac i kanapę?

Czasy, gdy wszywało się złote monety w materac, dawno minęły, to nie tam kobieta chowa swoje pierścionki i kolczyki. Trudno byłoby po nie sięgać przed wieczornym wyjściem.

– Czy jest pan włamywaczem w wolnych chwilach?

– Jako dziennikarz zawodowo jestem ciekaw wszystkiego. Mam prawie stuprocentową pewność, że było tak, jak mówię. To nie wygląda na zwykły napad rabunkowy. Ten, kto tu zrobił

ten bałagan, szukał czegoś konkretnego.

– Więc pomylił mieszkania albo budynki. Na tej ulicy wszystkie domy wyglądają podobnie.

– Będzie pani musiała odkupić przyjaciółce łóżko i kanapę.

– Całe szczęście, że ona na razie nie wraca. Biorąc pod uwagę moje zasoby finansowe, trzeba będzie trochę z tym poczekać...

– Znam miejsce w Chinatown, gdzie można znaleźć meble po okazyjnej cenie. Mogę panią tam zawieźć.

– To bardzo miłe z pana strony – odrzekła Suzie, wciąż zajęta porządkowaniem porzrzuconych rzeczy. – Może mnie pan już zostawić i wrócić do swoich spraw.

– To nic pilnego.

Suzie wciąż była do niego zwrócona plecami, jej spokój i rezygnacja intrygowały Andrew, ale może po prostu umiała ukrywać emocje. Nie wiadomo, gdzie kto ma swój czuły punkt. On, Andrew, pewnie zachowałby się podobnie.

Poszedł do salonu i pozbierał porozrzucane zdjęcia w ramkach, starając się je powiesić na swoich miejscach. Kierował się śladem zostawionym na ścianie.

– To pani zdjęcia, czy przyjaciółki?

– Moje! – krzyknęła Suzie z sąsiedniego pokoju.

– Wspina się pani? – spytał, oglądając czarno-białe zdjęcia. – To pani zwisa z tej góry?

– Ja! – odkrzyknęła Suzie.

– Jest pani bardzo dzielna, mnie się kręci w głowie już na drabinie.

– Człowiek przyzwyczajają się do wysokości, to kwestia treningu.

Andrew podniósł inne zdjęcie i przyjrzał się wizerunkom Suzie i Shamira u stóp jakiejś skały.

– A ten facet koło pani?

– To mój instruktor.

Ale Andrew zauważył też inne zdjęcie, na którym instruktor obejmował Suzie.

Podczas gdy Suzie porządkowała sypialnię, Andrew starał się jako tako ogarnąć salon.

Wrócił do kuchni, przeszukał szuflady i znalazł rolkę taśmy klejącej, takiej, jakiej używa się do paczek. Okleił nią pociętą kanapę i przyjrzał się swemu dziełu.

Suzie podeszła i stanęła za jego plecami.

– Nie jest to piękne, ale przynajmniej będzie pani miała na czym usiąść.

– Mogę w dowód wdzięczności zaprosić pana na lunch?

– A stan pani finansów?

- Powinno mi wystarczyć, żeby zaprosić pana na sałatkę.
- Nienawidzę zieleniny, proszę mi pozwolić zaprosić się na befsztyk. Musi pani nabrać sił.
- Jestem wegetarianką.
- No cóż, nikt nie jest doskonały – stwierdził Andrew. – Niedaleko jest włoska knajpka.

Makaron może pani jeść, prawda?

Kelnerka w restauracji Frankie's przywitała Andrew i pozwoliła mu wybrać stolik.

- Często pan tu przychodzi?
- Czym pani się zajmuje, panno Baker?
- Zbieram materiały do badań.
- Jakie to badania?
- Zanudziłoby to pana w najwyższym stopniu. A jaka jest pana specjalność?
- Reportaż. Lubię wtykać nos w cudze sprawy.
- Jakiś bieżący artykuł, który mogłabym przeczytać?
- Nie napisałem nic od trzech miesięcy.
- Dlaczego?
- To długa historia, która by z kolei panią zanudziła w najwyższym stopniu. Ten facet na zdjęciu to nie jest pani instruktor, prawda?

Suzie popatrzyła uważnie na Andrew, starając się pod gęstym zarostem odgadnąć jego rysy.

- Jak pan wyglądał bez brody?
- Inaczej. Nie podobam się pani z brodą?
- Nie wiem... Nie zastanawiałam się.
- Trochę swędzi, ale to ogromna oszczędność czasu rano – powiedział

Andrew, przesuając dłonią po twarzy.

– Shamir był moim mężem.

– Pani też jest rozwiedziona?

– Nie, jestem wdową.

– Och, przepraszam, faktycznie zbyt często wtykam nos w nie swoje sprawy.

– To pytanie nie było taktowne.

– Było, było. Jak to się stało? To znaczy, w jaki sposób on umarł?

Andrew zdziwił się, gdy Suzie się roześmiała.

– W śmierci Shamira nie było nic śmiesznego, wciąż za nim tęsknię, ale jak na kogoś, kto bał się, żeby nie być nietaktownym... Jest pan bardzo niezręczny, ale chyba mi się to podoba.

A co było słabym punktem pańskiego małżeństwa?

– Ja! Moje małżeństwo było jednym z najkrótszych na świecie! Pobraliśmy się w południe, a o ósmej wieczorem już się rozstaliśmy.

– Jestem szybsza. Moje małżeństwo nie trwało minuty.

W oczach Andrew ukazało się niedowierzanie.

– Shamir zmarł minutę po tym, jak złożyliśmy sobie przysięgę małżeńską.

– Był śmiertelnie chory?

– Wisieliśmy nad przepaścią. Żeby mi uratować życie, przeciął linę, która nas łączyła. Ale jeśli to panu nie przeszkadza, wołałabym zmienić temat.

Andrew spuścił głowę i wbił wzrok w talerz. Milczał przez chwilę, po czym zaproponował:

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Dziś nie może pani tu zostać. Trzeba założyć nowy zamek w drzwiach. Włamywacz może wrócić. Mam niedaleko stąd małe mieszkanie, z którego obecnie nie korzystam. Mogę pani dać klucze. Sam od trzech miesięcy mieszkam u przyjaciela.

Kilka nocy dłużej nie zrobi mu różnicy.

- Dlaczego nie mieszka pan u siebie?
- Boję się duchów.
- Proponuje mi pan mieszkanie, w którym straszy?
- Duch mojej byłej żony straszy wyłącznie mnie, pani może się niczego nie obawiać.
- Dlaczego miałby pan to dla mnie zrobić?
- Robię to dla siebie, odda mi pani przysługę, jeśli się pani zgodzi. A poza tym chodzi tylko o kilka dni, żeby pani...
- Żebym zmieniła zamek i kupiła nowy materac! Zgoda! – rzekła Suzie. – Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale słuchając pana... Rzeczywiście trochę się boję spać w tym mieszkaniu. Przyjmuję propozycję, góra na dwie noce, przyrzekam. Jutro zajmę się wszystkim.

I niech mi pan pozwoli przynajmniej zapłacić za lunch.

- Jeśli pani nalega – odpowiedział Andrew.

Odprowadził Suzie pod swoje mieszkanie i wręczył jej klucze.

– Mieszkanie jest na trzecim piętrze. Powinien być porządek, sprzątaczką przychodzi regularnie, a poza tym od dawna tam nie byłem, kobieta nie ma zbyt dużo pracy. Trzeba trochę zaczekać na ciepłą wodę, ale potem z kranu leci naprawdę ukrop. W szafie w przedpokoju są ręczniki. Niech się pani czuje jak u siebie w domu.

- Nie pokaże mi pan wszystkiego osobiście?

- Nie, lepiej nie.

Andrew się pożegnał.

- Da mi pan swój numer telefonu? Żebym mogła panu zwrócić klucze.

- Odda mi je pani w bibliotece. Jestem tam codziennie.



Suzie obejrzała skrupulatnie mieszkanie Andrew i pomyślała sobie, że jest niebrzydkie.

Zauważyła zdjęcie Valérie, stało w ramce na kominku.

– To ty złamałaś mu serce? Ale jesteś głupia. Chciałabym móc zamienić się z tobą rolami.

Oddam ci go może, ale później, na razie jest mi potrzebny.

I Suzie odwróciła zdjęcie do ściany i poszła do sypialni.

Po południu wróciła do siebie po kilka rzeczy.

Weszła do mieszkania, zdjęła płaszcz, włączyła światło i aż podskoczyła na widok mężczyzny siedzącego przy biurku.

– Powiedziałam „zrobić nieporządek”, a nie „wszystko zniszczyć” – rzuciła, zamykając za sobą drzwi.

– Dał pani swoje klucze. Chodziło o to, żeby zwrócił na panią uwagę, więc można powiedzieć, że misja zakończyła się sukcesem. Zaslужuję na podziękowania.

– Śledzi mnie pan teraz?

– Z prostej ciekawości. Rzadko ktoś zleca mi włamanie do własnego mieszkania, a więc siłą rzeczy stawiam sobie pytania...

Suzie poszła do kuchni, otworzyła szafkę, zdjęła z półki pudełko z płatkami, wyjęła z niego plik banknotów ukrytych na dnie i wróciła do salonu.

– Sześć tysięcy, reszta z tego, co mi pan pożyczył. Proszę przeliczyć – powiedziała, wręczając mężczyźnie pieniądze.

– Czego pani chce od tego faceta? – chciał się dowiedzieć Arnold Knopf.

– Zdradzenie panu tego sekretu nie wchodzi w zakres naszej umowy.

– Nasza umowa dobiega końca. Zrobiłem to, o co mnie pani poprosiła. W ciągu ostatnich dni spędziłem więcej czasu w bibliotece niż w ciągu całego mojego dotychczasowego życia, choć nie przeczytam, lubię czasem zatopić się w lekturze. Gdyby nie szacunek, jaki żywiłem do pani dziadka, nie wyciągnęłaby mnie pani z mojej jaskini.

– To nie kwestia szacunku, ale spłaty długów. Ile razy mój dziadek wyciągnął pana z opresji?

– Panno Baker, o tylu rzeczach nie ma pani zielonego pojęcia...

– Kiedy byłam mała, mówił pan do mnie „Suzie”.

– Ale już pani urosła.

– Odkąd to, Arnoldzie, w pańskim zawodzie idzie się na emeryturę? I niech mi pan nie mówi, że w pana wieku jest pan w takiej formie fizycznej dzięki wyrywaniu chwastów w ogródku.

Arnold Knopf wzniósł oczy do nieba.

– Dlaczego wybrała pani akurat jego?

– Spodobało mi się jego zdjęcie w gazecie, a ja zawsze ufam mojemu instynktowi.

– Jest pani dużo bardziej przebiegła, niż to okazuje. Ponieważ otarł się o śmierć, wydaje się pani, że jest w gorącej wodzie kąpany i że będzie pani mogła łatwo nim manipulować.

– To niezupełnie tak. Ponieważ otarł się o śmierć, pracując nad swoim reportażem, i nic go nie odstraszyło. Niedługo zrobi to samo, to tylko kwestia czasu. Poszukiwanie prawdy to jego narkotyki, pod tym względem jesteśmy podobni.

– Jeśli chodzi o niego, nie wiem... Może ma pani rację. Ale jeśli chodzi o panią, przecenia pani swoje siły, Suzie. Drogo już panią kosztowała ta obsesja, prawie życie. Proszę nie zapominać, jaki koniec spotkał tego, którego wciągnęła pani w swoje plany.

– Och, niech pan już sobie idzie, Arnoldzie. Dostał pan forszę, jesteśmy kwita.

– Obiecałem pani dziadkowi czuwać nad panią. Będziemy kwita w dniu, w którym umrę.

Do widzenia, Suzie.

I Arnold Knopf odszedł.



Następnego ranka Andrew zjawił się na kolegium redakcyjnym punktualnie. Zrobił nawet kilka notatek, co nie uszło uwagi jego szefowej.

Po skończonym zebraniu wślizgnęła się za nim do windy.

– Pracuje pan nad czymś, Stilman?

– Przepraszam?

– Podczas kolegium zauważyłam to spojrzenie, którego od dawna nie widziałam.

– To wspaniale, a o czyje spojrzenie chodzi?

– Nad czym pan pracuje? I niech mi pan nie wciska tych bzdur o RPA, nie uwierzyłam w ani jedno pana słowo.

– W odpowiednim czasie wszystko wyjawię – odrzekł Andrew.

Drzwi windy otworzyły się. Andrew skręcił do swego biura. Gdy Olivia Stern nie mogła już go widzieć, zawrócił i schodami przeciwpożarowymi zbiegł do podziemia.

Cały rano spędził w archiwum. Nazwisko „Suzie Baker” nosiło wiele kobiet. Były wśród nich notariuszka z Dexter, profesor psychologii na Uniwersytecie Jamesa Madisona w Wirginii, malarka, instruktorka jogi, urzędniczka administracji na Uniwersytecie Warwick i jeszcze dwadzieścia innych. Ale po sprawdzeniu danych we wszystkich możliwych wyszukiwarkach nie znalazł nawet drobnej wzmianki o Suzie Baker, którą spotkał w bibliotece. To zaintrygowało go jeszcze bardziej, niż gdyby znalazł cokolwiek. W erze portali społecznościowych było niemożliwe, żeby ktoś nie zostawił po sobie najmniejszego śladu w internecie.

Andrew chciał zadzwonić do jednego ze znajomych w policji, ale przypomniał sobie, że „jego” Suzie podnajmowała mieszkanie. Nie było żadnego powodu, żeby rachunek za elektryczność czy gaz był wystawiony na jej nazwisko. Bez żadnego pisma urzędowego czy kwitu niemożliwe było dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Suzie Baker, której powierzył klucze do swojego mieszkania, okazała się osobą anonimową; coś tu nie grało i Andrew wiedział, że jeśli jego instynkt go ostrzega, pomyłka jest prawie wykluczona.

Jeden z jego kolegów z college’u pracował w urzędzie skarbowym. Andrew podniósł

sluchawkę i zadzwonił. Dowiedział się, że mieszkanie 6B pod numerem 65 Morton Street było własnością jakiejś norweskiej spółki. Dziwna ta przyjaciółka, która wyjechała na kilka miesięcy do Europy... Andrew wstał, żeby rozprostować nogi i zastanowić się.

– Kim jesteś, Suzie Baker? – mruknął pod nosem, siadając z powrotem przed komputerem.

Wystukał słowa „Wypadek Mont Blanc” i na ekranie pojawiła się lista dramatów, które rozegrały się w górach.

Na pasku informacji jakiegoś francuskiego dziennika wyczytał informację o akcji ratowniczej w styczniu. Znalaziono alpinistkę, która spędziła dwie noce w rejonie Mont Blanc unieruchomiona przez burzę śnieżną na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów. Ofiara z licznymi odmrożeniami i w stanie hipotermii została przewieziona do szpitala w Chamonix.

Andrew rzucił okiem na zegar ścienny. Jedenasta przed południem w Nowym Jorku, a więc piąta po południu we Francji. Długo czekał przy telefonie, zanim udało mu się dodzwonić do redakcji „Dauphiné”, ale nie zrozumiał ani słowa, choć osoba po drugiej stronie łączy robiła wysiłki, żeby mówić po angielsku. Drugi telefon wykonał do szpitala w Chamonix i zażądał rozmowy z dyrektorem. Nie ukrywał swojej tożsamości, powiedział, że jest dziennikarzem pracującym w „New York Timesie”. Poproszono go, żeby zaczekał, po czym osoba, z którą rozmawiał, poprosiła o podanie numeru telefonu, pod który można do niego oddzwonić, i rozłączyła się.

Andrew był przekonany, że nikt nie oddzwoni i że będzie musiał kilkakrotnie nagabywać szpital, zanim dostanie jakąś informację. Ale pół godziny później zatelefonował Edgar Hardouin, dyrektor Szpitala Klinicznego w Chamonix, z pytaniem, w czym może pomóc.

Andrew wyłożył mu swój problem z Suzie Baker. Powiedział, że pisze artykuł na temat opieki udzielanej przez szpital turystom amerykańskim podróżującym po Europie. Dyrektor niczego takiego nie pamiętał. Na swoje usprawiedliwienie stwierdził, że jego szpital przyjmuje bardzo dużo pacjentów po wypadkach w górach, ale obiecał, że zajrzy do archiwów i oddzwoni do Andrew następnego dnia.

Andrew rozłączył się i poszedł do biblioteki.



Wchodząc do czytelnicy, Suzie zobaczyła, że krzesło sąsiada stoi puste. Odłożyła książkę, nad którą pracowała, i udała się do kawiarenki. Andrew siedział przy stoliku pod oknem, pił

kawę i przeglądał bieżące wydanie „New York Timesa”.

– W bibliotece nie można pić, a ja rano potrzebuję swojej dawki kofeiny.

– Źle pan spał?

– Spałem na prawdziwym łóżku... Już zapomniałem, jakie to uczucie. A pani?

– Pańskie łóżko jest bardzo wygodne.

– Co jest z pani prawą ręką, że zawsze chowa ją pani do kieszeni?

– Jestem leworęczna, rzadko używam prawej ręki – powiedziała Suzie i zamilkła. – Raczej, czego brakuje mojej prawej ręce... – dodała po chwili wahania, pokazując dłoń. Palec wskazujący i środkowy były w dwóch trzecich amputowane.

– Długi karciane? – spytał Andrew.

– Nie! – roześmiała się Suzie. – Odmrożenie. Najdziwniejsze, że cały czas czuję te palce, tak jakbym ich nie straciła. Czasem nawet mnie boją. Podobno to mija po kilku latach.

– Kiedy to się stało?

– Ubiegłej zimy, wchodziliśmy na Mont Blanc i wpadliśmy w szczelinę lodową.

– To podczas tej wyprawy pani przyjaciel się zabił?

– On się nie zabił. To ja go zabiłam.

Andrew popatrzył na nią zdumiony.

– Zabiły go moja nieostrożność i upór – dodała Suzie.

– Był pani instruktorem, powinien zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Uprzedzał mnie, ale ja nie chciałam go słuchać, kontynuowałam wspinaczkę, on wchodził za mną.

– Rozumiem, co pani czuje. Ja też jestem odpowiedzialny za śmierć człowieka.

– Kto to był?

– Ochroniarz faceta, którego śledziłem. Wyrzuciliśmy na szosę żelastwo, żeby przedziurawić im opony i w ten sposób zmusić do zatrzymania się. Wszystko źle się skończyło, samochód dachował i pasażer siedzący z przodu zginął.

– Nie przebiera pan w środkach, żeby zdobyć materiał do reportażu! – gwizdnęła Suzie.

– To śmieszne, ale nikomu o tym nie opowiadałem, nawet mojemu najlepszemu przyjacielowi.

– Co się stało, że tak się pan otworzył przede mną?

– Chciałem powiedzieć, że rzadko wszystko idzie zgodnie z planem. Zdarzają się wypadki. Co pani robiła na Mont Blanc w środku zimy? Nie znam się na wspinaczce wysokogórskiej, ale wyobrażam sobie, że to nie najlepsza pora, żeby zdobywać szczyty.

– To była rocznica.

– Czego?

– Katastrofy samolotu, który rozbił się na skałach masywu Tournette.

– Musi być miło fetować z panią rocznice.

– Ja też otworzyłam się przed panem. Powiedziałam chyba nawet więcej, niż zamierałam.

– Jeśli to prowokacja, udało się pani!

– Absolutnie nie – odrzekła Suzie. – Proszę pozostać tym dżentelmenem, który powierzył

nieznajomej klucze od swego mieszkania, i zmieńmy temat.

– Ma pani rację, w końcu to nie moja sprawa.

– Przepraszam, nie chciałam pana urazić.

– Dlaczego świętowała pani rocznicę katastrofy lotniczej na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów? Czy na pokładzie wraku znajdował się ktoś pani bliski, ktoś, kogo chciała pani pożegnać?

– Coś w tym rodzaju... – odrzekła Suzie.

– To też mogę zrozumieć. Trudno odbyć żałobę po kimś, kto nie ma grobu, przy którym można przyklęknąć i się pomodlić. Ale wybrać się na taką wyprawę i spowodować śmierć przyjaciela to już okrucieństwo.

– Góry potrafią być okrutne, życie również, prawda?

– Co pani właściwie o mnie wie, panno Baker?

– Wiem, że jest pan reporterem w „New York Timesie”, powiedział mi to pan wczoraj.

– I to wszystko?

– Jest pan rozwiedziony i uzależniony od alkoholu, ale czy te dwa problemy łączą się z sobą, tego mi pan nie powiedział.

– Nie, tego pani nie powiedziałem.

– Moja matka piła. Potrafię rozpoznać na odległość kogoś, kto popija.

– Na dużą odległość?

– Bardzo dużą, tak jak wszystkie dzieci alkoholików. Mam z tego czasu okropne wspomnienia.

– Ja już wcale nie piłem, potem znów zacząłem, i...

– I znów pan przestanie, a potem coś się wydarzy i znów pan zacznie...

– Jak ładnie to pani ujęła!

– Często mi to zarzucano.

– Niesłusznie. Lubię ludzi, którzy nie boją się walić prosto z mostu – powiedział Andrew.

– Pan też taki jest?

– Tak mi się wydaje. Tymczasem czeka na mnie praca, na panią również. Do jutra?

– Doskonale, zwrócę panu wtedy klucze. Posłuchałam pana i zużyłam oszczędności na nowe łóżko.

– I na nowy zamek do drzwi?

– Po co mi nowy zamek? Jeśli ktoś chciałby jeszcze raz się włamać, stary czy nowy zamek niewiele by zmienił. Do jutra, panie Stilman, wracam do

biblioteki.

Suzie wstała i zabrała swoją tacę. Andrew patrzył, jak odchodziła. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziwnej kobiecie!

Wyszedł z kawiarni i pojechał taksówką pod numer sześćdziesiąty piąty przy Morton Street.



Naciskał kolejno każdy dzwonek i czekał, żeby wreszcie ktoś mu otworzył. Na podeście drugiego piętra minął jakąś kobietę, której swobodnie oznajmił, że dostarcza paczkę dla panny Baker. Wystarczyło pchnięcie ramieniem drzwi, żeby mieszkanie 6B stanęło przed nim otworem.

Rozejrzał się dokoła, po czym podszedł do biurka i zajrzał do każdej szuflady po kolei.

Znalazł tylko kilka piór i notes. Na pierwszej stronie widniały niezrozumiałe liczby. Na drugiej był odcisk wiadomości pisanej na stronie, która została potem wydartą. Litery były wystarczająco widoczne, żeby móc odczytać treść.

Nie żartowałem, ostrzegając panią, Suzie. Proszę zachować ostrożność, to niebezpieczna gra. Wie pani, jak się ze mną skontaktować, w razie potrzeby proszę się nie wahać.

Reszta notesu była pusta. Andrew wyjął komórkę i sfotografował dwie pierwsze strony.

Potem poszedł sprawdzić sypialnię, łazienkę i salon. Gdy przyglądał się zdjęciom wiszącym na ścianie i prostował jedną z ramek, wewnętrzny głos spytał go, co by było, gdyby nagle ktoś go tu zaskoczył. Ten sam wewnętrzny głos kazał mu natychmiast opuścić to miejsce.



Kiedy Simon wrócił do siebie, ujrzał przy małym biurku, stojącym w sypialni, Andrew, który z nosem w laptopie trzymał w dłoni opróżniony do połowy kieliszek fernet-branca z coca-colą.

- Można spytać, co robisz?
 - Pracuję.
 - Ile takich drinków już wypiliśmy?
 - Dwa, może trzy.
 - „Dwa, może trzy”? – Simon zdenerwował się i wyjął kieliszek z dłoni przyjaciela.
 - Wkurwiasz mnie, Simonie.
 - Jak długo śpisz pod moim dachem, zaakceptuj jedną rzecz, o którą cię proszę, tylko jedną: coca-cola bez fernet-branca. Czy to aż takie trudne?
 - Trudniejsze, niż ci się zdaje. To mi pomaga myśleć.
 - Powiedz mi, co cię dręczy, nigdy nie wiadomo, być może stary przyjaciel będzie w stanie zastąpić ten gorzki napój...
 - Coś z tą dziewczyną jest nie tak.
 - Z tą poznaną w bibliotece? – spytał Simon, wyciągając się na łóżku i zakładając ramiona pod głowę. – Słucham cię.
 - Okłamała mnie.
 - W jaki sposób?
 - Powiedziała, że do mieszkania przy Morton Street wprowadziła się niedawno, a to nieprawda.
 - Jesteś tego pewien?
 - Powietrze w Nowym Jorku jest zanieczyszczone, ale nie do tego stopnia, żeby fotografie zawieszona na ścianie zostawiły wyraźne jaśniejsze ślady już kilka tygodni później.
 - Pytanie, dlaczego skłamała?
 - Żebyś się od niej odczepił. Jadłeś kolację? – spytał Simon.
 - Tak! – Andrew wskazał na kieliszek skonfiskowany przez Simona.
 - Wkładaj marynarke!
- Nadchodziła noc. Ulice West Village jak co wieczór powoli zapełniały

się ludźmi.

Andrew zatrzymał się na chodniku naprzeciw swego mieszkania i popatrzył w okna na trzecim piętrze, w których właśnie zgasło światło.

– Twoja lokatorka chodzi spać z kurami! – zauważył Simon.

Andrew spojrział na zegarek. Brama budynku się otworzyła. Suzie Baker wyszła z domu, nie zauważywszy ich.

– Jeśli masz zamiar ją śledzić, to beze mnie! – wyszeptał Simon.

– Chodź! – Andrew pociągnął Simona za ramię.

Idąc w pewnej odległości za Suzie, weszli na Zachodnią Czwartą Ulicę. Młoda kobieta pchnęła drzwi „Alego”, popularnego w całej dzielnicy sklepiku spożywczego. Po chwili wyszła stamtąd i skierowała się prosto w stronę Andrew.

– Jakie baterie trzeba włożyć do pilota? Uwielbiam zasypiać przy telewizji! – zwróciła się prosto do Andrew, ignorując obecność Simona.

– „Paluszki” chyba... – wydukał Andrew.

– „Paluszki”... – powtórzyła Suzie, wracając do sklepiku.

Andrew spojrział na Simona i dał mu znak, żeby z nim poszedł. Stanęli przy kasie za Suzie. Andrew wręczył Alemu dziesięciodolarowy banknot.

– Wolę, jak pan śledzi mnie z bliska, to mniej niepokojące – oznajmiła Suzie.

– Nie śledziłem pani. Szliśmy na kolację do Café Cluny, dwie ulice stąd, jeśli ma pani ochotę, zapraszam.

– Wybierałam się na wystawę zdjęć w Meatpacking, możemy ją razem obejrzeć i potem pójdziemy coś zjeść.

Przyjaciele spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami.

– Zapewniam, że nie szliśmy za panią! – powiedział Simon z naciskiem.

– No to przekonaliście mnie!



Galeria była ogromna, sufit wisiał tak wysoko, że dostawało się zawrotu

głowy. Suzie przyjrzała się nierównościom na ścianach zrobionych z betonu architektonicznego.

– Musi być fajnie wdrapać się tutaj aż pod sufit! – powiedziała z uśmiechem.

– Panna Baker w chwilach wolnych zajmuje się wspinaczką wysokogórską – wyjaśnił

Andrew zaskoczonemu Simonowi.

Suzie podeszła do zdjęcia powiększonego do wielkości cztery metry na trzy. Dwóch alpinistów stojących twarzą pod wiatr, którego siłę obrazowały spirale wirującego śniegu, wbijało proporczyk na himalajskim szczycie.

– Dach świata... – odezwała się rozmarzonym głosem. – Najważniejszy cel każdego alpinisty. Niestety, ta wielka dama jest zbyt uczęszczana.

– Czy ma pani w planach wejście na ten szczyt? – spytał Andrew.

– Może kiedyś...

Następnym zdjęciem, do którego podeszła Suzie, była fotografia zrobiona z wysokości lodowej góry. Niepokojące szczyty wbijały się w granatowe niebo.

– To Siula Grande, w Peru – powiedziała Suzie. – Sześć tysięcy trzysta czterdzieści cztery metry. Tylko dwóm wspinaczom udało się wejść na ten szczyt. Było to w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Nazywali się Joe Simpson i Simon Yates. W trakcie schodzenia ze szczytu Joe złamał nogę. Simon przez dwa dni pomagał mu schodzić, a potem Joe ponownie się zranił o skalny występ. Stało się to w miejscu, w którym był niewidoczny dla partnera, i odpadł

od ściany. Simon nie widział go, czuł tylko bezwładne osiemdziesiąt kilogramów na końcu liny.

Całą noc w zimnie, ze stopami wbitymi w lód, przytrzymał towarzysza spiętego z nim liną, która centymetr po centymetrze ściągała ich obu w przepaść. Rankiem lina znieruchomiała, bo Joe, szarpiąc się, zaczepił ją w skalnej szczelinie. Przekonany, że towarzysz wspinaczki nie żyje, Simon postanowił zrobić jedyną rzecz, która mogła jeszcze uratować mu życie, przeciął linę. Joe spadł z wysokości dziesięciu metrów, skorupa zmarzniętego

śniegu załamała się pod jego ciężarem i poleciał w głąb szczeliny. Ale wciąż żył. Nie był w stanie wspiąć się na zewnątrz z powodu rany, więc odważnie zszedł w głąb. Siula Grande chyba go nie chciała, bo odkrył nowe przejście i mimo złamanej nogi wydostał się na zewnątrz. Czego potem dokonał, żeby doczołgać się do wzgórza lodowego, przekracza ludzkie pojęcie, tak heroiczny był jego wysiłek. Historia Joego i Simona weszła do legendy wypraw wysokogórskich. Nikomu nie udało się dokonać czegoś podobnego drugi raz. Siula Grande odzyskała swoją niepokalaną czystość.

– Niesamowite! – gwizdnął z podziwem Andrew. – Nie wiadomo, czy to odwaga czy niewiedza pcha człowieka do zdobywania takich szczytów.

– Odwaga to tylko uczucie silniejsze od strachu – powiedziała Suzie. – Idziemy na kolację?



Simon był oczarowany Suzie, która to zauważyła, ale nic nie dawała po sobie poznać, tylko flirtowała z nim ku uciesze Andrew. Bardzo go bawiło, że namawia go do picia i udaje zainteresowanie jego perorowaniem o wyjątkowych egzemplarzach starych samochodów.

Obserwował ją w milczeniu aż do chwili, gdy zapytała Simona, jakim reporterem jest Andrew.

– Najbardziej upartym, jakiego znam – odrzekł Simon. – Ale też jednym z najlepszych.

– Znasz tylko jednego reportera! – wtrącił Andrew.

– Czytam gazety, ty durniu.

– Proszę go nie słuchać, upił się.

– Jaki był temat pańskiego ostatniego reportażu? – spytała Suzie, odwracając się ku niemu.

– Czy urodziła się pani w Nowym Jorku? – przerwał Simon.

– Urodziłam się w Bostonie, w Nowym Jorku mieszkam od niedawna.

– Dlaczego wybrała pani Manhattan?

– Uciekam od przeszłości i od Bostonu.

– Romans bez happy endu?

– Simonie, przestań!

– Można to tak przedstawić – rzuciła Suzie z kamiennym spokojem. – A pan się z kimś spotyka, Simonie?

– Owszem! – powiedział Simon, patrząc z naciskiem na Andrew.



Po kolacji Andrew i Simon odprowadzili Suzie do domu.

Kiedy zamknęła się za nią brama budynku, wyciągnęła z kieszeni komórkę, która przez całą kolację co chwila wibrowała.

Przeczytała wiadomość i wzniosła oczy do nieba. Telefon znów zawibrował.

– Co znowu, Knopf?

– U Alego! – usłyszała i Knopf się rozłączył.

Suzie zagryzła wargi, włożyła telefon z powrotem do torby i wyszła na ulicę. Przebiegła kilka metrów, które dzieliły budynek od sklepiku Alego, i weszła do wnętrza. Ali przysypiał na fotelu, kołysany dźwiękiem dobiegającym z małego radia stojącego na kontuarze.

Arnold Knopf, w okularach na nosie, czytał skład kociej karmy wypisany na jednej puszcze, potem na następnej.

– Był u pani w mieszkaniu dziś po południu – powiedział szeptem.

– Jest pan pewien? Tak, jest pan pewien... – powtórzyła Suzie.

– Nie zostawiła pani na wierzchu mojego liściku, mam nadzieję?

– Niech pan się nie wygłupia. Naprawdę wszedł do środka?

– Poszło mu to dużo sprawniej niż mnie, jestem prawie obrażony.

– To świadczy, że nie myliłam się co do niego.

– Niech mnie pani dobrze posłucha, Suzie. Pani projekt do tej pory pozostawał

w tajemnicy, ponieważ po pierwsze nikt o nim nie wiedział, a po drugie, niefachowe podejście do sprawy chroniło panią przed najgorszym. Jeśli

zatrudni pani do pomocy takiego faceta jak Stilman, on poruszy niebo i ziemię, żeby sprawę pchnąć do przodu. Wątpię, żeby długo pozostawała pani w cieniu pionka, którym pani manipuluje.

– Istnieje, niestety, takie ryzyko, ale proszę, Arnoldzie, żeby pan przestał się o mnie martwić. Sam pan mówi, że wydoroślałam... Wiem, co robię.

– Ale nie wie pani, czego szukać ani gdzie.

– Dlatego on mi jest potrzebny.

– Nie zmieni pani zdania, prawda?

– Nie znam się na kociej karmie, ale różowa puszką wygląda bardziej apetycznie – powiedziała Suzie, zdejmując ją z półki i wręczając Knopfowi.

– Niech więc pani przynajmniej wysłucha mojej rady. Ponieważ zeszło na koty, proszę przestać grać z nim w kotka i myszkę i dopuścić go do sekretu. Niech mu pani wyjawi to niewiele, co pani wie.

– Jeszcze na to za wcześnie. Wiem, jak ten facet funkcjonuje, nie przyjmuje wskazówek od nikogo. Trzeba, żeby sam na wszystko wpadł, inaczej mój plan nie zadziała.

– Jabłko naprawdę nie pada daleko od jabłoni! – westchnął Knopf.

– Co pan przez to rozumie?

– Dobrze pani wie. Dobranoc, Suzie.

Knopf zabrał puszkę z jedzeniem dla kota, położył trzy dolary na ladzie koło kasy Alego i wyszedł ze sklepu.

Pięć minut po nim wyszła Suzie i skierowała się do mieszkania Andrew.



– A gdyby nas zobaczyła, co byś jej powiedział? – odezwał się zrzędlwym tonem Simon.

– Że wyszliśmy na spacer z psem?

– Ona jest naprawdę dziwna.

– Co w niej takiego dziwnego? Lubi zasypiać przy telewizorze, baterie w pilocie się wyczerpały, więc wyszła, żeby kupić nowe.

– Może.

– To wracamy?

Andrew rzucił ostatnie spojrzenie na sklepik i ruszył przed siebie.

– Zgoda, załóżmy, że skłamała co do daty swojego przybycia do Nowego Jorku, to nie jest takie ważne. Musi mieć jakieś powody.

– Nie tylko ona skłamała tego wieczoru. Odkąd to ty się z kimś spotykasz?

– Skłamałem dla ciebie. Dobrze widziałem, że wpadłem jej w oko, ale ona jest w twoim typie. Patrzyłem na was, kiedy siedzieliście obok siebie, i to było dla mnie oczywiste. Chcesz, żebym ci powiedział, co myślę?

– Chyba nie chcę.

– Ta cała hipoteza, że to wariatka, powstała tylko dlatego, że ona ci się podoba, i wynajdujesz najrozmaitsze powody, żeby się do tego przed sobą nie przyznać.

– Wiedziałem, że powiesz coś, czego nie chcę usłyszeć.

– Kto z was zagadnął pierwszy, kiedy zobaczyliście się wtedy w bibliotece?

Andrew nie odpowiedział.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Simon, rozkładając ramiona.

Kiedy tak szli ulicami West Village, Andrew pomyślał, że może jego przyjaciel tak bardzo się nie myli. A potem przypomniał sobie mężczyznę, który wyszedł ze sklepiku Alego trochę przed Suzie. Przysięgłby, że widział go przedtem w bibliotece.



Następnego dnia, gdy tylko Andrew przyszedł do biblioteki, zadzwonił do niego profesor Hardouin.

– Zdoylem informacje, o które pan mnie prosił – usłyszał Andrew w słuchawce. – Ale nie wynika z nich nic konkretnego.

– Słucham pana.

– Rzeczywiście przyjęliśmy na początku roku młodą kobietę narodowości amerykańskiej, ofiarę wypadku w rejonie Mont Blanc. Według jednej z pielęgniarek pacjentka była w stanie hipotermii i doznała poważnych odmrożeń. Następnego dnia miała przejść zabieg amputacji.

– Co miano jej amputować?

– Palce, to klasyczne w takim przypadku, ale nie wiem, w której dłoni.

– Najwyraźniej wasze kartoteki są prowadzone niezbyt dokładnie! – westchnął Andrew.

– Nasze kartoteki prowadzone są bardzo dokładnie, ale nie możemy znaleźć dokumentów dotyczących tej właśnie pacjentki. Zima była ciężka, mieliśmy mnóstwo poszkodowanych, narciarze, alpinisci, ofiary wypadków drogowych... Brakowało nam personelu na ogarnięcie tego wszystkiego. Wyniki jej badań mogły przez pomyłkę zostać przez nią zabrane, kiedy przewożono ją dalej.

– Przewożono ją gdzieś indziej?

– Nasza pielęgniarka mówi, że zjawił się w szpitalu jakiś jej bliski krewny i na kilka godzin przed operacją wywiózł ją od nas karetką należącą do prywatnej lecznicy. Pojechali do Genewy, gdzie czekał na nich samolot, który miał ich odtransportować do Stanów. Marie-Josée zwierzyła mi się, że była przeciwna tej podróży, gdyż wobec grożącej gangreny amputacja była bardzo pilna. Ale młoda kobieta odzyskała przytomność i nalegała, aby operacja odbyła się w jej ojczyźnie. Trudno było przeciwstawić się temu życzeniu.

– Więc, jak rozumiem, nie macie pojęcia, kim ona była?

– Niestety, nie.

– Nie wydaje się to panu dziwne?

– Tak, to znaczy nie... Tak jak mówiłem, w szpitalu bardzo dużo się działo w owym czasie i...

– Dokumenty dotyczące tej pacjentki znikły wraz z nią, tak pan mi powiedział, proszę nie zaprzeczać. Jednak koszty leczenia zostały uregulowane... Może mi pan powiedzieć, przez kogo?

– Ta informacja znajdowała się również w teczce pacjentki, razem z wypisem ze szpitala.

– Nie ma kamer przemysłowych przy bramie szpitala? Głupie pytanie, do czego służyłaby kamera przy wejściu do młyna...

– Słucham pana?

– Nic, nic. A ratownicy, którzy udzielili jej pomocy w górach? Musieli znaleźć przy niej jakieś dokumenty?

– Proszę sobie wyobrazić, że to samo pomyślałem. Nawet zatelefonowałem do żandarmerii, ale znaleźli ją przewodnicy górscy. Biorąc pod uwagę poważny stan rannej, ewakuowali ją, jak najprędzej mogli. Proszę mi powiedzieć, zbiera pan informacje o jakości naszych usług czy interesuje pana los tej kobiety?

– A jak pan myśli?

– W takim razie proszę mi wybaczyć, ale wzywają mnie obowiązki.

– Z pewnością ma pan dużo pracy!

Zanim Andrew zdążył podziękować Edgarowi Hardouinowi, ten po prostu odłożył

słuchawkę.

Wciąż pod wrażeniem rozmowy z francuskim lekarzem Andrew zbiegł po wielkich schodach do biblioteki. Suzie stała na samej górze i obserwowała go, jak szedł w kierunku Czterdziestej Drugiej Ulicy.

6

Noc była straszna. Lewitowanie nad własną płytą nagrobną w stanie ogromnego przygnębienia zakończone nieprzyjemną wizytą Valérie, a potem obudzenie się z całym ciałem zlanym potem nie należały do najprzyjemniejszych chwil, jakie zdarzyło mu się przeżyć.

Najgorsze było to, że na pamięć znał treść tego sennego koszmaru, a mimo to za każdym razem się bał, kiedy widział, jak Valérie wysiada z samochodu i idzie w jego kierunku.

Dlaczego jego chory umysł utrzymywał go w niewiedzy podczas snu, a dręczył na jawie wspomnieniem tego, co uczyniła Valérie na jego grobie?

Sprężyny kanapy uwierały go w plecy. Może nadszedł wreszcie czas, żeby wrócić do siebie do domu.

Udostępniając swoje mieszkanie tej Suzie Baker, miał nadzieję, że jej obecność wyprze wspomnienia i zapach po Valérie. Nie umiał dokładnie powiedzieć, na co liczył, ale było to coś takiego.

Z sypialni dobiegło do niego chrapanie Simona. Wstał cicho i wyjął schowaną w wazonie butelkę fernet-branca. Zawiasy w drzwiach lodówki skrzypiały tak głośno, że zerwałyby ze snu umarłego, zrezygnował więc z coca-coli i pociągnął kilka głębokich łyków prosto z butelki.

Wódka wydała mu się jeszcze bardziej gorzka, ale alkohol dobrze mu zrobił.

Usiadł na parapecie i zastanowił się. Dręczyła go pewna sprawa.

Jego notes leżał na biurku Simona. Uchylił drzwi i zaczekał, aż jego oczy przywykną do ciemności.

Simon mamrotał coś pod nosem przez sen. Andrew wszedł cichutko do sypialni. Gdy podchodził do sekretarzyka, usłyszał, jak przyjaciel dość wyraźnie mówi: „Będę cię zawsze kochał, Kathy Steinbeck”. Zagryzł wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Po omacku poszukał

notesu, złapał go i wyszedł tak samo cicho, jak wszedł.

Wróciwszy do salonu, uważnie odczytał jeszcze raz swoje notatki i

wreszcie zrozumiał, co mu umknęło. O jakim to samolocie mówiła mu Suzie Baker i gdzie mógłby znaleźć listę zaginionych pasażerów?

Wiedząc, że już nie zaśnie, ubrał się, napisał karteczkę do Simona, położył ją na blacie w kuchni i wyszedł z mieszkania.

Nad miastem wiał północno-wschodni wiatr. Lodowate podmuchy unosiły w górę wyziewy ze studzienek kanalizacyjnych. Andrew podniósł kołnierz płaszcza i zagłębił się w zimną noc. Na Hudson Street złapał taksówkę i kazał się zawieźć do redakcji.

Już dawno zamknięto poranne wydanie gazety i redakcja była pusta. Andrew pokazał

przepustkę nocnemu strażnikowi i wszedł na piętro. Idąc w kierunku swego biura, zauważył

legitymację prasową Freddy'ego Olsona wbity w kółko fotela. Musiała mu wypaść z tylnej kieszeni. Andrew wyciągnął ją i wrzucił do niszcarki. Nacisnął na odpowiedni guzik i patrzył, jak legitymacja Freddy'ego znika w otworze. Zaraz potem rozległ się odgłos darcia papieru, który sprawił Andrew wielką przyjemność. Zadowolony usadowił się przed ekranem swojego komputera.

Szybko znalazł informacje o obydwu samolotach, które rozbiły się w górach. Od razu uderzyło go podobieństwo wypadków. Suzie powiedziała mu, że zorganizowała wyprawę na Mont Blanc w styczniu z powodu pewnej rocznicy. Andrew wpisał do notesu nazwę *Kanczendzonga* i nazwę miejsca docelowego, do którego samolot nigdy nie dotarł. Potem zredagował oficjalną prośbę do dyrekcji linii lotniczej, żeby otrzymać listę pasażerów i załogi.

Była piąta rano w Nowym Jorku, a więc w Nowym Delhi trzecia po południu. Po chwili dostał odpowiedź, w której proszono go, aby podał kopię swojej legitymacji prasowej i powód prośby, co uczynił natychmiast. Cierpliwie czekał, patrząc na ekran, ale jego rozmówca musiał

pewnie otrzymać zezwolenie swojego zwierzchnika. Spojrzał na zegarek, zawahał się i postanowił zadzwonić.

Dolorès Salazar nie wydawała się zbytnio zaskoczona, gdy o tej porze usłyszała w słuchawce głos Andrew.

– Jak się ma Filofax?

– Dzwoni pan do mnie o wpół do szóstej rano, żeby dowiedzieć się o samopoczucie mojego kota, Stilman?! Co mogę dla pana zrobić? – spytała, ziewając.

– To, co robi pani lepiej niż ktokolwiek inny.

– Zabrał się pan wreszcie do pracy?

– Może, to zależy od informacji, jakie mi pani wynajdzie.

– Niech pan mi najpierw powie, czego pan szuka.

– Szukam listy pasażerów pewnego lotu.

– Znam kogoś w FAA1, mogę spróbować. Jaki to lot i kiedy miał miejsce?

– Air India sto jeden, z dwudziestego czwartego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, na trasie Delhi – Londyn. Samolot spadł nad Francją, zanim doleciał do lotniska międzynarodowego w Genewie. Chcę wiedzieć, czy na pokładzie znajdował

się ktoś o nazwisku Baker.

– Nie chce pan poznać nazwiska pomocnika kucharza na *Titanicu*, jeśli już o to chodzi?

– Pomoże mi pani?

Dolorès już się rozłączyła. Andrew zamknął komputer i zszedł do kawiarni.



Trzy godziny później Dolorès Salazar zadzwoniła do niego z prośbą, żeby przyszedł do niej do biura.

– Znalazła pani coś? – spytał natychmiast.

– Czy kiedykolwiek pana zawiodłam, Stilman? – spytała, wręczając Andrew tekturową teczkę.

– Jak się to pani udało w tak krótkim czasie?

– Raporty Biura do spraw Badania Wypadków Lotniczych są ogólnie

dostępne, a katastrofa pańskiego samolotu została opisana we francuskim „Journal Officiel” z ósmego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Można się tam było dostać z każdego komputera. Sam by pan to znalazł, gdyby był pan bardziej uważny.

– Nie wiem, jak pani dziękować, Dolorès! – odrzekł Andrew, odczytując listę.

– Niech się pan nie przemęcza, sprawdziłam tę listę dokładnie, nie ma na niej żadnego Bakera.

– A więc wróciłem do punktu wyjścia! – westchnął Andrew.

– A może by mi pan wyjawiał, czego pan naprawdę szuka, zamiast robić tę żalospną minę.

– Chcę poznać prawdziwe nazwisko pewnej osoby.

– Może mi pan powiedzieć dlaczego?

Andrew w milczeniu przeglądał dokumenty.

– Głupie pytanie... – odpowiedziała sobie zrzędliwie Dolorès, spoglądając w ekran komputera. – Traci pan tylko czas, osiemdziesiąt osiem stron bez żadnych niejasności.

Przeczytałam to w metrze i jeszcze raz po przyjsciu do biura. Nie ma tam nic podejrzanego. Jeśli interesuje się pan teorią spiskową, która przez jakiś czas wisiała nad tym dramatem, przeanalizowałam ją i wydaje mi się mocno naciągana.

– O jakiej teorii spiskowej pani mówi?

– Wśród pasażerów znajdował się ktoś odpowiedzialny za indyjski program rozwoju nuklearnego. Mówiono o jakimś pocisku wystrzelonym z gór, mówiono też o klątwie, ponieważ inny samolot tej samej linii lotniczej rozbił się w tym samym miejscu szesnaście lat wcześniej...

– Tak, czytałem o tym. Zgadza się, że podobieństwo tych dwóch katastrof jest niepokojące.

– Statystyka czasem jest niepokojąca. Na przykład facet, który wygrywa na loterii dwa razy z rzędu, bo jest oszukana, ma jednak taką samą szansę jak

każdy inny człowiek przy kolejnym ciągnięciu, prawda? Co do tego lotu Air India sto jeden, wszystko, co mówiono, nie trzyma się kupy. Była wówczas fatalna pogoda, jeśli ktoś chciał się zemścić na tym inżynierze, można było użyć o wiele prostszych sposobów niż zestrzelenie samolotu w środku burzy śnieżnej.

– Byli na pokładzie jeszcze jacyś inni interesujący ludzie?

– A co pan rozumie przez „interesujący”?

– Nie mam pojęcia...

– Nie było tam żadnego Amerykanina. Byli Hindusi, Anglicy, jakiś dyplomata, zwykli ludzie, jak pan i ja... Nikt z nich nie dotarł do miejsca przeznaczenia. Dobra, Stilman, albo mi pan powie, kto to jest ten pański Baker, albo wyniesie się pan stąd i pozwoli mi pracować dla innych dziennikarzy, którzy traktują mnie poważnie. Na przykład ten pański przyjaciel Olson naprawdę mnie potrzebuje.

– Mówi to pani, żeby mnie wyprowadzić z równowagi, prawda, Dolorès?

– Możliwe.

– Suzie Baker.

– Czy ona była na pokładzie?

– Nie, ale musiał tam być ktoś z jej rodziny.

– Ładna ta pańska Suzie Baker?

– Nie wiem, być może.

– Och, dość już tego! Odgrywa pan samarytanina wobec kobiety, której wyglądu pan nie zna? Czy zerwałby mnie pan z łóżka bladym świtem, gdyby była podobna do mnie?

– Ależ oczywiście, a poza tym pani, Dolorès, ma wyjątkowy wdzięk.

– Jestem brzydka i mam to w nosie, mam inne atuty. Na przykład mój zawód. Jestem jedną z najlepszych dokumentalistek w całym kraju. Nie wyciągnął mnie pan z łóżka, żeby mi przynieść rogaliki, prawda? Kobiety takie jak ja nie są w pana typie.

– Och, Dolorès! Proszę przestać mówić głupstwa, jest pani naprawdę urocza.

– Tak... Jak porcja spaghetti z sosem pomidorowym. Wie pan, dlaczego pana lubię, Stilman? Bo nie umie pan kłamać, to mnie rozbija. Teraz niech pan zmyka, muszę się zabrać do pracy. A, jeszcze ostatnia sprawa. Pytał mnie pan, jak mi się odwdzińczyć?

– Zrobię wszystko, co tylko sprawi pani przyjemność.

– Niech pan wróci na zebrania przy Perry Street, bardzo pan ich potrzebuje, pańska wątroba także.

– Pani wciąż do nich chodzi?

– Raz w tygodniu. Nie wypiałam ani kropli od trzech miesięcy.

– Proszę mi nie wmawiać, że obiecała sobie pani rzucić picie przy moim szpitalnym łóżku?

– Co za dziwny pomysł! Jestem bardzo zadowolona, że się pan z tego wywinął, Stilman, a jeszcze bardziej, że mogłam znów z panem pracować, choćby tylko przez chwilę.

Z niecierpliwością czekam, aż znów znajdzie pan jakiś prawdziwie interesujący temat reportażu.

Tak więc do soboty przy Perry Street?

Andrew wziął teczkę z dokumentacją i wyszedł z gabinetu Dolorès Salazar bez słowa.



Godzinę później pracownik kawiarni postawił na biurku Dolorès koszyk z rogalikami.

Nie towarzyszyła im żadna karteczka, ale Dolorès i tak wiedziała, od kogo to prezent.



Tuż przed porą lunchu Andrew dostał SMS-a.

Nie był pan w bibliotece ani wczoraj, ani dzisiaj. Wciąż jest pan w mieście? Jeśli tak, spotkajmy się o wpół do pierwszej we Frankie's, przyniosę pańskie klucze.

O 13 w Mary's – odpowiedział Andrew, tylko żeby zrobić jej na przekór.



Wszedł i powiesił płaszcz na kołku. Suzie czekała na niego przy barze. Kelner poprowadził ich do stolika. Andrew położył ostentacyjnie na stoliku teczkę z dokumentacją, którą dostał od Dolorès.

– Przykro mi, że się spóźniłem – powiedział, siadając.

– Dopiero przyszedłam. Często pan tu bywa?

– To moja stołówka.

– Ma pan swoje przyzwyczajenia, to niezwykle jak na reportera.

– Kiedy nie podróżuję, potrzebuję regularnego trybu życia.

– Wątpię, ale to zabawne. Tak więc jest dwóch Stilmanów, jeden jest mołem książkowym, a drugi psem gończym?

– Dzięki za porównanie. Chciała się pani ze mną spotkać, żeby porozmawiać o moich upodobaniach kulinarnych?

– Chciałam się z panem spotkać dla przyjemności przebywania w pańskim towarzystwie, podziękować panu za użyczenie mi mieszkania i zwrócić klucze. Ale nie zmuszam pana, żeby zjadł pan ze mną lunch, widzę, że nie jest pan w najlepszym humorze.

– Niedobrze spałem dzisiejszej nocy.

– To dodatkowy powód, żeby wrócił pan do siebie – powiedziała Suzie, wręczając mu klucze.

– Moje łóżko jest aż takie wygodne?

– Nie wiem, spałam na podłodze.

– Boi się pani roztoczy?

– Od dziecka śpię na podłodze, nigdy nie lubiłam łóżek. Moją matkę to wyprowadzało z równowagi. Psychoanalityk był zbyt drogi, w końcu przestała na to zwracać uwagę.

– Skąd ta fobia?

– Czuję się bezpieczniej, jeśli śpię na podłodze pod oknem.

– Jest pani dziwną osobą, panno Baker. Pani instruktor spał na podłodze

obok?

Suzie popatrzyła na Andrew, ale nic nie odpowiedziała.

– Z Shamirem wszystko było inaczej, z nim się nie bałam – odrzekła po chwili, spuszczać wzrok.

– Czego się pani boi, jeśli leży pani w pewnej odległości nad podłogą? Co prawda, jeśli opowiedziałbym pani niektóre moje senne koszmary...

– A pan czego się boi, że wciąż nosi przy sobie broń?

– Ktoś dziabnął mnie nożem jak prosiaka. Straciłem jedną nerkę i żonę. Jedno i drugie przez jednego człowieka.

– Czy morderca wciąż jest na wolności?

– To nie morderca, bo nie zostałem zabity, jak pani widzi. Tak, osoba, która to zrobiła, jest na wolności, czeka na ekstradycję, która nigdy nie nastąpi. Nie ma wystarczających dowodów i tylko ja mogę ją zdemaskować. W razie procesu każdy adwokat może podważyć moje słowa i oskarżyć mnie o to, że ją nękam.

– Jaki miała motyw?

– Śledziłem jej ojca, okryłem hańbą jego nazwisko i doprowadziłem do tego, że skończy życie w więzieniu.

– Mogę więc ją zrozumieć, honor rodziny to świętość. Nawet jeśli Ortiz był łajdakiem, dla córki ojciec to świętość.

– O ile wiem, nie mówiłem pani, o kogo chodziło.

– Nieznajomy mężczyzna daje mi klucze do swojego mieszkania... Nie może pan mieć pretensji, że poszukałam w internecie informacji o panu. Gdy czytałam pana reportaż i opis tego, co się panu przydarzyło, przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Jaka pani delikatna... Po co te pytania, jeśli pani wszystko o mnie wie?

– Chcę poznać prawdę u źródła. Tak chyba robi zawodowy dziennikarz, czyż nie?

– Ponieważ doszliśmy do zwierzeń... – powiedział Andrew, przesuwał teczkę z dokumentacją w jej stronę – niech mi pani powie, śmierć którego z pasażerów chciała pani uczcić na wysokości ponad czterech i pół tysiąca

metrów w środku stycznia?

Suzie otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać listę pasażerów. Nie okazała żadnego zdziwienia.

– Użyczam mojego mieszkania obcej kobiecie, nie może pani mieć do mnie pretensji, że szukałem informacji na pani temat.

– Remis! – oświadczyła Suzie z uśmiechem.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie! – powtórzył Andrew. – Który to z nich?

– Ten! – powiedziała Suzie, pokazując palcem na nazwisko hinduskiego dyplomaty.

– Więc to nie była pani pielgrzymka, tylko jej towarzysza?

– Nie pomyślał pan o tym?

– To pani mi powiedziała o uczczeniu rocznicy.

– Shamirowi trudno byłoby to wyznać, prawda?

– Tak mi przykro... – westchnął Andrew.

– Przykro panu z powodu tego, co się przydarzyło Shamirowi, czy przykro panu, bo się pan pomylił?

– Z obydwu powodów, niech mi pani wierzy, jestem naprawdę szczery. Czy przynajmniej mógł się z nim pożegnać, zanim...

– ...odciął linę? Tak, w pewien sposób. Już kiedy znalazł się na tej przeklętej górze, to załatwiło sprawę.

– A pani poszła z nim z miłości?

– Panie Stilman, bardzo panu za wszystko dziękuję, oto pańskie klucze, zakończmy sprawę na tym etapie.

– Zmieniła pani nazwisko, panno Baker?

Suzie wydała się zmieszana pytaniem Andrew.

– Może inaczej... – rzekł Andrew. – Gdybym zapytał, do jakiego college'u pani uczęszczała, na jakim uniwersytecie studiowała albo może gdybym tylko zagadnął o miejsce, w którym zrobiła pani prawo jazdy,

mogłaby mi pani odpowiedzieć konkretnie?

– Uczęszczałam do Emerson College w Bostonie, potem uczyłam się w Fort Kent w Maine. Czy zaspokoilał pana ciekawość?

– Co pani studiowała?

– Jest pan dziennikarzem czy policjantem? – spytała Suzie sarkastycznie.
– Studiowałam kryminologię. To wcale nie to, o czym pan myśli. Nie jestem ani supergliniarzem, ani inspektorem w białym kitlu pracującym w jednym z tych szpanerskich wysoko zaawansowanych technologicznie laboratoriów. Kryminologia to dyscyplina zupełnie inna.

– Co panią pchnęło w tym kierunku?

– Od zawsze ciekawiło mnie, co się dzieje w psychice przestępców, chciałam wiedzieć, jak działa nasz system sądowy i penitencjarny, chciałam się zorientować, jak funkcjonuje w naszym kraju współpraca między sądami, policją i agencjami rządowymi. Te ostatnie to wielka zagadka, trudno zrozumieć, kto i za co jest odpowiedzialny.

– Któregoś ranka obudziła się pani i po prostu pomyślała: „Ach, chciałabym naprawdę się dowiedzieć, co łączy CIA, NSA2, FBI i komisariat mojej dzielnicy”?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Czy to na studiach zajęła się pani kryptografią? – spytał, zwracając Suzie zeszyt, który wypadł z książki zapomnianej przez nią na stole w bibliotece.

Suzie wzięła zeszyt i włożyła go do torby.

– Dlaczego nie znalazłem nic na ten temat w internecie? – ciągnął Andrew.

– A dlaczego szukał pan informacji o mojej przeszłości w internecie?

– Bo coś jest z panią nie tak.

– Słucham?

– Intryguje mnie pani.

– Teraz, kiedy panu odpowiedziałam, już pana nie intryguję?

- Czy pod koniec studiów miała pani okazję praktykować kryminologię?
 - Boże, on nigdy nie przestanie! – westchnęła Suzie.
 - Niech pani nie miesza w to Boga.
 - Wykorzystałam wiadomości z kryminologii tylko w celach prywatnych.
 - Jakaś konkretna sprawa?
 - Sprawa rodzinna, dotycząca wyłącznie mojej rodziny.
 - Dobrze już, dłużej nie będę pani męczył. Pomyliłem się. Dolorès ma rację, czas, żebym się zajął swoimi sprawami.
 - To śmieszne, ale kiedy oglądałam zdjęcia na pańskim kominku, nie myślałam, że ona nazywa się Dolorès.
 - Całkowicie się pani myli! – odpowiedział Andrew i wybuchł serdecznym śmiechem.
 - Tak czy inaczej, niech pan spokojnie wraca do siebie, odwróciłam ją twarzą do ściany, nie będzie już na pana patrzyła. I pozwoliłam sobie kupić panu nową zmianę pościeli...
- i zasłałam łóżko.
- To bardzo miło z pani strony, ale nie musiała pani tego robić.
 - Chciałam odwdzińczyć się panu za gościnność.
- Kiedy Suzie mówiła, Andrew wyobrażał ją sobie, jak stoi w sklepie i wybiera prześcieradła; obraz ten, nie wiadomo dlaczego, rozczulił go.
- Będzie pani jutro w bibliotece?
 - Może... – odrzekła Suzie.
 - Więc może do jutra! – powiedział Andrew, wstając od stolika.



Wychodząc z restauracji, zauważył na komórce, że ktoś przysłał mu e-mail.

Drogi panie,

nie uważam Pana za osobę sympatyczną, jednakże poruszył pan we mnie strunę patriotyczną, postanowiłem zatem Panu dowieść, że żyjemy po tej stronie Atlantyku w tym samym stuleciu, co Pan, a czasem nawet jesteśmy nieco lepsi. Medycyna, którą praktykujemy we Francji, podobnie i nasz system ubezpieczeń zdrowotnych, są tego doskonałym przykładem i mogłyby nawet stać się tematem jednego z Pańskich artykułów. Ponadto system ochrony naszych szpitali dorównuje standardom amerykańskim, przyzna Pan to z pewnością, gdy obejrzy zdjęcia z naszych kamer przemysłowych znajdujących się przy wejściach. Przesyłam zdjęcia pacjentki, którą się Pan interesował. Zostały wykonane rano, w dniu jej wypisu. Z pewnością doceni Pan ich doskonałą jakość i to, że przechowywaliśmy je przez cały rok.

Z wyrazami szacunku

Profesor Hardouin

Andrew otworzył załączniki i zaczął, aż ukażą się na ekranie.

Rozpoznał Suzie leżącą na noszach, które ktoś pchał w kierunku karetki. Powiększył

zdjęcie i rozpoznał również twarz mężczyzny, którego widział wychodzącego ze sklepiku Alego.

Uśmiechnął się na myśl, że Suzie jest co najmniej tak przebiegła jak on. Był przekonany, że spotka ją jutro w bibliotece.



Złapał taksówkę, w drodze zadzwonił do Dolorès i kazał zawieźć się do redakcji.

Czekała w biurze i zaczęła już przeglądać zdjęcia, które jej przesłał.

– Czy powie mi pan wreszcie, Stilman, o co chodzi, czy nigdy się tego nie dowiem?

– Udało się pani coś odczytać z tych zdjęć?

– Mam tablicę rejestracyjną i nazwę firmy wynajętej karetki, są doskonale widoczne.

– Dzwoniła pani tam?

– Niemożliwe, że zadaje mi pan jeszcze takie głupie pytania po tylu

latach współpracy.

Andrew od razu poznał po minie Dolorès, że zdobyła już wszystkie informacje i że sprawiało jej wielką frajdę drażnienie się z nim.

– Transport rannej alpinistki zamówiła u nich jakaś norweska firma. Szef firmy, z którym rozmawiałam, nadzorował wszystko osobiście, doskonale pamięta tych dwóch klientów. Nie codziennie przewozi amerykańskie pacjentki na lotnisko w Genewie! Zwierzył mi się, że dziewczyna była naprawdę urocza. Przynajmniej jeden, który nie będzie potrzebował

skierowania do okulisty, to w dzisiejszych czasach rzadkość! Mężczyzna, który towarzyszył

pańskiemu Kopciuszkowi, nazywa się Arnold, a przynajmniej ta Amerykanka zwracała się do niego takim imieniem. Nigdy nie wymówiła jego nazwiska.

Andrew nachylił się nad ekranem komputera. Zdjęcie mężczyzny było tu dużo wyraźniejsze niż na jego komórce. Nie trzeba było długiej chwili, żeby rozpoznał swego sąsiada z cmentarza.

– Ale ma pan minę, jakby pan zobaczył ducha!

– Nawet pani nie wie, jak pani celnie to określiła! To Arnold Knopf!

– Zna go pan?

– Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale to bardzo prawdopodobne, gdyż nawiedza mnie co noc w moich koszmarach.

– To pewnie jakiś pijak, z którym kiedyś bawił się pan przez całą noc!

– Nie, i niech pani wreszcie z tym skończy, Dolorès!

– Nie przestanę, dopóki nie wróci pan na spotkania Anonimowych Alkoholików.

– Nie takich anonimowych, bo przecież się tam spotykaliśmy.

– Ale nikt z redakcji tego nie wie, nie ma pan więc żadnej wymówki. Proszę się skupić, na pewno gdzieś go pan spotkał.

– Wykonała pani kawał dobrej roboty. Jak udało się pani zmusić do

zwierzeń szefa tej firmy wynajmującej karetki?

– Czy ja pana pytam, jak się pisze artykuły? Przedstawiłam mu się jako biedna urzędniczka towarzystwa ubezpieczeniowego, która zgubiła ważne dokumenty i jeśli ich nie odtworzy, zanim dyrektor się o tym dowie, to straci również pracę. Jęczałam przez telefon, że już drugą noc przez to nie śpię. Francuzi są bardzo uczuciowi, jak pan wie... Nie, nie wie pan.

Andrew delikatnie uniósł dłoń Dolorès i złożył na niej pocałunek.

– Nie zna mnie pani... – powiedział.

Wziął zdjęcia wydrukowane przez Dolorès i skierował się ku wyjściu.

– Naprawdę źle z panem, Stilman! – usłyszał za plecami głos Dolorès.

– Co znów zrobiłem?

– Czy myśli pan, że tylko tyle zrobiłam?

– Ma pani jeszcze coś?

– A co, według pana, zrobili sanitariusze z karetki, kiedy zawieźli Suzie Baker do Genewy? Wyrzucili ją do śmieci?

– Nie, ale wiem, co było potem, przewieziono ją do Stanów.

– A jakim samolotem poleciała, do jakiego miasta i do jakiego szpitala trafiła? Wie pan to wszystko, panie wielki reporterze?

Andrew wyciągnął spod biurka Dolorès Salazar jedyne stojące tam krzesło i usiadł.

– Poleciała prywatnym samolotem, i nie byle jakim, to był bezpośredni lot na trasie Genewa – Boston.

– Jak na kogoś, kto się skarży, że nie ma pieniędzy na nowy materac... – gwizdnął

z podziwem Andrew.

– A co pan zrobił z jej materacem?

– Nic, nic, Dolorès.

– Zresztą co mi do tego... Bilet jej dużo nie kosztował, samolot należał do NSA.

Dlaczego podróżowała na pokładzie samolotu należącego do agencji rządowej? Na razie nie wiem, zresztą to nie leży w moich kompetencjach. Porozumiałam się również ze wszystkimi szpitalami w Bostonie i okolicach, w żadnym z nich nie ma śladu po niejakej Suzie Baker. Teraz pana kolej. A przede wszystkim, jeśli pan może, niech mi pan zapali światło, wyłącznik jest przy drzwiach.

Rozmowa z Dolorès wprowadziła Andrew w stan dziwnego niepokoju. Wrócił do biura i zdecydował, że do swego mieszkania wróci jutro. Zresztą to nie było takie ważne, i tak pewnie spędzi tę noc w redakcji.

Washington Square, 20.00

Arnold Knopf szedł główną alejką, obserwując kątem oka wszystkich mijanych ludzi.

W rogu trawnika owinięty starym kocem spał jakiś bezdomny, pod drzewem trębacz wygrywał

gamy, ludzie wychodzący na spacer z psami mijali tych, którzy wyszli na papierosa, przy fontannie całowała się para młodych ludzi, pod latarnią stał przy sztalugach malarz i szkicował

kolorowy pejzaż, jakiś mężczyzna modlił się z ramionami wyciągniętymi w górę.

Suzie siedziała na ławce i patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Myślałem, że miałem dać pani spokój! – powiedział Arnold Knopf, przysiadając obok.

– Czy wierzy pan w to, że może na kimś ciążyć przekleństwo?

– Z tym wszystkim, co widziałem do tej pory w czasie mojej całej kariery, już mi trudno uwierzyć w Boga...

– Ja wierzę i w to, i w to. A teraz i mnie, i moją rodzinę, oraz wszystkich, którzy się do nas zbliżają, spotyka zły los.

– Sama naraziła się pani na to ogromne ryzyko, płaci pani za to cenę. Nie mogę się nadziwić, jak bardzo jest pani uparta. Co to za dziwne spojrzenie? Proszę mi nie mówić, że boi się pani o tego dziennikarza.

– Potrzebuję go, jego determinacji, umiejętności działania, ale nie chcę narażać go na niebezpieczeństwo.

– Widzę. Chciałaby pani móc polować sama, ale potrzebuje kogoś, żeby naprowadził na panią zwierzynę. Trzydzieści lat temu wziąłbym panią do swojej ekipy, ale... trzydzieści lat temu! – zarechotał Knopf.

– Cynizm pana postarza, Arnoldzie.

– Mam siedemdziesiąt siedem lat, ale jestem pewien, że wygrałbym,

gdybyśmy się mieli ścigać do tamtego ogrodzenia.

– Nie, bo podstawiłabym panu nogę.

Umilkli. Knopf wziął głęboki wdech i popatrzył na skraj skweru.

– Jak mam panią zniechęcić? Pani jest taka naiwna, moja biedna Suzie!

– Straciłam naiwność w wieku jedenastu lat. Sprzedawca, u którego kupowaliśmy słodycze, wezwał policję, że niby ukradłam dwie tabliczki czekolady. Zabrano mnie na posterunek...

– Pamiętam to bardzo dobrze, przyszedłem wówczas po panią...

– Przyszedł pan zbyt późno. Opowiedziałam policjantowi, który mnie przesłuchiwał, co się naprawdę stało. Ten sklepikarz podglądał dziewczęta z gimnazjum. Zmusił mnie do dotknięcia go. Wymyślił tę kradzież, kiedy zagroziłam, że na niego doniosę. Inspektor wymierzył

mi policzek i nazwał wstrętną kłamczuchą. Kiedy wróciłam do domu, dziadek wymierzył mi drugi policzek. Sklepikarz Figerton miał nieposzlakowaną opinię, nigdy nie opuścił niedzielnej mszy. Ja byłam tylko bezczelną smarkulą. Dziadek zaprowadził mnie z powrotem do sklepu, kazał mi przeprosić Figertona i powiedzieć, że wszystko wymyśliłam. Zapłacił mi za czekoladę, którą rzekomo ukradłam, chyba nawet dał mi więcej, niż ona kosztowała, i wyszliśmy. Nigdy nie mogłam zapomnieć uśmiechu, który widniał na jego twarzy, gdy cała czerwona wsiadałam z powrotem do samochodu.

– Dlaczego mi pani nigdy tego nie powiedziała?

– Uwierzyłby mi pan?

Knopf nie odpowiedział.

– Wieczorem zamknęłam się w swoim pokoju, nie chciałam nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Chciałam umrzeć. Dwa dni później wróciła Mathilde. Wciąż siedziałam zamknięta w swoim pokoju. Usłyszałam krzyki, dziadek i ona kłócili się. Często się kłócili, ale nigdy aż tak, nigdy. Potem w nocy przyszła i usiadła w nogach mojego łóżka. Żeby mnie uspokoić, opowiedziała mi o innych niesprawiedliwych rzeczach, które się zdarzały, i po raz pierwszy wyjawiała mi, co się stało jej matce, co przecierpiała nasza

rodzina. Tamtej nocy przysięgłam sobie pomścić babcię. Dotrzymam tej obietnicy.

– Pani babcia zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku, nawet jej pani nie znała!

– Została zamordowana w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku!

– Zdradziła swoją ojczyznę, to były inne czasy. Zimna wojna to była innego rodzaju wojna, ale jednak prawdziwa wojna.

– Babcia była niewinna.

– Tego pani nie wie.

– Mathilde była tego pewna.

– Pani matka piła.

– Zaczęła pić przez nich.

– Pani matka była wtedy młoda, miała przed sobą całe życie.

– Jakie życie? Straciła wszystko, nawet nazwisko, nie pozwolono jej studiować, pracować... Kiedy zabito jej matkę, miała dziewiętnaście lat.

– Nigdy nie poznaliśmy okoliczności, w jakich to się stało.

– Ale została zastrzelona, prawda, Arnoldzie? Mam rację?

Knopf wyjął pudełko drażetek miętowych i poczęstował nimi Suzie.

– A nawet jeśli dziś udałoby się pani doprowadzić do jej rehabilitacji, co by to zmieniło?

– spytał, żując miętówkę.

– Oczyszczono by ją z haniebnych zarzutów, mogłabym wrócić do swego nazwiska, zmusić państwo, żeby mi oddano to, co nam odebrano.

– Nie podoba się już pani nazwisko „Baker”?

– Przecież pan wie, że od urodzenia nosiłam inne nazwisko, żeby nie odbiły się na mnie prześladowania, jakie wycierpiała Mathilde. Chodziło tylko o to, żeby nie zamykały się przede mną wszystkie drzwi, gdy się przedstawię. Niech mi pan nie mówi, że dla pana honor się nie liczy.

- Dlaczego pani mnie tu wezwała?
 - Proszę zostać moim współnikiem.
 - Odpowiedź brzmi: „Nie”! Nie chcę mieć nic wspólnego z pani kombinacjami.
- Obiecałem pani dziadkowi...
- ...czuwać nad moim bezpieczeństwem, słyszałam to już tysiąc razy.
 - I dotrzymam obietnicy. Gdybym pani pomógł w tym przedsięwzięciu, zrobiłbym dokładnie na odwrót.
 - Ale ponieważ ja nie zmienię zdania, nieudzielenie mi pomocy narazi mnie na jeszcze większe niebezpieczeństwo.
 - Niech pani nie próbuje mną manipulować. Pani plan nie ma żadnych szans powodzenia.
 - Co ona takiego zrobiła, że została stracona?
 - Śmieszne... Jedne rzeczy lubi pani, jak jej powtarzam, inne – nie. Zamierzała sprzedać tajemnicę państwową. Złapano ją, zanim uczyniła coś nieodwracalnego. Próbowwała uciec, sprawa źle się potoczyła. To, co ona zrobiła, miało poważne konsekwencje. Ludzie, którzy ją pojмали, nie mieli żadnego innego sposobu, żeby chronić interesy naszego kraju i osoby, które ona zamierzała wydać.
 - Czy pan słyszy, co pan mówi, Arnoldzie? To brzmi jak powieść szpiegowska.
 - Rzeczywistość była dużo gorsza.
 - To śmieszne! Lilly była błyskotliwa, wykształcona, nowoczesna, pojęcie godności wiele dla niej znaczyło, nie skrzywdziłaby nikogo, a już z pewnością nie swoich bliskich.
 - Co pani o tym wie?
 - Mathilde była rozmowna nie tylko wtedy, gdy była pijana. Za każdym razem, gdy byłyśmy same, opowiadała mi o swojej matce. Nigdy nie zaznałam tego szczęścia, żeby babcia wzięła mnie na kolana, ale wiem o niej wszystko. Wiem, jakich używała perfum, jak się ubierała, co czytała, o co się obrażała, znam jej wybuchy szalonego śmiechu...

– Zgadzam się, że wyprzedzała swoją epokę, i to prawda, że miała charakter.

– Wydaje mi się, że bardzo pana cenila.

– To zbyt wielkie słowa. Pani babcia nie lubiła towarzystwa mężczyzn, którzy kręcili się wokół jej męża, czy raczej, którzy pozostawali pod jego wpływem, nie lubiła ich uprzejmości, a jeszcze bardziej ich pochlebstw. Cenila sobie moją dyskrecję. W rzeczywistości zachowywałem się z taką rezerwą, bo ona mnie onieśmiała.

– Była piękna, prawda?

– Pani jest do niej bardzo podobna, i to nie tylko fizycznie, to mnie zresztą bardzo niepokoi.

– Mathilde powiedziała, że pan był jedną z niewielu osób, którym Lilly ufała.

– Ona nie ufała nikomu i czy mogłaby pani nazywać Mathilde „mamą”? To była pani matka, a nie koleżanka.

– Mathilde nigdy nie była zwykłą matką. A poza tym to ona chciała, żebym ją nazywała po imieniu. Kto wydał Lilly?

– Sama niechcący się wydała i pani dziadek nie mógł nic zrobić, żeby ją uratować.

– Dla mojego dziadka najważniejsze było utrzymanie się przy władzy. Ale powinien ją ochronić. Chodziło przecież o jego żonę, o matkę jego córki. A miał swoje wpływy, tylko z nich nie skorzystał.

– Nie wolno pani tak mówić, Suzie! – zdenerwował się Knopf. – Lilly posunęła się za daleko. Tam, dokąd zaszła, już nikt nie mógł jej pomóc. Gdyby ją aresztowano, skończyłaby na krześle elektrycznym. Co zaś się tyczy pani dziadka... Był on pierwszą ofiarą tej sprawy.

Zniszczyła mu karierę, zabrała majątek i honor. Jego partia widziała w nim wiceprezydenta przy Johnsonie.

– Ale Johnson go nie wybrał. Kariera, majątek i honor, co za smutna kolejność, w jakiej ustawił pan te pojęcia. Wszyscy, którzy pracowaliście w agencjach rządowych, zostaliście sformatowani. Myśleliście tylko o wygrywaniu wewnętrznych wojen i zbieraniu kolejnych gwiazdek.

– Głuptasie, ci anonimowi ludzie, ludzie ze strefy cienia, zginęli za to, aby pani mogła żyć w wolnym świecie! Oni służyli swojej ojczyźnie.

– A ile z tych cieni wchodziło w skład oddziału, który strzelał do mojej babki? Ilu ich było, tych dzielnych patriotów, gotowych zabić bezbronną kobietę, która próbowała im uciec?

– Dość, nie mogę już tego słuchać! – rzekł Knopf, wstając z ławki. – Jeśli pani dziadek usłyszałby, co pani wygaduje, przewróciłby się w grobie.

– A gdyby usłyszał, co pan mówi, że bierze pan w obronę zabójców jego żony, przewróciłby się jeszcze raz!

Arnold Knopf ruszył alejką, jeszcze trochę, a znikłby Suzie z oczu. Młoda kobieta wstała i pobięła za nim.

– Wszystko, o co pana proszę, to żeby mi pan pomógł oczyścić z hańby nazwisko mojej babki!

Knopf odwrócił się i popatrzył na Suzie w milczeniu.

– Przydałaby się pani lekcja pokory! – rzekł w końcu. – A do tego najlepsza jest praktyka w terenie – mruknął pod nosem.

– Co pan tam mamrocze?

– Nic, nic, głośno myślę... – powiedział Knopf, oddalając się w kierunku LaGuardia Place.

Mrugnęły reflektory jednego z zaparkowanych samochodów. Knopf wsiadł na tylne siedzenie i znikł na dobre.



Była dziesiąta w nocy. Siedzieli w mieszkaniu Simona i Andrew szykował się do wyjścia.

– Naprawdę chcesz wracać teraz do siebie?

– Simonie, piąty raz zadajesz mi to pytanie.

– Chciałem się tylko upewnić.

– Myślałem, że będziesz zadowolony, że wreszcie się wynoszę! – powiedział Andrew, zamykając walizkę. – Jutro przyjdę zabrać resztę rzeczy.

– Wiesz, że jeśli zmienisz zdanie, zawsze możesz wrócić.

- Nie zmienię zdania.
- Odprowadzę cię!
- Nie, dzięki. Zadzwoń do ciebie, gdy będę na miejscu.
- Jeśli nie zadzwonisz za pół godziny, przyjdę do ciebie.
- Wszystko będzie w porządku, zapewniam cię!
- Wiem, że wszystko będzie w porządku, a poza tym będziesz spał w nowej pościeli.
- No właśnie!
- I obiecałeś mi, że zaprosisz na kolację kobietę, która ci tę pościel zafundowała!
- Tak jest. À propos, czy nie myślałeś o tym, żeby zadzwonić do tej Kathy Steinbeck?

– Co ci nagle przyszło do głowy?

– Nic, tak tylko powiedziałem, ale przemyśl to.

Simon popatrzył na przyjaciela zaskoczony.

Andrew chwycił walizkę i wyszedł z mieszkania Simona.

Znalazłszy się pod swoim domem, Andrew podniósł głowę i popatrzył na swoje okna.

Zasłony były zaciągnięte. Westchnął głęboko i wszedł do budynku.

Klatka schodowa była pogrążona w ciemnościach aż do trzeciego piętra. Znalazłszy się przed drzwiami swego mieszkania, Andrew postawił walizkę na podłodze i zaczął szukać kluczy.

Nagle drzwi się otworzyły i ukazał się w nich jakiś typ, który silnym ciosem w klatkę piersiową pchnął go w tył. Andrew zatoczył się na poręcz balustrady. Czas się zatrzymał, gdy jego ciało przechylało się niebezpiecznie ku otchłani klatki schodowej. Napastnik złapał go za kołnierz, rzucił nim o posadzkę i popędził ku schodom. Andrew dogonił go i chwycił za ramię, ale napastnik odwrócił się i wymierzył mu silny prawy sierpowy w skroń. Głowę Andrew rozdarł

straszny ból. Dziennikarz miał wrażenie, że cios ten wbił mu oko w

czaszkę. Jednak próbował

zatrzymać napastnika. Cios w żebra i zaraz potem następny, w wątrobę, uniemożliwiły mu to.

Zwinął się z bólu i zrezygnował z dalszej walki.

Mężczyzna zbiegł ze schodów. Andrew usłyszał, jak zaskrzypiały za nim zawiasy drzwi wejściowych.

Przez dłuższą chwilę nie mógł odzyskać oddechu. Wreszcie podniósł się i chwycił

walizkę.

– Witaj w domu! – wymamrotał, przekraczając próg mieszkania.

Wszystko było przewrócone do góry nogami, powyciągane szuflady biurka wisiały nad podłogą, zasłaną porozrzucanymi kartkami papieru.

Andrew wszedł do kuchni, wyjął z zamrażalnika garść kostek lodu, zawinął je w ścierkę i przyłożył sobie ten naprędce zrobiony kompres do oka, następnie poszedł do łazienki przejrzeć się w lustrze i ocenić rozmiar obrażeń.



Porządkował mieszkanie już przeszło godzinę, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Chwycił

marynarkę i zaczął szukać rewolweru, który miał w kieszeni. Wsunął go za pasek od spodni z tyłu i uchylił drzwi.

– Co ty wyrabiasz? Dzwoniłem z dziesięć razy! – wyrzucił z siebie Simon.

Potem popatrzył na Andrew.

– Biłeś się z kimś?

– Raczej ktoś mnie pobił... – przyznał Andrew i wpuścił Simona do środka.

– Widziałeś go?

– Mojego wzrostu, myślę, że miał ciemne włosy. Wszystko odbyło się błyskawicznie, na klatce schodowej panował półmrok.

– Co ci ukradziono?

– Co ty chcesz, żeby mi stąd ukradziono?

– Sprawdziłeś, czy inne mieszkania w twoim budynku też obrabowano?

– Nie przyszło mi to do głowy.

– Wezwałeś policję?

– Jeszcze nie.

– Spojrzę, czy widać ślady włamań na innych drzwiach – powiedział Simon. – Zaraz wracam.

Podczas gdy Simon sprawdzał inne drzwi, Andrew odłożył broń na miejsce i po drodze podniósł z podłogi zdjęcie, które spadło z kominka.

– Widziałas, co się tu działo? Czego szukał ten facet? – wyszeptał, patrząc na uśmiechniętą twarz swojej byłej żony.

Za jego plecami zjawił się Simon.

– Chodź, idziemy do mnie! – powiedział, wyjmując Andrew zdjęcie z dłoni.

– Nie, skończę układać rzeczy i położę się spać.

– Chcesz, żebym z tobą został?

– Dam sobie radę... – odparł Andrew, odbierając zdjęcie Simonowi i odstawiając je na miejsce, po czym odprowadził przyjaciela do drzwi.

– Jutro na pewno do ciebie zadzwonię! – obiecał.

– Znalazłem to na schodach... – powiedział Simon, wręczając Andrew pogniecioną kopertę. – Może wypadła z kieszeni złodziejowi! Specjalnie uważałem, trzymałem ją delikatnie za róg, żeby nie zatrzeć odcisków palców.

Andrew wznosił oczy do nieba i wyjął kopertę z rąk przyjaciela, nie dbając o odciski.

Skonsternowany wyciągnął z niej zdjęcie jego i Suzie. Sfotografowano ich pod domem, w momencie gdy wręczał jej klucze do swojego mieszkania.

Zdjęcie było ciemne, zrobione najwyraźniej bez flesza.

– Co to jest? – spytał Simon.

– Nic, jakiś prospekt – odrzekł Andrew, wsuwając kopertę do kieszeni.

Gdy Simon wyszedł, Andrew usiadł przy biurku i przyjrzał się uważnie fotografii. Ten, kto ją zrobił, musiał stać na rogu Perry i Czwartej Zachodniej. Odwrócił zdjęcie i zobaczył trzy kreski zrobione czarnym pisakiem. Podsunął zdjęcie pod lampę, ale nie udało mu się odcyfrować przekreślonego napisu.

Poczuł większą niż kiedykolwiek ochotę na drinka. Przejrzał wszystkie szafki w kuchni.

Sprzątaczką dobrze wykonała swoją robotę i znalazł tam tylko naczynia. Najbliższy sklep z alkoholem znajdował się na rogu Christopher Street, ale północ dawno minęła, z pewnością był

zamknięty.

Czuł, że nie zaśnie, jeśli się czegoś nie napije. Machinalnie zajrzał do lodówki i ujrzał

butelkę wódki z przyczepioną do szyjki karteczką. *Życzę panu pięknego pierwszego wieczoru we własnym mieszkaniu. Dzięki za wszystko. Suzie –* przeczytał.

Andrew nie przepadał za wódką, ale było to lepsze niż nic. Nalał sobie duży kieliszek i usiadł na kanapie w salonie.



Następnego ranka, siedząc pod kolumną na szczycie ogromnych schodów prowadzących do biblioteki, z kubkiem kawy w dłoni, co chwila podnosił głowę znad gazety trzymanej na kolanach i rozglądał się uważnie dokoła.

Gdy zauważył wchodzącą po schodach Suzie Baker, wstał i podszedł do niej.

Podskoczyła, gdy objął ją ramieniem.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć!

– Co się panu stało? – spytała na widok jego posiniaczonej twarzy.

– Zamierzałem zapytać panią o to samo.

Suzie zmarszczyła brwi. Andrew pociągnął ją za sobą na ulicę.

– W czytelnicy trzeba być cicho, a my musimy porozmawiać. Muszę coś zjeść, tam jest stoisko z hot dogami! – pokazał palcem na najbliższe skrzyżowanie.

– O tej godzinie?

– Dlaczego nie, o dziewiątej rano są mniej smaczne niż w południe?

– To kwestia gustu.

Andrew kupił sobie hamburgera Jumbo z dużą ilością przypraw i zaproponował to samo Suzie, ale ona zadowolona się kawą.

– Zgodzi się pani na przechadzkę po Central Parku? – zaproponował.

– Mam dużo pracy, ale to może poczekać.

Poszli w górę Piątej Alei. Zaczął padać śnieg z deszczem. Suzie postawiła kołnierz płaszcz.

– To nie najlepsza pora na spacer – powiedziała, gdy doszli do parku.

– Chętnie zafundowałbym pani śniadanie w hotelu Plaza, ale już nie jestem głodny. To śmieszne, całe lata mieszkam w Nowym Jorku, a jeszcze nigdy nie przejechałem się dorożką – zauważył Andrew, wskazując na woźniców kręcących się obok koni. – Chodźmy, tam będziemy bezpieczni!

– Wątpię, żeby to nas ochroniło przed deszczem!

– Ale na pewno ochroni od niedyskretnych uszu! – rzucił Andrew, przechodząc przez Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę.

Woźnica pomógł Suzie wdrapać się na siedzisko i jak tylko Andrew usadowił się obok niej, przykrył im kolana grubym pledem, następnie wskoczył na kozioł i strzelił z bata. Dorożka ruszyła.

– Hot dog na śniadanie, później przejażdżka dorożką, czemu nie? – rzuciła Suzie.

– Czy pani wierzy w zbiegi okoliczności, panno Baker?

– Nie.

– Ja również nie. Chociaż codziennie dokonuje się tylu włamań na Manhattanie, że statystycznie rzecz biorąc, mogliśmy oboje paść ich ofiarą w tym samym tygodniu.

– Włamano się do pańskiego mieszkania?

– Myślała pani, że uderzyłem się o stolik nocny, wstając z łóżka?

– Nie, pomyślałam, że musiał się pan z kimś pobić...

– Zdarza mi się czasem wypić wieczorem o kieliszek za dużo, ale nie szlajam się wówczas po podejrzanych miejscach...

– Nie o tym myślałam.

– Proszę, niech pani sama osądzi, zbieg okoliczności czy nie – powiedział Andrew, wręczając Suzie kopertę.

Suzie obejrzała zdjęcie.

– Kto panu to przesłał?

– To wypadło z kieszeni tego typu, który na mnie napadł, podczas bójki.

– Nie wiem, co mam powiedzieć... – wymamrotała Suzie.

– Proszę się skupić.

Ale Suzie milczała.

– A więc pomogę pani, we dwójkę zawsze łatwiej. Przypadkiem siada pani naprzeciw mnie w bibliotece. Czteryście stołów w wielkiej czytelni, a pani siada właśnie obok mnie. Dalej – dostaje pani wiadomość o włamaniu do pani mieszkania, ja znów jestem tuż obok. Po powrocie do domu nie wzywa pani policji – nie chce pani się narazić dozorczy, mieszka tam pani nieoficjalnie... Potem, ledwo pani opuszcza moje mieszkanie, ktoś się do niego włamuje. I jakby nie dość było przypadków, oba włamania są podobne, wszystkie sprzęty w mieszkaniu przewrócone do góry nogami, ale nic nie ginie. Mam mówić dalej?

– Czy to przypadek kazał panu mnie zaczepić wtedy w bibliotece? Przypadek kazał panu iść za mną aż pod mój dom? Przypadek zmusił pana do grzebania w mojej przeszłości, do zaproszenia mnie na obiad i użyczenia mi swojego mieszkania?

– Nie, to wszystko zrobiłem z własnej woli... – odrzekł Andrew zakłopotany.

– No więc co mi pan insynuuje?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– O ile wiem, o nic pana nie prosiłam. Proszę zatrzymać dorożkę, tu śmierdzi mokrym koniem. Proszę mnie wypuścić i wreszcie niech mi pan da spokój.

– Lubię zapach koni, kiedyś się ich bałam, teraz już nie. Zapłaciłem za całą przejażdżkę, jeśli to za mało, żeby pani odpowiedziała na wszystkie moje pytania, zapłacę za następną.

– On tak wolno jedzie, że jeśli będę chciała, to wyskoczę w biegu!

– Ma pani naprawdę okropny charakter!

– To rodzinne.

– Dobrze, źle zaczęliśmy, spróbujmy jeszcze raz od nowa.

– Czyja to wina?

– Ledwo widzę na jedno oko, chce pani jeszcze, żebym panią przeproszał?

– Przecież to nie ja pana pobiłam!

– Nie, ale proszę mi nie mówić, że nie ma pani nic wspólnego z tym zdjęciem!

Suzie Baker z uśmiechem zwróciła zdjęcie Andrew.

– W każdym razie lepiej pan na nim wygląda!

– Bo byłem po lepszej nocy i nie miałem opatrunku na oku.

– Czy to boli? – spytała Suzie, delikatnie dotykając łuku brwiowego Andrew.

– Jeśli pani uciśnie, to tak – odburknął Andrew i odsunął jej dłoń od swojej twarzy. – W co się pani wplątała, panno Baker? Kto nas śledzi, kto się włamuje do naszych mieszkań?

– To pana nie dotyczy, jest mi bardzo przykro z powodu konsekwencji, które pan ponosi z powodu znajomości ze mną. Jutro poproszę o inne miejsce w bibliotece. Proszę się trzymać ode mnie z daleka i będzie pan miał spokój. Teraz niech pan poprosi dorożkarza, żeby się zatrzymał.

Chcę wysiąść.

– Kim był mężczyzna, który wyszedł tuż przed panią ze sklepu, tego wieczoru, kiedyśmy wpadli na siebie na ulicy?

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– O nim! – rzekł Andrew, wyjmując z kieszeni zdjęcia, które dostał z Francji.

Suzie przyjrzała się im uważnie i twarz jej spochmurniała.

– Dla kogo pan pracuje, panie Stilman? – spytała.

– Dla „New York Timesa”, panno Baker, choć aktualnie przebywam na przedłużonym zwolnieniu lekarskim.

– Proszę się więc ograniczyć do swoich artykułów – rzuciła Suzie i kazała woźnicy zatrzymać dorożkę.

Wyskoczyła z powozu i ruszyła na piechotę główną alejką parku. Dorożkarz popatrzył na Andrew, czekając na instrukcje.

– Niech pan będzie tak miły i zapyta mnie, w co znów się wpakowałem. Potrzebuję usłyszeć, co odpowiem.

– Że co? – spytał woźnica, który nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział do niego Andrew.

– Czy za dwadzieścia dolców może pan zawrócić konia?

– Za trzydzieści mogę nawet dogonić tę młodą damę!

– Dwadzieścia pięć!

– Zgoda!

Woźnica zawrócił i puścił konia klusem główną aleją. Zwolnił na widok Suzie.

– Niech pani wsiada! – rozkazał Andrew.

– Proszę dać mi spokój, Stilman, moje towarzystwo przynosi każdemu pecha!

– Ja nic nie ryzykuję, sam jestem pechowy. Niech pani wsiada, proszę, przemoknie pani do suchej nitki.

– Już jestem cała mokra.

– Tym bardziej, proszę się okryć pledem, przeziębci się pani!

Drżąc z zimna, Suzie postawiła nogę na stopniu, wsiadła do dorożki i skuliła się pod pledem.

– Po tym wypadku została pani przetransportowana na pokładzie specjalnego samolotu.

Takiego biletu nie można zwyczajnie kupić w biurze linii lotniczych, prawda?

– Skoro pan tak mówi...

– Kim jest Arnold Knopf?

– To zaufany człowiek, przyjaciel mojej rodziny. Nie znałam swego ojca, Arnold Knopf to jakby mój ojciec chrzestny.

– Kim jest pani naprawdę, panno Baker?

– Jestem wnuczką zmarłego senatora Walkera.

– To nazwisko powinno być mi znane?

– Był jednym z doradców prezydenta Johnsona.

– Lyndona Baines Johnsona, który został prezydentem po Kennedym?

– Tego właśnie.

– Jaki jest związek między dziadkiem senatorem a tym, co się pani ostatnio przydarzyło?

– To dziwne, że jako reporter nie czyta pan prasy.

– Johnson został wybrany w sześćdziesiątym czwartym roku. Nie czytałem gazet, zanim się urodziłem.

– Moja rodzina stała się powodem skandalu na skalę krajową. Mój dziadek musiał

zrezygnować ze stanowiska.

– Kochanka? Sprzeniewierzenie publicznych pieniędzy? Obie rzeczy?

– Jego żona została oskarżona o zdradę stanu i zabita przy próbie ucieczki.

– Faktycznie niebanalne. Ale jaki to ma związek z panią? Przecież nie było pani wówczas na świecie.

– Moja babcia była niewinna, przysięgam sobie, że znajdę na to dowód.

– Dlaczego nie! I czterdzieści sześć lat później sprawa jeszcze może komuś zaszkodzić?

– Z tego wynika, że tak.

– Co dokładnie zarzucano pani babce?

– Rzekomo miała zamiar sprzedać tajemnicę wojskową Rosjanom i Chińczykom.

Prowadziliśmy wówczas wojnę w Wietnamie, ona była żoną wysokiej rangi urzędnika państwowego, w domu dyskutowało się o wielu sprawach.

– Czy pani babka była komunistką?

– Nigdy w to nie wierzyłam. Była stanowczo przeciwna wojnie i walczyła o sprawiedliwość społeczną. Wywierała również pewien wpływ na swego męża, ale to nie jest przestępstwo.

– Wszystko zależy, jak na to spojrzeć... – odrzekł Andrew. – Czy myśli pani, że to był

spisek, zorganizowany z powodu jej wielkiego wpływu na pani dziadka?

– Mathilde była tego pewna.

– Mathilde?

– Ich córka, moja matka.

– Zostawmy na razie to, co myślała pani matka. Czy ma pani jakieś konkretne dowody?

– Kilka dokumentów należących do Lilly i ostatnią wiadomość, jaką zostawiła, zanim uciekła. To jest list pisany ręcznie, którego nie rozumiem.

– Nie nazwałbym tego konkretnymi dowodami.

– Panie Stilman, muszę panu coś powiedzieć. Okłamałam pana w jednej sprawie.

– Tylko w jednej?

– Wyprawa na Mont Blanc nie była żadną pielgrzymką dla mnie, a już z pewnością nie dla Shamira. Mathilde dużo piła, mówiłam już panu. Wielokrotnie chodziłam po nią do baru, gdzie zasypiała przy kontuarze. Zasypiała też w samochodzie na parkingu. Za każdym razem, jak było już bardzo źle, wołała mnie na pomoc. W takich chwilach dużo opowiadała o mojej babce.

Przeważnie były to urywane zdania, trudno było ją zrozumieć. Pewnej nocy, gdy była bardziej pijana niż zwykle, chciała się wykąpać w porcie w Bostonie. O trzeciej w nocy, w środku zimy, dokładnie dwudziestego czwartego stycznia. Właśnie przechodził patrol i w ostatniej chwili wyłowił ją jakiś policjant.

– Była pijana, czy chciała popełnić samobójstwo?

– Chyba jedno i drugie.

– Dlaczego akurat tamtego dnia?

– Właśnie, dlaczego? Zapytałam ją, odpowiedziała, że to była czterdziesta rocznica ostatniej nadziei.

– Co chciała przez to powiedzieć?

– Jedyne dowód na niewinność jej matki znajdował się na pokładzie samolotu, który się rozbił pod Mont Blanc dwudziestego czwartego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Po próbie samobójczej mojej matki zaczęłam prowadzić własne śledztwo.

– Podjęła się pani wspinaczki na Mont Blanc, żeby po czterdziestu sześciu latach odnaleźć na pokładzie wraku samolotu dowód niewinności pani babki? Nie do wiary!

– Analizowałam fakty dotyczące tej katastrofy przez wiele lat i zebrałam więcej informacji na jej temat niż ktokolwiek do tej pory. Zanotowałam ruchy lodowca miesiąc po miesiącu, zrobiłam listę wszystkich szczątków, które ten lodowiec z siebie wyrzucił.

– Samolot uderzył w górę, co pani chce, żeby z niego zostało?

– *Kanczendzonga* zostawiła po sobie ślad w postaci ośmiusetmetrowej linii na stoku góry.

Samolot nie uderzył w nią dziobem. Gdy pilot zauważył zarys gór, zadarł dziób maszyny.

Uderzył w górę ogonem. Pomędzy tysiącami szczątków odnalezionych w ciągu czterdziestu ostatnich lat ani jedna część nie pochodziła z kokpitu. Ani jedna! W momencie uderzenia przód z pewnością oderwał się od kadłuba i zrozumiałam, że skończył swój ślizg na dnie szczeliny lodowca, pomiędzy skałami Tournette. Po latach poświęconych lekturze raportów, świadectw, analiz i fotografii wojskowych byłam prawie pewna, że wiem, gdzie dokładnie wpadł kokpit. Nie przewidziałam jednego, że my również tam wpadniemy.

– Założmy, że to prawda... – rzekł Andrew z niedowierzaniem w głosie.

– Czy trafiła pani na kokpit *Kanczendzongi*?

– Tak, odnaleźliśmy go, a zarazem odkryliśmy fragment pokładu z prawie nietkniętą strefą pierwszej klasy. Niestety, dowód, którego szukałam, nie okazał się tak wymowny, jak się spodziewałam.

– A co to miało być?

– Chodziło o list, który znajdował się w walizce pewnego hinduskiego dyplomaty, którego nazwisko figuruje na liście pasażerów tego samolotu.

– Czy pani zna hindi?

– List został napisany po angielsku.

– I myśli pani, że tego listu szukał ten gburowaty włamywacz u pani w mieszkaniu?

Znalazł go?

– Ukryłam go u pana w mieszkaniu.

– Przepraszam, że co?!

– Wolałam schować go w jakimś pewnym miejscu. Wsunęłam go za lodówkę, to pan podsunął mi ten pomysł. Nie wiedziałam, że jestem śledzona, a już w ogóle nie wzięłam pod uwagę tego, że ktoś będzie chodził za panem.

– Panno Baker, nie jestem prywatnym detektywem, tylko reporterem. Nie czuję się obecnie w pełni formy. Po raz pierwszy wysłucham tego cichego głosu, który każe mi zająć się własnymi sprawami i odpuścić sobie historię pani rodziny.

Dorożka wyjechała z Central Parku i stanęła przy chodniku Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Andrew pomógł Suzie wysiąść i złapał taksówkę.

– Muszę odebrać od pana ten list! – powiedziała Suzie, żegnając się z nim.

– Oddam go pani jutro w bibliotece.

– A więc do jutra! – Suzie zatrzasnęła drzwi taksówki.

Andrew stał na chodniku zamyślony. W głowie miał zamęt. Spojrzał za oddalającą się taksówką, która zabrała Suzie, i zadzwonił do Dolorès Salazar.

8

Kiedy wpadł do redakcji po korespondencję, ujrzał Freddy'ego Olsona na czworakach pod biurkiem.

– Udajesz pudła, Olson? – spytał, otwierając pierwszą kopertę.

– Nie wygłupiaj się, Stilman, widziałeś może gdzieś moją legitymację prasową?

– Nie wiedziałem, że takową posiadasz, mój drogi. Czy chcesz, żeby kupić ci trochę suchej karmy?

– Odpierdol się, Stilman. Już dwa dni szukam i nie mogę jej nigdzie znaleźć.

– Dwa dni siedzisz pod biurkiem? Powinieneś poszerzyć teren poszukiwań.

Andrew zabrał resztę poczty – dwa prospekty, list od jakiegoś nawiedzonego, który chciał

mu dostarczyć dowody na to, że koniec świata nastąpi pod koniec miesiąca – i wsunął wszystko do otworu niszcarki.

– Mam dla ciebie fantastyczną wiadomość, Olson, ale musisz wyjść spod biurka!

Freddy podniósł się i uderzył głową w blat.

– Co to za nowina?

– Jakiś idiota rąbnął się w głowę. Życzę ci miłego dnia!

Andrew udał się w kierunku wind, pogwizdując pod nosem. Zaraz za nim do windy weszła Olivia.

– Widzę, że jest pan w doskonałym humorze, Stilman! Czy jest po temu jakiś szczególny powód? – spytała.

– Nie zrozumie pani.

– Idzie pan do archiwum?

– Nie. Zjeżdżam na dół, bo muszę natychmiast sprawdzić numer seryjny

grzejnika.

– Stilman, całe życie będę się czuła winna, że to przeze mnie zdarzyło się to nieszczęście, ale jednak niech pan nie przesadza. Nad czym pan pracuje?

– Kto pani powiedział, że nad czymś pracuję, Olivio?

– Wygląda na to, że pan dziś nie pił, a to dobry znak. Proszę mnie posłuchać: albo wpadnie pan dziś do mnie, żeby mi powiedzieć, nad czym pan pracuje, albo zlecę jakiś temat i będzie się pan musiał wywiązać z zadania w terminie.

– Z godnego szacunku źródła mam informacje na temat końca świata – odparł Andrew poważnym tonem.

Szefowa rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale po chwili się roześmiała.

– Z panem to naprawdę...

– Ze mną naprawdę nic już się nie da zrobić, wiem, Olivio. Proszę dać mi osiem dni i obiecuję, że wszystko pani wyjaśnię.

– Wobec tego do zobaczenia za osiem dni, Andrew!

Andrew puścił Olivię przodem, zaczekał, aż zniknie za zakrętem, i poszedł do biura Dolorès.

– Więc? – spytał, zamykając za sobą drzwi.

– Męczy mnie sprawa tej pana protegowanej, Stilman. Nic nie mogę znaleźć na jej temat.

Tak jakby ktoś naumyślnie zatarł po niej wszystkie ślady. Ta kobieta nie ma przeszłości.

– Wydaje mi się, że wiem, kto to mógł zrobić.

– Ktokolwiek to jest, może bardzo wiele. Nie natknęłam się na nic podobnego w ciągu dwudziestu lat pracy. Dzwoniłam nawet do Fort Kent, tego uniwersytetu, o którym mi pan mówił. Nie wyciągnęłam z nich ani słowa na temat Suzie Baker.

– A na temat senatora Walkera?

– Przygotowałam panu specjalną teczkę z informacjami. Nie słyszałam o

tej sprawie, ale kiedy czyta się prasę z tamtego okresu, widać, że narobiła mnóstwo hałasu. To znaczy pisano o niej bardzo wiele przez kilka dni, a potem nagle wszyscy zamilkli. Absolutna cisza.

Waszyngtonowi musiało bardzo na tym zależeć, żeby zapadło takie grobowe milczenie.

– To były inne czasy. Nie było internetu. Gdzie jest ta teczka, Dolorès?

– Leży przed panem.

Andrew zaczął przeglądać dokumentację.

– Dzięki, kotku! – westchnęła Dolorès.

– Gdyby pani widziała przed chwilą Olsona, jak biegał po biurze na czworakach, nie powiedziałaaby pani tego! Dzięki, Dolorès.

Andrew opuścił redakcję i wrócił do domu. Od razu skierował się do kuchni i odsunął

lodówkę. Zastanawiał się, jak Suzie dała sobie radę sama. Gdy tylko szpara była wystarczająco szeroka, wsunął w nią rękę i znalazł kopertę.

W kopercie był mocno podniszczony list. Andrew rozłożył go ostrożnie.

Drogi Edwardzie,

to, co miało być wykonane, zostało wykonane i odczuwam z tego powodu ogromny smutek, kiedy myślę o Panu. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane – „gorące” materiały znajdują się w miejscu, w którym nikt nie będzie miał do nich dostępu. Chyba że nie dotrzymano by obietnicy złożonej pod przysięgą. Podam panu dokładne dane wysłane w dwóch oddzielnych listach.

Wyobrażam sobie, jak bardzo musiało Pana zmartwić to dramatyczne rozwiązanie, ale jeśli to może przynieść Panu ukojenie, wyznam, że w podobnych okolicznościach postąpiłbym tak samo. Racja stanu jest najwyższym priorytetem i ludzie tacy jak my nie mają innego wyjścia, tylko służyć ojczyźnie, nawet jeśli muszą dla niej poświęcić to, co dla nich najcenniejsze.

Nie spotkamy się już, czego bardzo żałuję. Nigdy nie zapomnę naszych wypraw do Berlina, w pięćdziesiątym szóstym i potem w pięćdziesiątym dziewiątym, a zwłaszcza 29 lipca, gdy uratował mi Pan życie. Teraz jesteśmy kwita.

W razie wyjątkowej konieczności może Pan do mnie pisać na adres: 79, Juli 37 Gate, apartament nr 71, Oslo. Będę tu przez jakiś czas.

Proszę zniszczyć ten list od razu po przeczytaniu. Liczę na Pańską dyskrecję, żeby nie został żaden ślad, że byliśmy w kontakcie.

Z poważaniem

Ashton

Andrew poszedł do salonu, żeby przejrzeć teczkę, którą wręczyła mu Dolorès.

Były tam wycinki z gazet, wszystkie z połowy stycznia 1966 roku.

Żona senatora Walkera podejrzana o zdradę stanu – tak brzmiał tytuł artykułu w „Washington Post”.

Skandal w rodzinie Walkera – widniało na stronie tytułowej „Los Angeles Times”.

Żona zdradziła! – oznajmiała strona tytułowa „Daily News”.

Winna! – krzyczał „Denver Post”.

Była szpiegiem i zdradziła męża i ojczyznę! – oskarżał „New York Post”.

Ponad trzydzieści dzienników w całym kraju publikowało prawie to samo na swoich pierwszych stronach. Wszystkie relacjonowały historię Liliane Walker, oskarżonej o szpiegostwo na rzecz KGB żony senatora Partii Demokratycznej, Edwarda Walkera, i matki dziewiętnastoletniej dziewczyny. Według „Chicago Tribune” agenci, którzy przyszli ją aresztować, znaleźli w

sypialni obciążające dowody, jej wina nie budziła wątpliwości. Żona senatora notowała rozmowy, które słyszała w biurze swego męża, jak również zabrała klucz od jego sejfu, by sfotografować dokumenty, które zamierzała sprzedać komunistom. „Morning News” z Dallas twierdziło, że gdyby nie interwencja FBI, z powodu zdrady Liliane Walker zagrożone byłyby liczne bazy wojskowe oraz wielu żołnierzy walczących w Wietnamie mogłoby stracić życie. Uprowadzona przez współników według jednych, a przez podwójnego agenta według innych, Liliane w ostatniej chwili uciekła przed policją, która przyszła ją aresztować.

W prasie codziennie pełno było soczystych opisów tego wydarzenia i jego konsekwencji.

Osiemnastego stycznia senator Walker podał się do dymisji i oznajmił, że definitywnie wycofuje się z polityki. Dziewiętnastego stycznia prasa podała, że Liliane zatrzymano w chwili, gdy starała się przekroczyć granicę na północy Szwecji, żeby dostać się do ZSRR przez Norwegię. Ale po 20

stycznia, jak zauważyła Dolorès, w żadnym dzienniku nie było już ani wzmianki na temat skandalu w rodzinie senatora Walkera.

Wyjątek stanowił jeden artykuł zamieszczony 21 stycznia w dodatku politycznym „New York Timesa”, którego autor, niejaki Ben Morton, podważył tezę zdrady pytaniem: *Komu przynosi korzyść kompromitacja senatora Walkera?*

Andrew pamiętał tego człowieka, to był ktoś, stary dziennikarski wyjadacz. Widział go kiedyś na korytarzu, gdy jako początkujący dziennikarz pracował w dziale nekrologów „New York Timesa”. Wówczas nie należał jeszcze do uprzywilejowanej grupy reporterów i nigdy nie udało mu się zamienić z Benem Mortonem ani słowa.

Zadzwoił teraz do działu korespondencji i poprosił o adres, na który dziennik wysyłał

listy adresowane do Bena Mortona. Pracujący tam Figera powiedział mu, że już od dawna nic na ten adres nie przesłał, gdyż do Bena Mortona przychodziły wyłącznie prospekty reklamowe, a ten kazał mu je wyrzucać. Andrew w końcu wydusił z Figery, że Ben Morton wycofał się z życia publicznego i mieszka teraz w małej wiosce Turnbridge w stanie Vermont. Redakcja nie posiada dokładniejszego adresu, tylko numer poste restante.

Andrew przestudiował mapę. Można się tam było dostać jedynie samochodem. Odkąd jakiś niezadowolony czytelnik zniszczył jego datsuna kijem baseballowym na podziemnym parkingu, Andrew w ogóle nim nie jeździł z powodu urazu psychicznego. Datsun został

doprowadzony do stanu używalności w warsztacie Simona i jeszcze tam stał. Andrew nie wątpił, że od razu ruszy, znając maniacki stosunek przyjaciela do starych samochodów, co czasem miało swoje dobre strony.

Zabrał teczkę z dokumentacją, ciepłe ubrania, przygotował sobie termos z kawą i na piechotę udał się do warsztatu przyjaciela.



– Oczywiście, że jest na chodzie – westchnął Simon. – Dokąd się wybieramy?

– Tym razem wybieram się sam.

– To nie jest odpowiedź na pytanie „dokąd” – skrzywił się Simon.

– Do Vermontu. Mogę dostać swoje kluczyki?

– Wszędzie tam będzie zalegał śnieg i zaraz na pierwszym zakręcie wylecisz z drogi tym pokiereszowanym datsunem, zwłaszcza jeśli będziesz jechał w nocy – powiedział Simon, otwierając szufladę biurka. – Powierzam ci więc chevroleta kombi rocznik pięćdziesiąty czwarty, sto dziesięć koni, sześć cylindrów. Radzę zwrócić mi go w idealnym stanie, został przeze mnie całkowicie odnowiony, wszystkie części do wymiany kupowałem oryginalne.

– Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej.

– To ironia?

– Simonie, spieszę się.

– Kiedy wracasz?

– Czasem się zastanawiam, czy nie jesteś wcieleniem mojej matki.

– Twoje żarty w ogóle mnie nie śmieszą. Zadzwoń, kiedy dojedziesz, żebym się nie denerwował.

Andrew obiecał Simonowi, że się odezwie, i usiadł za kierownicą.

Siedzenia pachniały starym plastikiem, ale kierownica i bakelitowa tablica rozdzielcza prezentowały się okazale.

– Będę o niego dbał jak o swój! – przysiągł Andrew.

– Raczej dbaj o niego jak o mój! – odpowiedział Simon.

Andrew wyjechał z Nowego Jorku autostradą północną. Szybko minął nieporządne przedmieście, gdzie wieżowce mieszkalne wystawały spomiędzy różnych magazynów, biur i składów paliwa. Potem mijał miasteczka, które z zapadnięciem zmroku zmieniły się we wsie.

Robiło się coraz spokojniej. Domy ustąpiły polom, tylko światła w oknach nielicznych farm przypominały, że gdzieś tu żyją ludzie.

Turnbridge okazał się przede wszystkim drogą, oświetloną pięcioma latarniami ustawionymi w odległości co dziesięć metrów. Pięć zardzewiałych latarni oświetlało słabym światłem mały sklep spożywczy, sklep z artykułami metalowymi i stację benzynową. Tylko stacja była jeszcze czynna. Andrew zatrzymał się koło jedyne dystrybutora paliwa. Koła chevroleta, przejeżdżając przez kabel, włączyły dzwonek. Z pomieszczenia wyłonił się człowiek prawie tak stary jak stacja, na której pracował. Andrew wysiadł z samochodu.

– Proszę mi wlać pełen bak – poprosił.

– Takiego wozu dawno nie widziałem! – mężczyzna gwizdnął przez rzadkie zęby. – Przystosowany do nowego paliwa? Mamy już tylko benzynę bezołowiową.

– Myślę, że tak – odrzekł Andrew. – Jeśli nie, to samochód się zepsuje?

– Nie, ale jeśli chce pan jechać dalej, lepiej wiedzieć. Proszę podnieść maskę, sprawdzę poziomy płynów.

– Nie musi pan, samochód jest po przeglądzie.

– Ile mil pan już przejechał?

– Około trzystu.

– Niech więc pan podniesie maskę, te stare wozy są łase na olej, a poza tym mam czas.

Ostatniego klienta miałem wczoraj rano.

– Dlaczego więc stacja jest otwarta tak późno w nocy? – spytał Andrew, masując sobie ramiona, podczas gdy pracownik stacji napełniał bak benzyną.

– Widzi pan to krzesło za szybą? Od pięćdziesięciu lat na nim siedzę, to jest jedyne miejsce, gdzie lubię usiąść. Prowadzę tę stację od czasu śmierci mego ojca w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. To on ją zbudował. Kiedy byłem dzieckiem, sprzedawaliśmy benzynę firmy Gulf, ale marka ta znikła już dawno. Sypialnię mam na piętrze, ale cierpię na bezsenność, siedzę więc tu, aż mi się zamkną oczy. Co mam innego do roboty? A poza tym nigdy nie wiadomo, jeśli ktoś taki jak pan zgubiłby się tutaj w nocy, szkoda byłoby stracić klienta. Dokąd pan jedzie?

– Już dojechałem. Zna pan Bena Mortona?

– Wolałbym go nie znać, ale znam.

– Wie pan, gdzie on mieszka?

– Czy spędził pan miły dzień?

– Tak, dlaczego pan pyta?

– Lepiej więc niech pan zawróci, inaczej go sobie pan zepsuje na sam koniec.

– Jadę z Nowego Jorku tylko po to, żeby się z nim spotkać.

– Gdyby jechał pan z Miami, odpowiedziałbym to samo. Morton jest starym sukinsynem, którego lepiej unikać.

– Spotkałem już w życiu wielu takich jak on, jestem przyzwyczajony!

– Takiego jak on z pewnością pan nie spotkał! – wykrzyknął staruszek, wyjmując gumowy przewód z baku i wieszając go na dystrybutorze. – Winien jest mi pan okrągłe osiemdziesiąt dolarów, te kilka centów to koszty usługi.

Andrew wręczył mężczyźnie pięć dwudziestodolarówek. Staruszek przeliczył banknoty i uśmiechnął się.

– Zwykły napiwek to dwa dolary. Osiemnaście za adres tego sukinsyna to nie byłoby uczciwe z mojej strony. Nie trzeba mi oliwić dłoni, mam je wystarczająco pobrudzone smarem.

Pójdę po resztę. Proszę za mną, mam w środku gorącą kawę.

Andrew wszedł do niewielkiego budynku.

– Czego pan chce od tego idioty? – spytał staruszek, wręczając mu kubek z kawą.

– Co on panu takiego zrobił?

– Proszę mi wymienić jedną osobę, która żyje w zgodzie z tym starym niedźwiedziem, a dam panu bak paliwa za darmo.

– Jest aż tak źle?

– On mieszka sam jak pustelnik w tym swoim drewnianym domku. Każę sobie dostarczać jedzenie i zostawiać na ścieżce, nie wolno zbliżać się do drzwi. Nawet moja stacja leży za daleko dla Jego Wysokości.

Kawa miała kolor i gorycz lukrecji, ale Andrew było zimno i wypił gorący napój bez mrugnięcia okiem.

– Ma pan zamiar pójść do niego teraz, wieczorem? Chciałbym zobaczyć, jak pana powita!

– Ile mil stąd jest najbliższy motel?

– Ponad pięćdziesiąt, jednak o tej porze roku jest nieczynny. Chętnie bym pana przenocował, ale w remizie nie ma ogrzewania. Chatka Mortona jest wysunięta bardziej na południe, minął ją pan. Musi pan zawrócić, minąć Russel Road i wtedy po prawej ręce zobaczy pan bitą drogę. On mieszka na jej końcu, nie sposób nie zauważyć.

Andrew podziękował staruszkowi i ruszył ku drzwiom.

– Jeśli chodzi o pańskie auto, proszę jechać wolno. Gdyby silnik zbyt szybko się zagrzał, to z paliwem, które panu wlałem, tłoki mogą się zatrzeć.

Andrew wrócił na drogę. Rozświetlił ciemność reflektorami chevroleta i chwilę później zobaczył kamienny trakt.

W dwóch oknach po obu stronach drzwi drewnianego domku paliło się jeszcze światło.

Andrew wyłączył silnik, wyszedł z samochodu i zapukał.

Trudno było mu ujrzeć rysy tak podziwianego przez siebie reportera w

rysach twarzy starego mężczyzny, który mu otworzył i patrzył na niego w milczeniu.

– Wynoś się pan stąd! – rzucił starzec przez gęstą brodę.

– Przejechałem kawał drogi, żeby się z panem spotkać, Morton.

– Niech więc pan zawraca, z powrotem wyda się panu krótsza, skoro już pan ją zna.

– Muszę z panem porozmawiać.

– A ja nic nie muszę, wynocha! Niczego nie potrzebuję.

– Chcę się dowiedzieć czegoś na temat artykułu, który pan napisał kiedyś o sprawie Walkera.

– O jakiej sprawie Walkera?

– To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku... Na temat żony senatora, którą oskarżono o zdradę stanu.

– Faktycznie lubi pan się trzymać spraw bieżących. Co jest takiego intrygującego w moim artykule?

– Pracuję w „New York Timesie” tak jak pan kiedyś. Wiele razy mijaliśmy się na korytarzu w redakcji, ale dawno temu, nigdy nie miałem okazji z panem porozmawiać.

– Już dawno przeszedłem na emeryturę, nie powiedziano panu? Widzę, że pan należy do gatunku dziennikarzy, którzy lubią grzebać w starych dokumentach.

– Odnalazłem również pana. Nie ma pana w książce telefonicznej.

Ben Morton popatrzył w milczeniu na Andrew i w końcu zaprosił go do środka.

– Niech pan podejdzie do kominka, ma pan zsiniałe usta. Jesteśmy tutaj daleko od miasta.

Andrew zatarł ręce, żeby się rozgrzać, stojąc przed kominkiem. Morton otworzył butelkę czerwonego wina i nalał dwa kieliszki.

– Proszę, to bardziej pana rozgrzeje niż ciepło płomieni. Pana legitymacja! – zażądał.

– Niech żyje zaufanie! – rzucił Andrew, sięgając do portfela.

– Tylko idioci są ufni. A w pańskim zawodzie tylko mięczak ufa wszystkim. Ogrzeje się pan pięć minut i do widzenia, jasne?

– Przeczytałem ponad setkę artykułów na temat sprawy Walkera, pan jeden podał

w wątpliwość winę Liliane Walker. To było tylko jedno zdanie, ale jednak podważało stawiane jej zarzuty.

– No i co z tego? To wszystko przeszłość.

– Po dwudziestym stycznia prasa przestała w ogóle pisać na ten temat, tylko pański artykuł wyszedł dwudziestego pierwszego.

– Byłem młody i bezczelny – uśmiechnął się Morton, wypijając jednym haustem zawartość swego kieliszka.

– Pamięta więc pan.

– Jestem stary, to nie znaczy, że wszystko pozapominałem. Dlaczego interesuje pana ta przebrzmiała historia?

– Zawsze mnie niepokoi, gdy wszyscy zgodnie mówią to samo.

– Ja też tego nie lubię... – odrzekł Morton. – Dlatego napisałem ten artykuł. No, „artykuł”

to wielkie słowo. Dostaliśmy polecenie służbowe, żeby definitywnie przestać pisać o senatorze Walkerze i jego żonie. Musi pan wyobrazić sobie tamte czasy. Wolność prasy kończyła się tam, gdzie władza stawiała granicę. Użyłem podstępku, żeby tę granicę przekroczyć.

– Jakiego podstępu?

– Stary znany numer... Pokazywało się artykuł na kolegium redakcyjnym, dostawało się zielone światło, a potem, żeby wyszedł w formie, jakiej się chce, trzeba było zostać dłużej w redakcji. Kiedy zecerzy robili skład, wpadało się w ostatniej chwili i prosiło o pilną poprawkę.

Późno w nocy nie było już nikogo, kto mógłby w tym przeszkodzić. Przeważnie taki numer przechodził niezauważony, ale zdarzało się, że nie. Jednak ci, którzy są u władzy, nie umieją się przyznać, że wywiedziono ich w pole. To porażka dla własnego nadętego ego. Ja wówczas wpadłem, ale nikt

niczego nie powiedział. Dyrekcja zemściła się za moją niesubordynację w następnych miesiącach.

– Nie wierzył pan w winę żony Walkera?

– Moje zdanie było bez znaczenia. Wiedziałem jedno, ani ja, ani żaden z moich kolegów nie mieliśmy dostępu do tych niezaprzeczalnych dowodów zdrady, o których nam mówiono.

Mnie zdenerwowało to, że nikogo to nie obchodzi. Maccartyzm skończył się dwanaście lat wcześniej, a to było coś jakby prosto z tamtych czasów. Pańskie pięć minut minęło, nie muszę panu pokazywać, gdzie są drzwi.

– Nie jestem w stanie jechać teraz z powrotem. Nie ma pan pokoju gościnnego, żeby mnie przenocować?

– Nie przyjmuję gości. Na końcu wioski jest motel.

– Właściciel stacji benzynowej powiedział mi, że najbliższy motel znajduje się pięćdziesiąt mil stąd i że w zimie jest nieczynny.

– To urodzony kłamca i oszust. To on podał panu mój adres?

– Nie zdradzam swoich źródeł informacji.

Morton dolał wina Andrew.

– Może pan przespać się tu na kanapie, ale musi pan zniknąć, zanim wstanę.

– Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań związanych z Liliane Walker.

– Nie mam już panu nic do powiedzenia, idę spać.

Co powiedziawszy, Ben Morton otworzył szafę, wyjął z niej koc i rzucił go w kierunku Andrew.

– Nie mówię panu: „Do jutra”, bo zakładam, że gdy wstanę, już pana tu nie będzie.

Zgasił światło i wszedł po schodach na półpiętro. Andrew usłyszał odgłos zamykanych drzwi sypialni.

Jedyny pokój, który składał się na parter drewnianego domku, był teraz oświetlony tylko płomieniem palących się w kominku bierwion. Andrew

zaczekał, aż Morton się położy, i podszedł do małego biurka stojącego pod oknem.

Wyciągnął cichutko wsunięte pod blat krzesło i usiadł. Spojrzał na zdjęcie Bena Mortona, zrobione, kiedy reporter musiał mieć jakieś dwadzieścia lat. Stojący obok niego mężczyzna był

chyba jego ojcem.

– Nie grzeb w moich rzeczach, bo natychmiast cię wyrzucę z domu! – krzyknął z góry Ben Morton.

Andrew uśmiechnął się pod nosem i poszedł ułożyć się na kanapie. Przykrył się kocem i wkrótce zasnął, kołysany trzaskiem palących się drew.



Ktoś szarpał go za ramiona. Andrew otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz Mortona.

– Co to za koszmary męczą kogoś w twoim wieku! Przecież jesteś za młody, żeby znać Wietnam!

Andrew gwałtownie usiadł. Mimo że temperatura w salonie poważnie spadła, był zlany potem.

– Ciężko jest zostać porzuconym, he? – ciągnął Morton. – Myślisz, że nie wiem, kim jesteś, że Figera nie uprzedził mnie o twojej wizycie? Jeśli chcesz zostać kiedyś dobrym dziennikarzem, muszę cię nauczyć tego i owego... Dorzucę do ognia, a ty spróbuj przespać noc do końca, nie budząc mnie swoimi jękami.

– Już nie zasnę. Wstanę i pojedę z powrotem.

– Ale z ciebie dupek! – uniósł się Morton. – Przyjechałeś aż z Nowego Jorku, by ze mną porozmawiać, i już chcesz wracać? Kiedy przechodzisz co rano przez bramę budynku redakcji, nie spoglądasz na napis „New York Times”, nie przechodzi cię dreszcz emocji?

– Tak, tak, codziennie.

– Więc staraj się być tego godny! Wyjedziesz stąd, gdy tak cię zanudzę moimi opowieściami, że zaśniesz jak kamień bez żadnych koszmarów, albo gdy cię wyrzucę stąd sam, ale na pewno nie będziesz uciekał jak ostatni

niedojdą, nie wykonawszy nawet jednej czwartej roboty. Teraz pytaj mnie, o co chcesz na temat żony senatora Walkera.

– Dlaczego wątpił pan w jej winę?

– Na mój gust aż za dużo świadczyło przeciwko niej. Ale nie miałem żadnych dowodów, to było tylko wrażenie.

– Dlaczego nie rozwinął pan swego artykułu w tym kierunku?

– Kiedy dyrekcja grzecznie nas poprosiła, żebyśmy zrezygnowali z tego tematu, nie należało się upierać. W latach sześćdziesiątych klawiatura naszych maszyn do pisania nie była połączona z resztą świata. Co do sprawy Walkera, dostaliśmy po prostu polecenie służbowe, by więcej się nią nie zajmować. Nie miałem pod ręką nic na tyle konkretnego, żeby napisać, co myślę, i tak już ryzykowałem. Gdy wstanie dzień, pójdziemy do warsztatu, przeszukam swoje archiwa. Nie żebym tracił pamięć, ale wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu.

– Według pana, jaki rodzaj dokumentów miała w ręku Liliane Walker?

– To jest niejasna strona całej sprawy. Nikt tego nie wiedział. Ważniacy z rządu mówili, że chodziło o strategiczne informacje dotyczące naszych pozycji w Wietnamie. To mi się właśnie nie podobało. Ta kobieta miała córkę, była matką. W imię jakiej ideologii małżonka senatora miałyby narażać naszych chłopców na śmierć? Często się zastanawiałem, że może to w niego celowano. Walker był zbyt prawicowy jak na demokratę, często zajmował pozycje bardzo różniące się od linii swojej partii i jego przyjaźń z Johnsonem wzbudzała wiele zazdrości.

– Czy myśli pan, że to mógł być spisek?

– Niekoniecznie tak myślałem, ale to nie jest niemożliwe. Kto mógł sobie wyobrazić Watergate? Teraz ja ciebie o coś zapytam. Co skierowało twoją uwagę na tę sprawę sprzed kilkadziesiątu lat? Dlaczego się nią zainteresowałeś?

– Znam wnuczkę Liliane Walker, a ona przysięgła sobie dowieść niewinności swojej babki. Zainteresowała mnie ta sprawa, ponieważ wygląda na to, że wciąż to komuś przeszkadza.

Andrew pokazał Mortonowi kopię listu znalezionej w samolocie i opowiedział mu o obydwu włamaniach.

– List był bardzo zniszczony, przepisałem to, co mogłem – powiedział.

– Ten świstek niczego nie wyjaśnia – rzekł stary dziennikarz, przebiegłszy go wzrokiem.

– Mówiłeś, że przeczytałeś ponad sto artykułów na temat tej sprawy?

– Przeczytałem wszystko, co kiedykolwiek napisano na temat Walkera.

– Czytałeś o jego wyjazdach za granicę?

– Nie, dlaczego?

– Włóż płaszcz. Muszę coś sprawdzić w szopie.

Morton zdjął latarkę z półki we wnęcie, która służyła mu za kuchnię, i dał znak Andrew, żeby za nim poszedł.

Minęli oszroniony warzywnik i weszli do szopy, która wydała się Andrew dużo większa niż drewniany domek starego dziennikarza. Z tyłu za jeepem i stertą drew do kominka stało dziesięć metalowych skrzynek.

– Cała moja kariera znajduje się w tych pudłach, życie to w sumie niewiele, jak się na to spojrzy. Kiedy myślę, ile nieprzespanych nocy spędziłem na pisaniu artykułów, które obecnie nie mają żadnej wartości... – westchnął Ben Morton.

Otworzył kilka szuflad, poprosił Andrew, żeby mu poświecił, i w końcu wyciągnął skądś teczkę z dokumentacją prasową. Wrócili do domu i Morton dorzucił drew do kominka. Usiedli przy stole. Stary dziennikarz zaczął przeglądać swoje notatki.

– Pomóż mi i poszukaj życiorysu senatora Walkera, nie mogę go znaleźć!

Andrew wziął się do pracy, ale charakter pisma Mortona był bardzo niewyraźny. Udało mu się jednak znaleźć właściwą kartkę. Wręczył ją Mortonowi.

– No, jeszcze nie mam posuniętej sklerozy! – wykrzyknął Morton zadowolony.

– A o co panu chodziło?

– O pewną rzecz, która się nie zgadza w twoim liście. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku Walker był kongresmenem, a kongresmen na pewno nie mógł

pojechać ot, tak sobie do Berlina w apogeum zimnej wojny, chyba że z misją dyplomatyczną, co nie przeszłoby niezauważone. Gdybyś dobrze wykonał swoją pracę, gdybyś zapoznał się dokładnie z życiorysem Walkera, tak jak ja to właśnie zrobiłem, wiedziałbyś, że on nigdy nie uczył się niemieckiego. Dlaczego więc miałyby kilkakrotnie odwiedzać Niemcy ze swoim przyjacielem pomiędzy pięćdziesiątym szóstym a pięćdziesiątym dziewiątym rokiem?

Andrew poczuł ukłucie zazdrości, że sam na to nie wpadł.

Morton podniósł się z krzesła i wyjrzał przez okno. Dniało.

– Będzie padał śnieg! – stwierdził, obserwując niebo. – Jeśli chcesz wracać do Nowego Jorku, nie ociągaj się. Tu, jak zacznie śnieżyć, to nie żarty, może nas odciąć od świata na kilka dni. Weź z sobą tę dokumentację, nie ma tam wiele, ale może ci się przydać.

Morton przygotował Andrew kanapkę i termos ciepłej kawy.

– Wcale nie jest pan tym gburem, przed którym ostrzegał mnie właściciel stacji!

– Jeśli w ten sposób dziękujesz mi za gościnę, chłopcze, to masz dziwne maniery.

Urodziłem się w tej dziurze. Tutaj dorastałem i tu wróciłem na starość. Kiedy przejechało się cały świat i widziało tyle, że sobie nawet tego nie wyobrażasz, ma się ochotę wrócić do gniazda na stare lata. Kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, ten idiota ubzdurał sobie, że przespałem się z jego siostrą. Nie za bardzo starałem się wyprowadzić go z błędu, kwestia ambicji. Jego siostra była, delikatnie mówiąc, latawicą i większość chłopców z tego korzystała, ale nie ja. On do tej pory nienawidzi za to większości facetów z miasteczka i z okolic.

Morton odprowadził Andrew do samochodu.

– Pilnuj tych papierów, które ci powierzyłem, przestuduj je dokładnie i

liczę na to, że mi je odeślesz, gdy już ich nie będziesz potrzebował.

Andrew obiecał, że zwróci dokumentację sprawy Walkera, i usadowił się za kierownicą.

– Uważaj na siebie, Stilman. Jeśli włamano się do twojego mieszkania, znaczy to, że ta sprawa nie została jeszcze zamknięta. Możliwe, że są ludzie, którzy nie życzą sobie, by interesowano się przeszłością Liliane Walker.

– Ale dlaczego? Sam pan mówił, że to taka stara historia.

– Znałem prokuratorów generalnych, którzy dobrze wiedzieli, że więźniowie oczekujący na karę śmierci nie popełnili zbrodni, za które ich skazano. Woleli uniemożliwić wznowienie nieudanych śledztw, woleli, żeby niewinni zginęli na krześle elektrycznym, niżby oni mieli przyznać się do własnej niekompetencji czy tego, że działali niezgodnie z prawem. Żona senatora niesprawiedliwie osądzona i uśmiercona, coś takiego nawet czterdzieści lat później może jeszcze przeszkadzać wielu ludziom.

– Skąd pan o tym wszystkim wie? Prasa nigdy nie pisała, co się z nią stało.

– Taka cisza zostawiała niewiele wątpliwości co do losu, jaki ją spotkał – odrzekł Morton.

– Tak czy inaczej, jeśli potrzebujesz, żeby ktoś ci pomógł, możesz zawsze do mnie zadzwonić, napisałem ci mój numer na kartce, w którą owinąłem kanapkę. Dzwon wieczorem, w ciągu dnia rzadko jestem w domu.

– Jeszcze jedna rzecz i uciekam – rzekł Andrew. – To ja poprosiłem Figurę, żeby pana uprzedził o moim przyjeździe. Nie jestem takim złym reporterem, jak się panu wydaje.

Kiedy Andrew ruszył w drogę, spadły pierwsze płatki śniegu.

Gdy tylko samochód zniknął na końcu bitego traktu, Morton wrócił do domu i podniósł

słuchawkę telefonu.

– W tej chwili wyjechał – powiedział.

– Co on wie?

– Jeszcze niewiele, ale to dobry dziennikarz, nawet gdyby wiedział więcej, nie powiedziałby mi tego.

– Przeczytał pan ten list?

– Tak, pokazał mi go.

– Mógł pan go przepisać?

– Nie był trudny do zapamiętania.

I podyktował mu list.

– Nie było podpisu?

– Nie było na tym przepisany tekście, który mi pokazał. Podobno oryginał jest w bardzo złym stanie. To zupełnie prawdopodobne, przeleżał prawie pięćdziesiąt lat na dnie górskiej przepaści.

– Dał mu pan teczkę?

– Odjechał z nią. Nie chciałem naprowadzać go bardziej na trop. Ten Stilman to wścibiński gość, znajdzie sam. Posłuchałem pana, ale nic z tego nie rozumiem. Zrobiliśmy wszystko, żeby te papiery znikły, a teraz pan robi wszystko, żeby się znów pojawiły.

– Nikt od czasu jej śmierci nie umiał ich odnaleźć.

– Ponieważ według oficjalnego raportu zostały zniszczone. Tak chciała agencja, czyż nie?

Żeby znikły razem z nią.

– Nigdy nie uwierzyłem we wnioski tego raportu. Liliane była zbyt inteligentna, żeby je spalić, zanim ją aresztowano. Jeśli chciała je podać do publicznej wiadomości, nigdy by tego nie zrobiła.

– Pan to widzi w taki sposób. Nawet jeśli konkluzje raportu były zafałszowane, przez tyle lat nie potrafiliśmy go odnaleźć, więc gdzie tu jest ryzyko?

– Honoru rodziny należy bronić z pokolenia na pokolenie, to jest powód wojen między klanami. Córka Liliane Walker nie potrafiła nic zrobić, ale jej wnuczka to osoba zupełnie innego pokroju. Jeśli jej się nie uda zrehabilitować babki, pałeczkę przejmą jej dzieci i tak dalej. Do nas należy bronić honoru ojczyzny, a nie jesteśmy wieczni. Z pomocą tego reportera

Suzie może osiągnąć swój cel. Wtedy wkroczymy i definitywnie to zakończymy.

– Szykując jej taki los jak babce?

– Szczerze mam nadzieję, że nie. Wszystko będzie zależało od okoliczności, poczekamy, zobaczymy. À propos, co pan zrobił z prawdziwym Mortonem?

– Powiedział mi pan, że postanowił zakopać się w tej dziurze, uszanowałem jego ostatnią wolę. Śpi pod krzewem różanym. Co mam robić dalej?

– Proszę zostać u Mortona aż do odwołania.

– Mam nadzieję, że to nie będzie długo trwało, tu nie jest najweselej.

– Zadzwoń do pana za kilka dni, na razie niech pan uważa, żeby nikt z okolicy pana nie zauważył.

– Nie ma ryzyka, dom znajduje się naprawdę na końcu świata... – westchnął mężczyzna.

Ale Arnold Knopf już się rozłączył.

Mężczyzna wszedł po schodach na półpiętro, wkroczył do łazienki, obejrzał się w lustrze i delikatnie pociągnął za koniec brody i siwe włosy. Bez peruki i sztucznego zarostu wyglądał na dwadzieścia lat mniej.

9

– Wie pani dużo więcej na temat przeszłości swojej babki, niż mi pani powiedziała – oznajmił Andrew, siadając obok Suzie w czytelni bibliotecznej.

– Jeśli zmieniałam miejsce, to nie po to, żeby pan przy mnie siadał!

– To się jeszcze okaże.

– O nic mnie pan nie prosił.

– Ale teraz poproszę. Czego mi pani nie powiedziała do tej pory o Liliane Walker?

– To nie pana sprawa.

– Zgoda, nie moja. Być może czasem wyglądam na pijaka, być może mam trudny charakter, ale za to jestem dobrym reporterem. Czy chce pani, żebym jej pomógł, czy nie?

– Jakie są pana warunki?

– Poświęcę pani sprawie kilka tygodni. Przypuśćmy, że uda nam się dowieść niewinności pani babki, i przypuśćmy, że to okaże się warte zachodu. Chcę mieć wyłączność na relację z tej sprawy i prawo opublikowania mojego artykułu bez autoryzacji tekstu.

Suzie bez słowa zebrała swoje rzeczy i wstała.

– Mam nadzieję, że pani żartuje! – zaprotestował Andrew, podchodząc do niej bliżej. – Nie zamierza pani negocjować moich warunków?

– W czytelni nie można rozmawiać. Chodźmy do kawiarni i niech pan wreszcie się zamknie.

Suzie przyniosła sobie ciastko i usiadła przy stoliku obok Andrew.

– Czy pani je wyłącznie słodyczne?

– A pan pije wyłącznie alkohol? – odcięła się Suzie. – Zgadzam się na pańskie warunki, z wyjątkiem jednej rzeczy. Nie roszczę sobie prawa do poprawiania tego, co pan napisze, ale chcę przeczytać pański artykuł, zanim się ukaże.

– Zgoda! – rzekł Andrew. – Czy pani dziadek opowiadał o swoich podróżach do Berlina?

– Mój dziadek praktycznie w ogóle się do mnie nie odzywał. Dlaczego pan o to pyta?

– Bo prawdopodobnie nigdy tam nie był. Zdanie napisane w liście przez tego Ashtona jest więc niezrozumiałe. Podobno jest pani specjalistką od kryptologii, więc do dzieła!

– Od czasu, kiedy pierwszy raz przeczytałam ten list, staram się go zrozumieć. Jak pan myśli, co robię codziennie w bibliotece? Żongluję słowami listu na wszystkie strony, dodaję, odejmuję spółgłoski i samogłoski, nawet użyłam specjalnego programu komputerowego, ale do tej pory niczego nie znalazłam.

– Mówiła mi pani o jakiejś wiadomości, którą pani babcia zostawiła. Mogę ją zobaczyć?

Suzie otworzyła dużą torbę i wyjęła z niej specjalną tekturową teczkę, do której wpinała zebrane materiały. Wyjęła kartkę, na której Liliane napisała odręcznie kilka następujących słów: WOODIN ROBERT WETMORE

TAYLOR FISHER STONE

– Kim są ci czterej mężczyźni? – spytał Andrew.

– Trzej mężczyźni. William Woodin był sekretarzem skarbu za Roosevelta. Nie zidentyfikowałam tego akurat Roberta Wetmore’a, mnóstwo ludzi nosi to nazwisko. Gdyby pan wiedział, ilu jest choćby lekarzy, którzy nazywają się Robert Wetmore, byłby pan zdumiony. Co do krawca³ z Fisher Stone...

– Gdzie leży Fisher Stone?

– Nie mam bladego pojęcia! Sprawdziłam wszystkie małe nadmorskie miejscowości, na wschodnim i zachodnim wybrzeżu, żadna z nich tak się nie nazywa. Rozszerzyłam moje poszukiwania na Kanadę, też nic z tego.

– Czy przeglądała pani mapy Norwegii i Finlandii?

– Bez rezultatu.

– Poproszę o pomoc Dolorès. Jeśli jakaś dziura nosi tę nazwę, czy

znajduje się ona na peryferiach Zanzibaru, czy na najmniejszej wyspie świata, ona to odkryje. Co jeszcze jest w pani teczce, co pomogłoby nas naprowadzić na ślad?

– Poza tą niezrozumiałą wiadomością mojej babki, znajdują się tam jej zdjęcia i jedno zdanie, które napisała do Mathilde... Niewiele.

– Jak brzmi to zdanie?

– *Ani śnieg, ani deszcz, ani upał, ani ciemność nocy nie przeszkodzą wysłańcom w dotarciu do każdego miejsca powierzonej im trasy.*

– Pani babka uwielbiała tajemnice... – odezwał się zrzędlawie Andrew.

– Niech pan się wczuje w jej sytuację!

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie, który wyszedł ze sklepu tuż przed panią.

– Mówiłam już, Knopf to przyjaciel mego dziadka.

– Była między nimi różnica wieku, jeśli się nie mylę.

– Knopf był od dziadka znacznie młodszy.

– Co jeszcze robił w życiu poza przyjaźnieniem się z pani dziadkiem?

– Pracował na wysokim stanowisku w CIA.

– To on zaciera za panią wszystkie ślady?

– Od dzieciństwa dba o moje bezpieczeństwo. Obiecał dziadkowi, że będzie się mną opiekował. To człowiek honoru.

– Utrzymywał przyjacielskie stosunki z pani rodziną, będąc agentem CIA... Nie było to proste. Musiał nieźle lawirować.

– Mathilde myślała, że to on uprzedził Liliane o grożącym jej aresztowaniu. Sam Knopf zapewnił mnie, że nic takiego nie uczynił. Jednak tamtego dnia Liliane nie wróciła do domu.

Mama już jej nigdy nie zobaczyła.

Andrew wyjął teczkę, którą dostał od Mortona.

– Będziemy mieli z tym mnóstwo roboty.

– Kto panu to dał? – spytała Suzie na widok wycinków z gazet.

– Stary reporter, dziś już na emeryturze, który swojego czasu nie ukrywał wątpliwości w sprawie Walkera. Nie ma co czytać artykułów, wszystkie mówią właściwie to samo. To oryginalne wycinki prasowe, ale wątpię, żeby Dolorès coś przeoczyła. Zajmijmy się raczej notatkami Mortona, są też z tamtych czasów, a w dodatku pisane w ogniu walki.

Andrew i Suzie spędzili w czytelnicy resztę popołudnia. Rozstali się pod wieczór na wielkich schodach biblioteki. Andrew miał nadzieję, że jeszcze zastanie Dolorès w redakcji, ale kiedy tam dotarł, już jej nie zastał.

Poszedł więc do swojego biura i wykorzystał sposobność, że całe piętro było puste, żeby wziąć się do pracy. Rozłożył przed sobą notatki i zmusił się do uporządkowania ich, chcąc znaleźć brakujący element całej tej układanki, której sens wciąż mu umykał.

Z toalety wyszedł Freddy Olson.

– Nie patrz tak na mnie, Stilman, byłem po prostu w łazience.

– Patrzę na ciebie tylko wtedy, kiedy muszę, Olson! – mruknął Andrew, wpatrzony w swoje notatki.

– A więc naprawdę wzięłaś się do roboty! Jakiż będzie temat następnego artykułu naszego asa? – spytał Olson, przysiadając na brzegu biurka Andrew.

– Czy nigdy nie masz dość? – spytał poirytowany Andrew.

– Chętnie ci w czymś pomogę.

– Wracaj na swoje miejsce, Freddy, nienawidzę, jak ktoś czyta mi przez ramię.

– Interesujesz się pocztą główną? Wiem, jak bardzo gardzisz moją pracą, ale dwa lata temu napisałem długi artykuł na temat poczty Farleya.

– O czym ty mówisz?

– O przejęciu jednego z przynależnych jej podziemi, żeby przerobić je na dworzec. Był to projekt wysunięty przez któregoś z senatorów na początku lat dziewięćdziesiątych. Realizacja trwała dwadzieścia lat. Pierwsza faza robót, przewidzianych na cztery lata, zaczęła się dwa lata temu. Podziemia poczty mieszczącej się w budynku Farleya staną się częścią rozszerzonej Penn Station, z przejściem pod Ósmą Aleją.

– Dzięki ci za lekcję urbanistyki, Olson.

– Czemu nigdy nie traktujesz mnie poważnie, Stilman? Uważasz się za najlepszego reportera spośród nas wszystkich, chyba się nie boisz, że ci ukradnę temat? Zwłaszcza taki, o którym już sam wcześniej pisałem. Ale gdybyś chciał łaskawie zejść ze swego piedestału, mogę ci pożyczyć moje notatki, a nawet pozwolę ci z nich skorzystać. Nic nikomu nie powiem, obiecuję.

– Ale co mnie obchodzi twoja poczta główna?

– *Ani śnieg, ani deszcz, ani upał, ani mrok nocy nie przeszkodzą naszym posłańcom w dotarciu do każdego miejsca powierzonej im trasy.* Masz mnie za idiotę? To zdanie figuruje na całej długości frontonu poczty głównej, ciągnie się przez chyba sto metrów. Przepisałeś je, bo wydało ci się poetyczne?

– Przysięgam ci, że nie miałem o tym pojęcia – odrzekł Andrew.

– Spójrz czasem do góry, kiedy idziesz ulicą, Stilman, docenisz, że mieszkasz w Nowym Jorku. A ten zakończony iglicą drapacz chmur, którego wierzchołek mieni się wszystkimi kolorami, to Empire State Building, gdyby cię to któregoś dnia zainteresowało.

Zaskoczony Andrew zebrał swoje rzeczy i wyszedł z redakcji. Dlaczego Liliane Walker przepisała zdanie zdobiące fronton poczty głównej? Co ten cytat mógł oznaczać?



Szron okrywał kolczaste krzaki i wrzosa na polach. Dolina była pokryta bielą, stawy zamarły. Niebo w zależności od humoru wiatru, który pchał chmury w stronę już prawie okrągłego księżyca, było raz koloru kredy, raz węgla. Na horyzoncie zamigotało światełko.

Podparła się rękami, z wysiłkiem podniosła i ruszyła pędem w tamtym kierunku. Zakrakał kruk.

Popatrzyła w górę. Ptak wlepiął w nią swe czarne oczka, czekając cierpliwie na posiłek, jakim będzie dla niego ciało martwej kobiety.

– Jeszcze nie teraz! – krzyknęła i znów ruszyła biegiem.

Po lewej stronie tereny wznosiły się, tworząc szaniec. Skręciła. Musi tam

dobiec! Za wzgórzami będzie bezpieczna.

Przyspieszyła, ale noc zaczęła blednąć i gdzieś za nią szczerknęły jeden po drugim trzy strzały. Poczowała pieczenie w plecach, zabrakło jej oddechu, nogi się pod nią ugięły. Padła na twarz.

Gdy jej usta dotknęły śniegu, poczuła nagły spokój. W końcu śmierć nie była taka straszna, jak się mówiło. Co za ulga nie musieć już dłużej walczyć!

Usłyszała, jak zmarznięty grunt skrzypi pod stopami mężczyzn, którzy się do niej zbliżali.

Chciała umrzeć, zanim zobaczy ich twarze. Chce zachować w pamięci tylko oczy Mathilde. Mieć jeszcze siły, żeby móc wymówić słowa przeprosin... Przeprosić najukochańszą córeczkę za to, że przez egoizm pozbawiła ją matczynej opieki...

Nie wolno jej opuścić córki! Nigdy już nie móc przytulić do siebie jej małego ciała...

Nie czuć jej oddechu, kiedy szepce jej do ucha tajemnice... Nie słyszeć tego śmiechu, przy którym znikają kłopoty świata dorosłych, świata, który ją od niej odrywa... Śmierć to nic takiego, prawdziwym piekłem jest rozstanie z najbliższymi.

Serce zaczęło walić jej w piersiach, chciała wstać, ale ziemia rozwarła się przed nią i ujrzała, jak z przepaści patrzy na nią twarz Mathilde. Rozległ się warkot bębna.

Suzie była zlana potem. Ten koszmar męczył ją co noc od dzieciństwa i za każdym razem budziła się roztrzęsiona.

Ktoś dobijał się do mieszkania. Odrzuciła kołdrę, wstała, podeszła do drzwi i spytała, kto tam.

– Andrew Stilman! – usłyszała.

Otworzyła drzwi.

– Robiła pani poranną gimnastykę? – spytał, wchodząc do środka.

Odwrócił wzrok od rysujących się wyraźnie pod wilgotnym T-shirtem piersi. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł pożądanie.

– Która godzina? – spytała Suzie.

– Wpół do ósmej. Przyniosłem pani kawę i drożdżówkę. Niech pani weźmie prysznic i ubierze się.

– Wypadł pan z łóżka dziś rano, Stilman?

– Ja na pewno nie! Nie ma pani jakiegoś szlafroka czy czegoś bardziej dyskretnego, żeby się okryć?

Suzie wzięła od niego kubek z kawą i ugryzła kawałek drożdżówki.

– Czemu zawdzięczam przyjemność otrzymania śniadania z dostawą do domu?

– Tej nocy dzięki jednemu z moich kolegów dowiedziałem się czegoś dla nas bardzo ważnego.

– Najpierw ta Dolorès, potem „jeden z kolegów”... Teraz już cała redakcja „New York Timesa” zainteresowała się losem mojej babki? Pan i dyskrecja...

– Olson niczego nie wie, a zresztą proszę mnie nie pouczać! Idzie się pani ubrać czy nie?

– Czego się pan dowiedział? – spytała Suzie, znikając za drzwiami sypialni.

– Zobaczy pani na miejscu! – odrzekł Andrew, idąc za nią.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, pod prysznic wejdę sama.

Andrew zaczerwienił się i wrócił do salonu. Stał przy oknie.

Dziesięć minut później Suzie zjawiła się z powrotem. Miała na sobie dżinsy, gruby sweter i taką samą czapkę.

– Idziemy?

– Niech pani włoży mój płaszcz! – polecił Andrew, podając jej swoje okrycie. – I czapkę nasunie głęboko na oczy! Wyjdzie pani przede mną. Po kilku krokach w górę ulicy zobaczy pani po przeciwnej stronie alejkę. Brama jest zawsze otwarta, tamtędy dobiegnie pani do Leroy Street, potem do Siódmej Alei. Tam niech pani jak najszybciej złapie taksówkę i każe się zawieźć przed Penn Station, na skrzyżowanie Ósmej Alei i Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Tam proszę na mnie poczekać.

– Nie wydaje się panu, że za wcześnie na te łamigłówki? Po co to

wszystko?

– Na dole pod pani klatką stoi taksówka. Odkąd pani weszła pod prysznic, nie spuszczałam z niej wzroku, nie ruszyła się ani o metr – powiedział Andrew, wyglądając przez okno.

– I co z tego? Może kierowca poszedł sobie na kawę?

– Zna pani gdzieś tutaj miejsce, w którym podają kawę? Kierowca nie wysiadł, cały czas patrzy w okna pani mieszkania. Proszę zrobić tak, jak mówię.

Suzie włożyła na siebie płaszcz. Andrew wsunął jej czapkę głęboko na oczy i popatrzył

na nią uważnie.

– To powinno wystarczyć. Niech pani tak na mnie nie patrzy, to nie mnie śledzą.

– Myśli pan, że wezmą mnie za pana w tym przebraniu?

– Chodzi o to, żeby nikt nie myślał, że to pani wychodzi z mieszkania.

Andrew wrócił do swojego punktu obserwacyjnego. Taksówka nadal stała pod klatką, kiedy Suzie wyszła na ulicę.

Zaczekał kilka minut i wyszedł za nią.



Suzie czekała na Andrew przed kioskiem z gazetami.

– Kto mógł być w tej taksówce?

– Spisałem numer rejestracyjny, spróbuję się dowiedzieć.

– Jedziemy dokądś pociągiem? – spytała Suzie, idąc w stronę stacji.

– Nie – spokojnie odrzekł Andrew. – Patrzy pani nie tam, gdzie trzeba. Proszę spojrzeć na drugą stronę ulicy.

Suzie obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Ma pan jakieś listy do wysłania?

– Och, niech pani przestanie! Proszę przeczytać napis na górze.

Suzie otworzyła szeroko oczy, gdy przeczytała napis na frontonie poczty mieszczącej się w budynku Farleya.

– No więc, chciałbym zrozumieć, dlaczego pani babka zadała sobie trud przepisania tego zdania.

– Mathilde mówiła mi o jakimś schowku, w którym Lilly miała zostawić ważne dokumenty. Może chodziło o skrzynkę poste restante.

– Jeśli tak, to nie jest dobrze. Wątpię, żeby trzymano czyjąś skrzynkę tak długo, a poza tym, jak ją odnaleźć?

Przeszli przez ulicę i weszli do hali w ogromnym budynku. Andrew spytał kogoś w okienku, gdzie znajdują się wynajmowane skrzynki. Mężczyzna wskazał palcem korytarz po prawej stronie.

Suzie zdjęła czapkę i Andrew drgnął na widok jej nagiej szyi.

– Nie znajdziemy jej nigdy, tu jest ponad tysiąc skrzynek – westchnęła Suzie, patrząc na ścianę blaszanych drzwiczek, która zajmowała całą długość korytarza.

– Pani babka chciała, żeby ktoś miał dostęp do tej skrzynki. Ktokolwiek to miał być, musiał mieć dodatkowe wskazówki.

Andrew zadzwonił do redakcji.

– Potrzebuję pomocy, Olson.

– Proszę oddać słuchawkę prawdziwemu Stilmanowi – odciął się Freddy.

– Dobrze pan go naśladuje, ale przez jego usta nie przeszłaby nigdy taka prośba.

– Mówię najzupełniej poważnie, Freddy. Spotkajmy się przy głównym wejściu poczty Farleya.

– Ach, już rozumiem. Co mi z tego przyjdzie, że ci pomogę, Stilman?

– Zdobędziesz mój szacunek i pewność, że będziesz mógł na mnie liczyć w dniu, kiedy będziesz tego potrzebował.

Freddy zastanawiał się przez chwilę.

– Zgoda! – odparł w końcu.



Czekali na Freddy’ego na schodach. Wysiadając z taksówki, Freddy wręczył Andrew paragon.

– Nie chciało mi się iść pieszo, jesteś mi winien dziesięć dolców. Więc o co ci chodzi z tą pocztą?

– Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym miejscu.

Olson nie odrywał oczu od Suzie. Patrzył na nią tak nachalnie, że sytuacja stała się krępująca.

– Jestem przyjaciółką byłej żony Andrew – odezwała się do niego Suzie, która szybko zorientowała się, z kim ma do czynienia. – Kończę studia urbanistyczne. Przygotowuję pracę magisterską i profesor złapał mnie na tym, że ściągnęłam duży fragment informacji z internetu.

Zgodził się przymknąć na to oko pod warunkiem, że zastąpię skopiowany rozdział nowym, który napiszę oczywiście sama, na temat roli architektury z początku dwudziestego wieku w rozwoju miejskiego pejzażu nowojorskiego. Ten profesor jest naprawdę wredny. Mam czas do poniedziałku, wiem, że to chyba plan niewykonalny, ale nie mam innego wyjścia. Poczta Farleya to najbardziej reprezentacyjny budynek z tamtego okresu. Andrew zapewnił mnie, że zna pan ją lepiej od architekta, który ją zaprojektował.

– Że znam ją lepiej niż James Wetmore? Pochlebia mi pani, ale to prawda, wiem o niej sporo. Napisałem swego czasu świetny artykuł właśnie na ten temat, koniecznie musi pani przeczytać. Gdybym miał pani adres, mógłbym go wieczorem podrzucić...

– Kogo pan wymienił na początku?

– Nazwisko architekta, który nadzorował prace. Nie zna go pani?

– Zupełnie o nim zapomniałam... – powiedziała Suzie i zamyśliła się. – A Fisher Stone coś panu mówi? Czy to jakieś szczególne miejsce w tym budynku?

– Proszę nie mówić, że studiuje pani urbanistykę!

– No tak, wiem, jestem beznadziejna.

– Szkoda czasu, idziemy! – zadyrygował Freddy i poprowadził ich pod jedną ze ścian.

Zatrzymał się pod tablicą pamiątkową, wmurowaną z okazji inauguracji budynku poczty głównej, na której można było przeczytać:

WILLIAM H. WOODIN

sekretarz skarbu

LAURENCE W. ROBERT JR

zastępca sekretarza skarbu

JAMES A. WETMORE

architekt naczelny

Pracownia Architektoniczna w składzie:

TAYLOR & Fisher

WILLIAM F. STONE JR

1933

– Mamy numer skrzynki pocztowej – szepnął Andrew do ucha Suzie.

– A więc od czego zaczynamy wizytę? – spytał Olson, dumny z wrażenia, jakie wywołał.

– Pan jest naszym przewodnikiem – odrzekła Suzie.

I podczas dwóch następnych godzin Olson naprawdę się w niego przeistoczył. Jego zasób wiedzy zadziwił nawet Andrew. Freddy co krok przystawał, żeby wyjaśnić Suzie pochodzenie fryzu albo reliefu, poinformować ją, kto wyrzeźbił drewniane kasetony na suficie lub skąd pochodzą płyty marmurowe, którymi wyłożono posadzki. Suzie chętnie słuchała historii tego miejsca, czasem nawet zadawała pytania Olsonowi, co za każdym razem doprowadzało Andrew do rozpaczy.

Gdy wrócili przed skrzynki poste restante, szybko się okazało, że żadna z nich nie nosi numeru 1933.

– Kiedy na początku lat osiemdziesiątych wprowadzono system

automatycznego rozdzielania poczty, cała część podziemna została zamknięta dla publiczności – poinformował

ich Olson.

– Czy w podziemiach poczty były też skrzynki pocztowe? – spytała Suzie.

– Tak, z pewnością, ale to nie miało już wówczas znaczenia. Ludzie korzystali z nich coraz rzadziej. Większość tych tutaj pełni już tylko funkcję ozdobną. Wyższe piętra również są zamknięte dla zwykłych ludzi, ale ja jestem zaprzyjaźniony z jednym z wyższych urzędników tej poczty. Jeśli chciałaby pani je zwiedzić, mogę to szybko zorganizować. Spotkalibyśmy się wcześniej na lunch albo może nawet potem poszlibyśmy razem na kolację?

– To doskonały pomysł! – odparła Suzie.

Podziękowała Freddy’emu Olsonowi za czas, który im poświęcił, i oznajmiła, że teraz wróci do siebie, żeby szybko spisać to wszystko, co im opowiedział.

Olson zapisał jej numer telefonu w notesie i zapewnił, że pozostaje do jej całkowitej dyspozycji.

Suzie zwróciła Andrew płaszcz i zostawiła mężczyzn samych. Olson zaczekał chwilę, aż się oddali.

– Powiedz mi, Stilman... Wciąż tęsknisz za swoją byłą żoną, co? – spytał, nie spuszczając oka z Suzie, która przechodziła na drugą stronę Ósmej Alei.

– Co cię to obchodzi?

– Tak mi się wydawało. W takim razie nie przeszkadzałoby ci, gdybym któregoś wieczoru zaprosił twoją przyjaciółkę na kolację? Mogę się mylić, ale odnoszę wrażenie, że nie wydają się jej odpychający.

– Skoro odnosisz takie wrażenie, to absolutnie nie wolno ci przepuścić takiej okazji!

– Zawsze jesteś dla mnie taki miły, Stilman.

– Ona jest wolna, Freddy, rób, co chcesz.



Andrew udał się do Frankie's i odnalazł Suzie przy „swoim” stoliku w głębi restauracji.

– Powiedziała kelnerce, że jemy razem kolację.

– Właśnie widzę! – rzekł Andrew, sadowiac się na swoim miejscu.

– Jak udało się panu go pozbyć?

– Pani mi w każdym razie w tym nie pomogła.

– Co robimy teraz?

– Jemy kolację. Potem na pewno zrobimy głupstwo, mając nadzieję, że nie będziemy go później żałować.

– Jakie głupstwo? – spytała Suzie, przybierając prowokacyjną pozę.

Andrew wznosił oczy do nieba i zaczął grzebać w swojej torbie. Wyjął z niej latarkę i położył na stoliku. Suzie włączyła ją i skierowała światło na sufit.

– Kto z nas jest bardziej podobny do Statui Wolności?! – wykrzyknęła Suzie, po czym skierowała snop światła prosto w oczy Andrew. – A teraz masz wyśpiewać wszystko, co wiesz, Stilman! – dodała, robiąc minę surowego policjanta.

– Gdybym pracował w cyrku, byłaby pani moim wzorem! Cieszę się, że panią to bawi.

– Dobra, po co nam ta latarka?

– Pójdziemy do podziemi budynku Farleya poszukać naszej skrzynki pocztowej.

– Poważnie?

– Po cichu.

– Fajnie!

– No nie wiem, czy tak znów fajnie! – rzucił Andrew i rozłożył na stoliku jakiś schemat.

– Dolorès zdobyła ten plan sytuacyjny w urzędzie miasta. Stanowił część planów poczty, które udostępniono publicznie. Tutaj – Andrew wskazał palcem na czarną kreskę – znajdują się skrzynki pocztowe, które

zamurowano. Wydaje mi się, że wiem, jak możemy się tam dostać.

– Czy umie pan przejść przez ścianę?

– Te cieńsze kreski na planie to ściany z gipsu. Ale ponieważ wszystko to panią najwyraźniej śmieszy, może lepiej wróć do domu pooglądać telewizję. Przynajmniej sobie odpocznę, zamiast się narażać i włamywać do podziemi poczty.

Suzie przykryła swoją dłonią dłoń Andrew.

– Chciałam tylko, żeby się pan uśmiechnął. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak pan wygląda, kiedy się uśmiecha.

Andrew wykrzywił przesadnie usta.

– Wygląda pan jak Nicholson w roli Jokera.

– No właśnie, jestem facetem, który się nie uśmiecha – wymamrotał Andrew, wysuwając dłoń z jej dłoni i składając plan. – Niech pani skończy to spaghetti, wyjaśnię wszystko na miejscu.

Suzie zamówiła jeszcze jeden kieliszek wina. Andrew poprosił kelnerkę o rachunek.

– Jak pan poznał swoją żonę?

– Zналиśmy się w college’u. Oboje wyrosliśmy w Poughkeepsie.

– Byliście parą od czasów college’u?

– Z dwudziestoletnią przerwą. Któregoś wieczoru wpadliśmy na siebie w Nowym Jorku, na ulicy, właśnie wychodziłem z baru. Valérie nie była już dziewczyną, z którą spotykałem się kiedyś, przede mną stała kobieta, i to jaka! Ale dla mnie to była tamta dziewczyna, miłość moich szczenięcych lat. Uczucia nie zawsze się starzeją.

– Dlaczego się rozstaliście?

– Za pierwszym razem to ona odeszła. Każde z nas miało swoje marzenia, jej marzenie pchało ją naprzód, w świat, nie miała czasu, by na mnie zaczekać. Młodość jest niecierpliwa.

– A za drugim razem?

– Nigdy nie umiałem kłamać.

– Zdradził ją pan?

– Nawet nie.

– Dziwny z pana facet, Stilman.

– Który nie umie się uśmiechać.

– Wciąż pan ją kocha?

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Ona żyje, to ma ogromne znaczenie.

– Shamir panią kochał i pani kochała jego. W pewien sposób wciąż jesteście razem. Ja jestem sam.

Suzie przechyliła się nad stołem i pocałowała Andrew. Był to pocałunek ukradkowy, pełen smutku i strachu, pocałunek jak skok w przepaść.

– Robimy to włamanie? – spytała, głaszcząc go po policzku.

Andrew wziął Suzie za rękę i zatrzymał wzrok na kalekich palcach. Pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Tak, robimy! – odpowiedział i wstał od stolika.

Ulice West Village, potem Chelsea i Hell's Kitchen zostały za nimi. Taksówka skręciła na wschód. Andrew odwracał się kilka razy, wyglądając przez tylną szybę.

– Niech pan nie przesadza! – westchnęła Suzie.

– W taksówce pod pani domem siedział policjant po cywilnemu.

– Co, kierowca puścił farbę? – spytała Suzie drwiąco.

– Nie tylko Olson ma znajomości. On zna wysokiej rangi urzędnika poczty, ja znam byłego inspektora komisariatu w mojej dzielnicy. Dzwoniłem do niego dziś po południu, numer rejestracyjny tej taksówki odpowiada numerom policyjnym.

– Może w okolicy grasuje przestępca, co mogłoby wyjaśnić obydwie włamania.

– Chciałbym, żeby to była prawda. Inspektor Pilguez jest bardzo solidny, ale tym razem... Prosiłem go, żeby się dowiedział, kogo tam obserwują.

Dawni kumple z pracy zapewnili go, że dziś absolutnie nie śledzili nikogo na Hudson Street.

– Nie rozumiem, to była w końcu policja czy nie?

– Ten samochód był niby z policji, rozumie pani? Taki numer może wykręcić tylko tajna agencja rządowa.



Andrew poprowadził Suzie przez labirynt Penn Station. Wielkimi schodami dostali się na podziemne perony. O tak późnej godzinie dworzec był prawie pusty. Korytarz, którym szli, stawał się coraz bardziej mroczny. Minęli zakręt i znaleźli się przed ogrodzeniem, na którym zamocowane były zezwolenia na budowę.

– Tutaj zaczynają się roboty związane z przebudową – oznajmił Andrew, wyjmując z torby śrubokręt elektryczny. Szybko wykręcił śruby z zawiasów drewnianych drzwi i otworzył

je bez zbyt dużych trudności.

– Nieźle to panu idzie – rzuciła Suzie.

– Mój ojciec lubił majsterkować.

Ujrzeni przed sobą podziemne przejście słabo oświetlone nielicznymi żarówkami zwisającymi z kabla przyłączonego do łukowatego sklepienia. Andrew zaświecił latarkę i dał

znak ręką Suzie, żeby za nim szła.

– Czy jesteśmy pod Ósmą Aleją? – spytała.

– Tak, i jeśli plan sytuacyjny jest aktualny, ten tunel doprowadzi nas do podziemi poczty głównej.

W pomieszczeniu, w którym się znaleźli, panowały egipskie ciemności. Andrew podał

latarkę Suzie i poprosił ją, żeby skierowała promień światła na szkic, który trzymał w ręku.

– Idziemy w prawo! – zdecydował, ruszając.

Ich kroki odbijały się głośnym echem. Andrew dał znak Suzie, żeby

stanęła w miejscu i nie robiła hałasu. Zgasił latarkę i zaczekał kilka chwil.

– Co się stało? – spytała Suzie szeptem.

– Nie jesteśmy sami.

– To na pewno szczury – odpowiedziała. – Tu z pewnością roi się od nich.

– Szczury nie noszą butów – odparł. – Słyszałem wyraźnie odgłos kroków.

– To uciekajmy!

– Myślałem, że jest pani bardziej dzielna. Chodźmy, może to faktycznie szczury, bo już nic nie słyszę.

Andrew zapalił latarkę.

Po chwili dotarli do dawnej sortowni listów. Pod grubą warstwą kurzu ujrzeli nad starymi drewnianymi biurkami rzędy metalowych skrzynek, do których listonosze wrzucali kiedyś przesyłki. Potem minęli stołówkę, szatnię i bardzo zaniedbane biura. Andrew miał wrażenie, że zwiedza wrak zatopionego statku.

Znów zajrzał do planu i zawrócił.

– Gdzieś po lewej powinny być kręcone schody. Stare skrzynki poste restante są dokładnie nad nami, ale nie wiem, którą tam dotrzeć.

W kącie zauważył stertę skrzyń. Wręczył latarkę Suzie i przesunął ją w bok. Z tyłu zobaczyli zardzewiałą poręcz rozchwianych schodów znikających w otworze sufitowym.

– Oto nasze przejście! – oznajmił Andrew, strzepując z siebie kurz.

Wszedł na schody pierwszy, upewniając się, że żaden stopień nie załamie się pod Suzie, ale przecież ona uprawia wspinaczkę wysokogórską, pomyślał jednocześnie, więc nie powinna bać się starych schodów.

Po chwili Suzie stanęła za nim na półpiętrze. Andrew omiół to miejsce światłem latarki.

Zobaczyli rzędy skrzynek pocztowych wmontowanych w ścianę. Każdy

zamek był ozdobiony cynową gwiazdą, numery, ozdobione płatkami złota, odbijały się wyraźnie od błękitnego tła.

Suzie podeszła do skrzynki numer 1933. Andrew sięgnął po śrubokręt elektryczny i przeborował zamek.

– Ten zaszczyt należy się pani... – rzekł, otwierając skrzynkę.

Suzie wyjęła ze skrzynki kopertę, którą niecierpliwie otworzyła. „Snieguroczka” – odczytała jedno jedyne słowo napisane na tekturce.

Andrew przyłożył palec wskazujący do warg Suzie i zgasił latarkę.

Tym razem był pewien, że słyszał trzeszczenie i wyraźny oddech. To nie mógł być sznur. Zaczekał chwilę, starając się odtworzyć w pamięci schemat pomieszczenia, który wielokrotnie studiował. Wziął Suzie za rękę i pociągnął ją wzdłuż ściany skrzynek pocztowych na sam koniec korytarza.

Suzie potknęła się o coś i krzyknęła. Andrew skierował promień latarki na schody prowadzące piętro wyżej.

– Tędy! – rzucił, przyspieszając.

Wyraźnie słyszał echo kroków dwóch mężczyzn, którzy szli za nimi.

Chwytał mocno dłoń Suzie i zaczęli biec. Zobaczył zamknięte drzwi. Kopnął w nie raz, zadrżały, drugi – zamek ustąpił. Przeszli przez nie i zastawili je za sobą metalową skrzynią.

Na podłodze w pomieszczeniu, w którym się znaleźli, leżało pełno śmieci. W powietrzu wisiał obrzydliwy odór, mieszanina moczu i odchodów. Widocznie było to schronisko squattersów. Jeśli bezdomni dotarli aż tu, znaczyło to, że gdzieś niedaleko musi być wyjście na zewnątrz. Andrew przesunął światłem latarki wokół i zauważył otwór w suficie. Przyciągnął

połamane biurko i kazał Suzie wdrapać się na nie. Zobaczył, że wyjątkowo zręcznie podciąga się i znika w otworze. Po chwili wyjrzała i wyciągnęła do niego rękę. Gdy gramolił się na górę, słyszał, jak zastawione drzwi puszczają pod naporem tych, którym udało się odsunąć skrzynię.

Suzie pokazała palcem okienko pozbawione metalowych krat. Prawdopodobnie to tędy wślizgiwali się do budynku squattersi. Podczołgali się tam i prześlizgnęli przez lufcik, zeskakując do suchej fosy, która ciągnęła się wzdłuż budynku Farleya od strony Trzydziestej Pierwszej Ulicy.

Wreszcie mogli odetchnąć świeżym powietrzem. Andrew stwierdził, że mają co najwyżej około dwóch minut przewagi nad tymi, którzy podążali ich tropem. Była ciemna noc, znajdowali się w rowie biegnącym w dół ulicy, nadal więc groziło im niebezpieczeństwo.

– Chodźmy, musimy się stąd jak najprędzej wydostać! – powiedział do Suzie.



Gdy wreszcie znaleźli się na ulicy, na Ósmej Alei złapali taksówkę. Andrew poprosił

kierowcę, żeby jechał w kierunku Harlemu. Gdy minęli Osiemdziesiątą Ulicę, powiedział, że zmienił zdanie i poprosił, żeby taksówka zawiozła ich do Greenwich Village.

Taksówka jechała w kierunku West Side Highway, a Andrew gotował się ze złości.

– Czy powiedziała pani komukolwiek o naszej dzisiejszej wycieczce? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, że nie! Za kogo pan mnie bierze?!

– Więc jak pani wyjaśni to, co się stało?

– Skąd pan wie, że to nie byli po prostu jacyś squattersi?

– W pomieszczeniu, w którym usłyszałem ich kroki po raz pierwszy, nie było nikogo od lat!

– Skąd pan wie?

– Gruba warstwa kurzu na posadzce była nienaruszona! Ci, którzy nas ścigali, szli za nami od Penn Station. A mogę panią zapewnić, że po wyjściu z pani mieszkania ani pani, ani ja nie byliśmy śledzeni!

– Przysięgam, że nikomu o tym nie mówiłam! – uniosła się Suzie.

– Wierzę pani – odrzekł Andrew. – Ale od tej chwili musimy być o wiele ostrożniejsi.

Suzie podała Andrew kartkę znaną w skrzynce pocztowej.

– Czy wie pani, co to może znaczyć? – spytał, odczytawszy słowo.

– Nie mam pojęcia.

– Wygląda na słowo rosyjskie – rzekł Andrew. – To nie przemawia na korzyść pani babki.

Suzie milczała.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu Andrew, przemarznięta Suzie przygotowała herbatę.

– Śnieżka! – wykrzyknął nagle Andrew, który siedział w salonie.

Suzie postawiła tacę z herbatą na biurku i popatrzyła na ekran komputera.

– *Śnieżka* to opera skomponowana przez Rimskiego-Korsakowa w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku, oparta na sztuce teatralnej napisanej przez Aleksandra Ostrowskiego – oznajmił Andrew.

– Liliane lubiła tylko jazz.

– Jeśli pani babka zadała sobie cały ten trud, żeby ukryć kartkę z tytułem tej opery w skrzynce poste restante, to musi on oznaczać coś bardzo ważnego.

– Jaki jest temat tej opery?

– Odwieczna walka między siłami natury – rzekł Andrew. – Niech pani sama przeczyta, mnie już bołą oczy.

Wstał. Ręce zaczęły mu drżeć, schował je za plecami i wyciągnął się na kanapie.

Suzie zajęła jego miejsce przed komputerem i zaczęła czytać na głos: – Jest to historia, w której występują ludzie z krwi i kości razem z postaciami mitologicznymi. Śnieżka marzy o tym, by żyć pomiędzy ludźmi. Jej matka, Wiosenna Piękność, i jej dziadek, Lód, zgadzają się, żeby wychowywała ją para wieśniaków. W drugim akcie kobieta o nazwisku Kupowa zawiadamia o swoim ślubie z niejakim Mizgirem. Ale na kilka dni przed uroczystością Mizgir spostrzega w lesie Śnieżkę i zakochuje się w niej do szaleństwa. Błaga ją, żeby ona też go pokochała.

– To mi kogoś przypomina – westchnął Andrew.

– Śnieżka nie ma pojęcia o tym, co to jest miłość, i odmawia. Wieśniacy żądają od Mizgira zadośćuczynienia za afront, jaki spotkał narzeczoną. Car

postanawia wygnać Mizgira.

Ale, gdy z kolei władca Rosji spostrzega Śnieżkę, urzeczony jej urodą, waha się i pyta, czy ona kocha Mizgira. Śnieżka odpowiada, że jej serce jest z lodu i że ona nie może nikogo pokochać.

Car ogłasza wówczas, że ten, któremu uda się zdobyć jej serce, poślubi ją i zdobędzie zaszczyty.

Podczas dwóch kolejnych aktów opery Śnieżka odkrywa w sobie uczucia i zakochuje się w Mizgirze. Matka ostrzegała ją, żeby nigdy nie wychodziła na słońce, ale Mizgir żyje w słońcu.

Śnieżka wychodzi z lasu i idzie do niego. Ku rozpaczy wszystkich obecnych i nieszczęsnego narzeczonego roztapia się i znika.

– Czuję się tak jak Mizgir i bardzo mu współczuję – mruknął Andrew.

– I słusznie, bo Mizgir jest zdruzgotany i w końcu ginie w otchłani jeziora.

– Każdy ma swoje ulubione lekarstwo, ja wybrałem fernet-branca z coca-colą. A jak się kończy ta rosyjska tragedia?

– Car ogłasza wszem wobec, że zniknięcie Śnieżki oznacza koniec długiej zimy, która trzymała w okowach Rosję.

– Wspaniale! No to faktycznie dużo się dowiedzieliśmy! – burknął Andrew zrzędlawie.

– Dlaczego moja babka zostawiła kartkę z tytułem rosyjskiej opery w skrzynce poste restante?

– Myślałem, że pani mi to powie!

Andrew zaproponował Suzie, żeby spała w sypialni, on prześpi się na kanapie, jest przecież do tego przyzwyczajony. Suzie wzięła koc, zgasła światło i położyła się na podłodze obok kanapy.

– Co pani wyprawia?

– Mówiłam przecież, że nie lubię łóżek, a wydaje mi się, że pan, nawet z tą nową pościelą, nie pragnie wcale spać we własnym łóżku, dlaczego więc mamy spać w oddzielnych pokojach?

– Czy nie wolałaby pani w takim razie spać na kanapie? Jeśli nie chce

pani być w nocy sama, ja sobie pościelę na dywanie.

– Nie, tak jest dobrze, zapewniam pana.

Przez jakiś czas milczeli i powoli wzrok ich przyzwyczał się do ciemności.

– Śpi pan? – szepnęła Suzie.

– Nie.

– Nie chce się panu spać?

– Chce mi się spać, jestem wykończony.

– To dlaczego pan nie śpi?

– Nie wiem.

– To był bardzo miły wieczór.

– Niezbyt pewnie się czułem, kiedy ci, którzy nas gonili, zaczęli wyważać drzwi.

– Miałam na myśli naszą kolację – rzekła Suzie.

– Tak, to był miły wieczór... – Andrew odwrócił się ku niej.

Usłyszał jej regularny, spokojny oddech. Suzie zasnęła. Andrew patrzył na nią, dopóki sen nie ogarnął i jego.



Rozległ się dzwonek telefonu. Knopf otworzył oczy.

– Żeby dzwonić o tej porze, mam nadzieję, że to naprawdę coś ważnego!

– *Śnieżka*. Czy to wystarczająco ważne?

Knopf wstrzymał oddech.

– O co panu chodzi? – spytał, starając się nie okazać emocji.

– O to, że teraz pana dwa gołąbki znają to hasło.

– Zrozumieli jego sens?

– Jeszcze nie.

– W jaki sposób się dowiedzieli?

– Z nagrań podsłuchu, które mi przed chwilą dostarczono, dowiedziałem się, że dzisiejszej nocy zrobili sobie wycieczkę do budynku poczty głównej. Pańska Liliane Walker zostawiła tam wiadomość na poste restante. Myślałem, że zlikwidowaliśmy wszystkie ślady?

– Najwyraźniej nie... – westchnął Knopf.

– Chciałbym wiedzieć, jak można było dopuścić do takiego błędu.

– Wynika z tego, że była jeszcze bardziej przebiegła, niż nam się wydawało.

– Niż panu się wydawało, Knopf, przypominam, że to pan nadzorował tę sprawę.

– To wy, wbrew moim radom, zdecydowaliście się wkroczyć zbyt wcześnie. Gdybyśmy poczekali...

– Gdybyśmy poczekali dzień dłużej, ona by wszystko ujawniła i *Śnieżka* straciłaby życie.

Proszę posprzątać po sobie i załatwić tę sprawę raz na zawsze!

– Nie wydaje mi się, żeby było czym się denerwować. Nawet gdyby zrozumieli, o co chodzi, w co bardzo wątpię, nie mieliby żadnego dowodu.

– Suzie Walker i Andrew Stilman w kilka dni znaleźli ślad, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy przez czterdzieści sześć lat, niech ich pan nie lekceważy. Czy jest pan pewien, że wszystkie akta dotyczące sprawy *Śnieżki* zostały zniszczone? To, co się właśnie wydarzyło, dowodzi czegoś dokładnie przeciwnego.

– Jestem pewien, że wszystko zostało zniszczone.

– A więc kto jeszcze interesuje się dwójką pańskich protegowanych i dlaczego?

– Co pan opowiada?

– Wciąż z moich nagrań, cytuję: „Niezbyt pewnie się czułem, kiedy ci, którzy nas gonili, zaczęli wyważać drzwi”. Czy jakaś nasza ekipa szła za nimi?

– Nie, zgubiliśmy ich, udało im się wyjść z budynku niepostrzeżenie.

– To brak profesjonalizmu, Knopf – zdenerwował się nosowy głos. –

Śnieżka musi być chroniona, dziś jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. W kontekście dzisiejszych wydarzeń zdemaskowanie jej egzystencji doprowadziłoby do prawdziwej katastrofy. Rozumie pan?

– Rozumiem doskonale, szefie.

– A więc proszę zrobić co należy.

Rozmówca odłożył słuchawkę bez pożegnania.

10

Suzie spała zwinięta na dywanie.

Andrew poszedł do kuchni, zabierając ze sobą dokumentację, którą dostał od Bena Mortona. Zaparzył kawę i usiadł przy blacie kuchennym. Ręka trzęsła mu się coraz bardziej i musiał dwa razy próbować, zanim udało mu się podnieść filiżankę do ust. Ścierając krople płynu, które poplamiały papiery, zauważył, że okładka tekturowej teczki jest dziwnie wybrzuszona. Delikatnie odkleił papier i znalazł stroniczki zapisane maszynowym drukiem.

Morton głębiej badał sprawę Liliane Walker, niż powiedział to Andrew podczas spotkania w drewnianym domku. Zebrał świadectwa bliskich żony senatora. W sumie niewielu ludzi chciało z nim rozmawiać.

Nauczyciel gry na pianinie Liliane przyznał przez telefon, że uczennica zwierzyła mu się z pewnej tajemnicy. Do spotkania Bena z profesorem Jacobsonem jednak nigdy nie doszło, gdyż profesor zmarł na atak serca dzień przed umówionym terminem.

Jeremiah Fishburn, zajmujący się organizacją dobroczynną założoną przez rodzinę Walkerów, dziwił się brakowi logiki, który nie zainteresował żadnego dziennikarza, a mianowicie, dlaczego rząd Stanów Zjednoczonych miałby poświęcać tyle czasu i pieniędzy na wspomaganie weteranów wojennych, jednocześnie angażując się w działania narażające na niebezpieczeństwo młodych żołnierzy?

Jedna z osób bliskich rodzinie, której zależało na zachowaniu anonimowości, twierdziła, że życie Liliane było znacznie bardziej skomplikowane, niż na to wyglądało. Osoba ta słyszała, jak pani Walker umawiała się z przyjaciółką, która miała ją kryć i zaświadczyć, że spędziły czas razem, podczas gdy Liliane pojechała na wyspę Clarks.

Andrew przepisał nazwę wyspy do notesu i czytał dalej.

W pewnej chwili usłyszał szum prysznica. Zaczekał chwilę i kiedy szum wody ustał, nalał

kawy do filiżanki i poszedł do sypialni. Suzie kręciła się po pokoju w jego szlafroku.

– Pani babka grała na pianinie. Wiedziała pani o tym?

– Ćwiczyłam gamy na jej steinwayu. Podobno była prawdziwym wirtuozem. Kiedy dziadek organizował przyjęcia, grała dla gości muzykę jazzową.

– Wyspa Clarks, czy to pani coś mówi?

– A powinno?

Andrew otworzył szafę, wyjął z niej dwie pary spodni, dwa ciepłe swetry i małą walizkę.

– Po drodze wpadniemy na chwilę do pani mieszkania, żeby mogła pani zabrać kilka drobiazgów osobistych. Niech się pani ubiera.



Pilatus linii American Eagle wylądował na lotnisku w Ticonderodze wczesnym popołudniem. W górach Adirondack była zima i drzewa stały przykryte czapą świeżego śniegu.

– Niedaleko jest granica z Kanadą – zauważył Andrew, wsiadając do wynajętego samochodu.

– Jak daleko stąd? – spytała Suzie, włączając ogrzewanie.

– Pół godziny, może trochę dłużej ze względu na pogodę. Mam wrażenie, że szykuje się burza.

Zamyślona Suzie popatrzyła na okolicę, ponury wiejski pejzaż. Zerwał się wiatr, silne poddmuchy wzbijały w powietrze sypki śnieg. Gwizdało nawet we wnętrzu samochodu. Suzie opuściła szybę w oknie i wystawiła głowę na zewnątrz, ale zaraz poklepała Andrew w kolano, dając mu znak, żeby się zatrzymał.

Samochód zaparkował na poboczu. Suzie wyskoczyła z niego i pobiegła nad rów, gdzie zwymiotowała kanapkę zjedzoną na lotnisku. Andrew wyszedł za nią, podszedł i przytrzymał ją za ramiona. Kiedy skurcze ustąpiły, pomógł jej wrócić do samochodu i usiadł za kierownicą.

– Przepraszam! – powiedziała Suzie.

– Te pełne konserwantów kanapki z plastikowych pojemników, nigdy nie wiadomo, co tam wkładają!

– Na początku budziłam się i myślałam, że to zwykły koszmar senny – usłyszałam Andrew cichy głos. – Myślałam, że on wstał przede mną i że spotkamy się w kuchni. Zawsze budziłam się wcześniej, ale udawałam, że śpię, czekając, aż przygotuje śniadanie. Kiedy słyszałam gwizd czajnika, wiedziałam, że wszystko już gotowe i wystarczy usiąść przy stole. Jestem leniwa. Przez pierwsze miesiące po jego śmierci ubierałam się, wychodziłam z domu i szłam przed siebie bez celu. Czasem wchodziłam do jakiegoś supermarketu i pokonywałam te wielkie przestrzenie, pchając wózek i niczego nie kupując. Patrzyłam na ludzi i zazdrościłam im. Dni wydają się nieskończenie długie, kiedy zabraknie ukochanej osoby.

Andrew uchylił szybę i zaczął ustawiać lusterko boczne, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

– Kiedy wypisano mnie ze szpitala – powiedział w końcu – szedłem i spędzałem popołudnia pod oknami Valérie. Siedziałem godzinami na ławce, patrząc na bramę budynku.

– Nigdy pana nie przyłapała?

– Nie, nie było tego ryzyka, bo ona się stamtąd wyprowadziła. Pani i ja tworzymy niezłą ekipę!

Suzie milczała, wpatrując się przez okno w nadciągającą zamieć. Na zakręcie samochód wpadł w lekki poślizg. Andrew zdjął nogę z gazu, ale ford nie reagował, po chwili zaś uderzył

miętko w zaspę śnieżną i stanął.

– To prawdziwa ślizgawka! – roześmiał się Andrew.

– Czy pan coś pił?

– Wypiłem kieliszek w samolocie, to się nie liczy!

– Niech pan natychmiast wyłączy silnik.

A ponieważ Andrew nie reagował, Suzie zaczęła okładać go pięściami gdzie popadło.

Andrew złapał ją silnym gestem za rękę.

– Shamir nie żyje, Valérie mnie opuściła, jesteśmy sami i nic na to nie można poradzić.

Proszę się uspokoić! Jeśli pani chce, proszę prowadzić! Nawet na trzeźwo trudno walczyć z gołoledzią!

Suzie wyrwała mu się i odwróciła twarz.

Andrew udało się jakoś wyprowadzić auto z zasy i wrócił na drogę. Wiatr dał z coraz większą siłą, rzucając fordem na lewo i prawo. Zapadał zmrok i widoczność była coraz gorsza.

Minęli jakąś zapadłą dziurę i Andrew pomyślał sobie, że trzeba mieć prawdziwego pecha w życiu, by tutaj mieszkać. W zamieci śnieżnej błysnął jaskrawy neon Dixie Lee. Andrew wjechał na parking.

– Dalej dziś nie pojedziemy! – stwierdził i wyjął kluczyk ze stacyjki.

W restauracji, której wnętrze mogło zainspirować Hoppera, było tylko dwóch klientów.

Andrew z Suzie usiedli przy jednym ze stolików. Kelnerka zaproponowała im kawę i podała menu. Andrew zamówił naleśniki, Suzie odsunęła od siebie kartę.

– Powinna pani coś zjeść.

– Nie jestem głodna.

– Czy brała już pani pod uwagę możliwość, że Liliane Walker była winna?

– Nie, nigdy.

– Nie mówię, że jest winna, ale kiedy prowadzi się śledztwo z opinią wyrobioną a priori, okłamuje się zazwyczaj samego siebie.

Jakiś facet, pewnie kierowca ciężarówki, który siedział przy barze, przypatrywał się Suzie w nieprzyjemny sposób. Andrew wytrzymał jego spojrzenie.

– Proszę nie bawić się w kowboja – rzekła Suzie.

– Ten facet mnie drażni!

Suzie wstała i podeszła do kierowcy.

– Czy chce się pan do nas przysiąść? Sam za kierownicą cały dzień, sam

w restauracji wieczorem, proszę podejść i skorzystać z naszego towarzystwa! – zaproponowała bez ironii w głosie. Mężczyzna poczuł się zbity z tropu. – Chciałam tylko pana prosić, żeby pan przestał się gapić na moje piersi, to wprawia w zakłopotanie mojego przyjaciela, i jestem pewna, że nie spodobałoby się również pańskiej żonie – dodała, dotykając obrączki na palcu mężczyzny.

Facet zapłacił i wyszedł. Suzie wróciła do stolika.

– Wam, mężczyznom, brakuje właściwych słów – powiedziała do siedzącego naprzeciw niej Andrew.

– Po drugiej stronie drogi jest motel, może tam przenocujemy? – zaproponował Andrew.

– W tym motelu z pewnością jest również bar, prawda? – spytała Suzie, spoglądając przez okno. – Czy zamierza pan pognać tam, gdy tylko zasnę?

– Możliwe, ale co to panią obchodzi?

– Nic mnie to nie obchodzi. Tylko nie mogę patrzeć, jak się panu trzęsą ręce.

Kelnerka przyniosła Andrew zamówione naleśniki. Przesunął talerz na środek stolika.

– Jeśli pani coś zje, dziś wieczorem nie napiję się ani kieliszka.

Suzie popatrzyła na Andrew. Wzięła widelec, podzieliła stertę naleśników na dwie równe części i szczerze oblała syropem klonowym.

– Schroon Lake jest trzydzieści mil stąd – odezwała się. – Co zrobimy, gdy tam dotrzemy?

– Nie mam pojęcia, zobaczymy na miejscu.

Pod koniec posiłku Andrew wstał i poszedł do toalety. Suzie wzięła do ręki komórkę.

– Gdzie pani jest? Szukam pani od dwóch dni!

– Jestem na wycieczce – odrzekła Suzie.

– Ma pani jakieś kłopoty?

– Słyszał pan o wyspie, na którą moja babka wyjeżdżała od czasu do

czasu? – Knopf milczał. – Czy to znaczy „tak” czy „nie”?

– Niech się tam pani nie wybiera pod żadnym pretekstem – powiedział w końcu Knopf.

– Dużo jeszcze takich rzeczy ukrył pan przede mną?

– Ukrywam tylko to, co mogłoby pani zaszkodzić.

– Co mogłoby mi zaszkodzić, Knopf?

– Utrata złudzeń. Złudzenia kołysały pani dzieciństwo, ale jak można mieć o to pretensję, była pani taka samotna.

– Czy stara się mi pan coś powiedzieć?

– Liliane była pani bohaterką, tworzyła pani jej historię na podstawie tego, co opowiadała pani mama, ale przykro mi, Suzie, ona nie była taka, jak się pani wydaje.

– Może mi pan to wreszcie wyjaśni, Knopf! Jestem już dużą dziewczynką.

– Liliane zdradzała pani dziadka – rzucił Knopf.

– Czy on o tym wiedział?

– Oczywiście, że wiedział, ale przymykał na to oko. Zbyt ją kochał, żeby móc ją utracić.

– Nie wierzę panu.

– Nikt pani do tego nie zmusza. Tak czy inaczej, wkrótce sama odkryje pani prawdę.

Mam wrażenie, że jest pani w drodze do tego jeziora.

Z kolei Suzie wstrzymała oddech.

– Kiedy dojedzie pani do Schroon, proszę pójść do właściciela sklepu spożywczego. Tam jest tylko jeden taki sklep. Reszta zależy od pani, ale jeśli mogę powtórzyć radę, której udzielam pani z głębi serca, proszę zawrócić.

– Dlaczego miałabym pana posłuchać?

– Ponieważ jest pani bardziej wrażliwa, niż się pani wydaje, i czepia się

pani złudzeń.

– Kto był jej kochankiem? – spytała Suzie, zaciskając zęby.

Knopf odłożył słuchawkę.

Oparty o dystrybutor papierosów Andrew czekał cierpliwie, aż Suzie schowa komórkę do kieszeni, zanim poszedł w jej kierunku.



Knopf rozłączył się i podłożył ramiona pod głowę.

– Kiedy wreszcie będzie można spokojnie się wyspać? – zdenerwował się jego towarzysz.

– Śpij, Stan, jest późno.

– I zostawić cię samego, zdanego na bezsenność? Gdybyś mógł się zobaczyć... Co cię tak strasznie martwi?

– Nic, jestem zmęczony.

– To była ona?

– Tak.

– Masz wyrzuty sumienia?

– Nie wiem... Czasem mam, czasem nie mam.

– Co, nie jesteś już pewien? – spytał Stan, biorąc do ręki dłoń Knopfa.

– Nie jestem już pewien, jaka jest prawda.

– Odkąd cię znam, ta rodzina jest zmorą twojego życia, a niedługo minie czterdzieści lat, jak jesteśmy razem. Niezależnie od rezultatu, odczułbym prawdziwą ulgę, gdyby to wreszcie się skończyło.

– To ta moja obietnica psuje nam życie.

– Złożyłeś ją, bo byłeś młody i zakochany w senatorze. A ponieważ nie mieliśmy dzieci, wzięłeś na siebie rolę, która nie do ciebie należy. Ile razy cię już ostrzegałem? Nie możesz dłużej prowadzić tej podwójnej gry. To się źle dla ciebie skończy.

– Co to ma za znaczenie w moim wieku? I nie opowiadaj głupstw, podziwiałem Walkera, był moim mentorem.

– Był dużo więcej niż mentorem. Gasimy światło? – spytał Stanley.



– Mam nadzieję, że nie zostawiłem pani zbyt długo samej – odezwał się Andrew, siadając przy stoliku.

– Nie, obserwowałam padający śnieg. Tak jak na ogień w kominku, można na to patrzeć bez końca.

Wróciła kelnerka i napełniła im kubki kawą. Andrew popatrzył na jej plakietkę z imieniem przypiętą do fartucha.

– Anito... Mogłaby mi pani powiedzieć, czy ten motel naprzeciwko jest w porządku?

Anita miała ponad sześćdziesiąt lat, sztuczne, długie jak u lalki rzęsy i usta mocno umalowane czerwoną szminką. Silnie uróżowane policzki podkreślały zniszczoną twarz kobiety, która całe swoje monotonne życie spędziła na podawaniu marnego jedzenia w przydrożnej knajpie gdzieś na północy kraju.

– Jesteście z Nowego Jorku, co? – spytała, nie wyjmując z ust gumy do żucia. – Byłam tam raz. Zwiedziłam Times Square i Broadway, do dziś pamiętam, jak było fajnie.

Spacerowaliśmy bez końca, aż szyja mnie rozboleła od oglądania drapaczy chmur. Co za nieszczęście z tymi wieżami... Podczas tamtej wycieczki zwiedziłam najwyższe piętro. Za każdym razem, jak myślę o tej katastrofie, robi mi się niedobrze. Trzeba być nienormalnym, żeby coś takiego zrobić!

– Tak, trzeba być wariatem – poparł ją Andrew.

– Kiedy zabili tego łajdaka, wszyscy płakaliśmy z radości. Wyobrażam sobie, jak bawiliście się na Manhattanie, żeby to uczcić!

– Też sobie wyobrażam... Nie było mnie tam wówczas.

– Szkoda, że pan to stracił. Przyrzekliśmy sobie z mężem, że wrócimy na Manhattan na moje siedemdziesiąte urodziny. Na szczęście jeszcze trochę czasu mam, zanim zacznę pakować walizki.

– A ten motel, Anito, jak tam jest?

– Czysto, skarbie, a to już bardzo wiele. Na podróż poślubną z taką ładną panią to nie będzie to samo co Copacabana – dodała piskliwym głosem, kołysząc się na zbyt wysokich obcasach. – Dwadzieścia mil stąd jest Holiday Inn, trochę bardziej elegancki, ale w taką pogodę nie ruszałabym się stąd. Tak czy inaczej, jeśli człowiek jest zakochany, wystarczy wygodna poduszka. Podać coś jeszcze? Kuchnię zamykamy za chwilę.

Andrew wręczył jej banknot dwudziestodolarowy, dziękując za delikatność, z jaką im wszystko objaśniła, co kelnerka wzięła dosłownie. Nie chciał, żeby mu wydawała resztę.

– Powiedźcie właścicielowi, że przychodzicie ode mnie, da wam zniżkę, i poproście o pokój z tyłu, bo inaczej obudzą was ciężarówki, które zjeżdżają tu z rana, a jest ich masa!

Andrew i Suzie wyszli z restauracji i przeszli na drugą stronę szosy. Andrew poprosił

właściciela o dwa pokoje, ale Suzie powiedziała, że jeden wystarczy.

Wielkie łóżko, zużyta wykładzina na podłodze, jeszcze bardziej zużyty fotel, kredens z lat siedemdziesiątych i telewizor z tej samej epoki, oto co składało się na umeblowanie pokoju na pierwszym piętrze ponurego budynku.

Łazienka była równie zniechęcająca, ale przynajmniej mieli ciepłą wodę.

Andrew wyciągnął z szafy dodatkowy koc, wziął jedną z dwóch poduszek leżących na łóżku i przygotował pod oknem miejsce do spania. Nie zgasił lampki nocnej i wszedł do łóżka, kiedy Suzie brała prysznic. Po chwili wyszła z łazienki okręcona ręcznikiem w talii i naga do pasa wślizgnęła się pod kołdrę obok niego.

– Proszę tego nie robić – powiedział.

– Jeszcze nic nie zrobiłam.

– Bardzo dawno nie widziałem nagiej kobiety.

– No i jak się pan czuje? – wyszeptała, wsuwając dłoń pod przykrycie.

Ręką zaczęła powoli głaskać jego członek. Gardło miał ściśnięte i nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ręka Suzie nie przestawała przesuwac się w górę i w dół, aż nadszedł

orgazm. Andrew też chciał jej dotknąć, przysunął się, chcąc pocałować jej piersi, ale ona delikatnie go odepchnęła i zgasiła światło.

– Jeszcze za wcześnie, nie mogę... – szepnęła, przytuliła się do niego i zamknęła oczy.

Leżał z otwartymi oczami, patrząc w sufit i wstrzymując oddech. Prześcieradło kleiło mu się do podbrzusza, wywołując nieprzyjemne uczucie, że popełnił błąd, że w pewien sposób zgrzeszył, nie umiając się oprzeć, i teraz, gdy podniecenie opadło, miał wrażenie, że jest brudny.

Oddech Suzie stał się spokojny i regularny. Andrew wstał i skierował się do barku pod telewizorem. Otworzył go, pożądliwie popatrzył na buteleczki z alkoholem, po czym zamknął

drzwiczki.

Cicho przeszedł do łazienki i oparł o framugę okiennej. Za szybą, nad polami, których końca nie było widać, szalała burza śnieżna. Zardzewiałe śmigło turbiny wiatrowej obracało się jęklonie, wiatr szarpał dach pobliskiej szopy, smutna sylwetka stracha na wróble niczym obdarty tancerz skręcała się w niesamowitych piruetach. Nowy Jork wydał się Andrew bardzo odległy, ale za to na wyciągnięcie ręki znalazła się przed nim nietknięta w tym smutnym miejscu Ameryka z jego dzieciństwa. Poczul bolesną tęsknotę za tym, żeby choć na chwilę ujrzeć przed sobą spokojną twarz ojca.

Kiedy wrócił do sypialni, zobaczył, że Suzie przeniosła się z łóżka na podłogę.



Sala Dixie Lee wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru. Uderzył ich niezwykły gwar. Wszystkie stoliki i stołki barowe, wieczorem puste, teraz były zajęte. Anita biegła między klientami, nosząc na rękach stosy talerzy, które rozdawała ze zręcznością sztukmistrza.

Mrugnęła okiem do Andrew i wskazała mu mały stolik, od którego wstawało jakichś dwóch kierowców.

Suzie i Andrew opadli na krzesła.

– Dobrze się spało, moje gołąbki? Ależ wiało dziś w nocy, gdybyście widzieli, w jakim stanie była rano szosa, cała biała, ale śnieg się nie utrzymał.

Jednak napadało prawie trzydzieści centymetrów. Zjecie hamburgery? Żartuję, ale przecież na kolację jedliście naleśniki...

– Dwie kawy i dwa omlety – rzuciła Suzie.

– Księżniczka przemówiła! Wczoraj wydawało mi się, że jest pani niemową. Dwa omlety, jeden bez szynki i dwie kawy! – zawołała śpiewnym głosem, oddalając się w kierunku kontuaru.

– Trudno sobie wyobrazić, że obok niej śpi w łóżku jakiś facet! – westchnęła Suzie.

– Ona nie jest taka brzydka, musiała kiedyś być zupełnie niezła.

– „Times Square i Broadway, ale było fajnie”... – przedrzeźniała Suzie krzykliwy głos Anity, udając, że ma w ustach gumę do żucia.

– Ja wyrosłem w takiej dziurze – powiedział Andrew. – Ludzie stąd są życzliwsi niż moi nowojorscy sąsiedzi.

– Niech pan się przeprowadzi do innej dzielnicy.

– Mogę wiedzieć, co wprawiło panią w taki wspaniały humor z samego rana?

– Źle spałam i nie lubię hałasu, kiedy siedzę z pustym żołądkiem.

– Wczoraj wieczorem...

– Wczoraj wieczorem to było wczoraj wieczorem i nie mam teraz ochoty o tym rozmawiać.

Anita przyniosła im śniadanie.

– Co was tu do nas przywiodło? – spytała, stawiając przed nimi talerze.

– Zasłużone wakacje – odparł Andrew. – Chcemy zwiedzić góry Adirondack.

– Jedźcie do rezerwatu przy Jeziorze Tuppera. To nie jest co prawda najlepsza pora, ale nawet zimą jest tam pięknie.

– Właśnie tam się wybieramy – odrzekł Andrew.

– Zatrzymajcie się po drodze, żeby obejrzeć muzeum przyrodnicze, jest tego warte!

Suzie straciła cierpliwość i zażądała rachunku. Anita zrozumiała, że dostaje odprawę.

Nagryzmoła coś w swoim notesie, wyrwała karteczkę i podała ją Suzie.

– Obsługa jest wliczona – rzuciła obrażonym tonem i odeszła.



Pół godziny później wjechali do wioski Schroon Lake.

Andrew zatrzymał samochód na środku ulicy.

– Niech pan zaparkuje pod sklepem spożywczym – powiedziała Suzie.

– A potem?

– Na takiej wsi sklepikarze są najlepiej poinformowanymi ludźmi w całej okolicy, wiem, o czym mówię.

Sklep wyglądał jak wielkie targowisko. Przy wejściu po obu stronach stały skrzynki pełne warzyw i owoców oraz beczki z marynatami. Pośrodku królowały półki wypełnione sprzętem gospodarstwa domowego, z tyłu zaś sprzedawano narzędzia i artykuły żelazne. W sklepie „Broody i Synowie” można było kupić wszystko za wyjątkiem tego, co choćby z daleka przypominałoby XXI wiek. Suzie zwróciła się do mężczyzny siedzącego za kasą, mówiąc, że chce rozmawiać z właścicielem.

– Ma go pani przed sobą! – odpowiedział Dylan Broody z godnością swoich trzydziestu lat.

– Właściciel, którego szukam, jest nieco od pana starszy.

– Jack jest w Afganistanie, a Jason w Iraku. Mam nadzieję, że nie przywozi pani złych nowin?

– Chodzi mi o wcześniejsze pokolenie, i nie, nie przywożę złych nowin.

– Mój ojciec robi rachunki w biurze na tyłach sklepu, to nie jest dobry moment, żeby mu przeszkadzać.

Suzie przeszła przez sklep i zapukała do drzwi biura. Andrew stanął za nią.

– Daj mi spokój, Dylan, nie skończyłem! – usłyszał podniesiony męski głos.

Suzie weszła pierwsza. Elliott Broody był niskim mężczyzną o twarzy pokrytej zmarszczkami. Podniósł głowę znad wielkiej księgi i popatrzył na nieoczekiwane gościa, marszcząc brwi. Poprawił okulary na nosie i wrócił do swoich rachunków.

– Jeśli chce pani mi coś sprzedać, to trudziła się pani nadaremno. Robię inwentarz, z którego wynika, że ten głupek, mój syn, wciąż nie umie zarządzać towarami na składzie.

Suzie wyjęła z kieszeni zdjęcie i położyła je na książce rachunkowej.

– Czy poznaje pan tę kobietę?

Stary mężczyzna popatrzył na zniszczoną ze starości fotografię, przyjrzał się jej uważniej, po czym podniósł wzrok i popatrzył na Suzie. Potem wstał i przysunął czarno-białe zdjęcie Liliane Walker do prawie tak samo bladej twarzy jej wnuczki.

– Psiakrew, ależ pani jest do niej podobna! – powiedział. – To było tak dawno... Ale nie za bardzo rozumiem, pani jest zbyt młoda, by być jej córką.

– Liliane była moją babką. Znał więc ją pan?

– Proszę zamknąć drzwi i usiąść. Chociaż nie – zmienił zdanie. – Nie tutaj.

Zdjął z wieszaka budrysówkę i przekręcił zamek w maleńkich drzwiach, które prowadziły na opuszczony teren znajdujący się za sklepem.

– Tu przychodzę ukradkiem sobie zapalić – przyznał się Elliott, podnosząc pokrywę starej beczki. Wyjął z niej paczkę papierosów i poczęstował nimi gości, po czym sam wziął jednego.

Zapalił zapalną.

– Potem zaproszę was na kawę.

Suzie była tak bardzo spięta, że nie sposób było tego nie zauważyć. Andrew położył jej rękę na ramieniu i długim wymownym spojrzeniem dał do zrozumienia, żeby się opanowała.

– W wiosce nazywali pani babkę Matą Hari.

– Dlaczego?

– Wszyscy wiedzieli, po co tu przyjeżdżała. Z początku nikomu się to nie

podobało, ale pani babka umiała zjednywać sobie ludzi. Była miła i hojna. Po pewnym czasie miejscowi przymknęli oczy i polubili ją.

– Przymknęli oczy? Na co? – spytała Suzie słabym głosem.

– To już teraz nie jest ważne, było, minęło. Liczy się to, co pani zostawiła. Wiedziałem, że kiedyś ktoś się zjawi, tyle pieniędzy to kosztowało, ale oczekiwałem raczej jej córki.

– Moja babcia zostawiła coś dla mnie u pana w sklepie?

Elliott Broody wybuchł śmiechem.

– No, niezupełnie, trudno by mi było tutaj to schować.

– Co schować?

– Proszę pójść za mną. – Elliott Broody wyjął z kieszeni pęk kluczy.

Podszedł do furgonetki, która stała na końcu pustkowia.

– Z przodu swobodnie mieszczą się trzy osoby! – oznajmił, otwierając drzwi. – Wsiadajcie!

Skóra siedzeń była tak samo zniszczona jak twarz Elliotta. W samochodzie unosił się zapach benzyny. Silnik zaskoczył i zaczął warkotać. Elliott Broody wrzucił bieg dźwignią znajdującą się przy kierownicy i furgonetką szarpnęło do przodu.

Przejeżdżając przed sklepem, włączył klakson i dał znak synowi, który powiódł za nim zdziwionym spojrzeniem. Jakies dwie mile dalej furgonetka wjechała na bity trakt i zatrzymała się przed małą przystanią.

– Jesteśmy prawie na miejscu – rzekł Elliott, wysiadając z samochodu.

Poszedł na koniec pomostu i poprosił Andrew i Suzie, żeby wsiedli do łódki, która była tam przycumowana. Plunął i zatarł dłonie, zanim pociągnął za sznurek starego dwutaktu, przymocowanego na rufie. Musiał szarpnąć trzy razy. Andrew zaproponował mu pomoc, ale starszy człowiek tylko rzucił mu ponure spojrzenie.

Łódź motorowa rozcinała wodę, zostawiając po sobie ślad, który natychmiast znikał.

Płynęli w kierunku małej zalesionej wysepki. Wyglądała jak długa łódź wyrzucona na piasek.

– Dokąd płyniemy? – spytała Suzie.

Elliott Broody uśmiechnął się i odpowiedział:

– Płyniemy w przeszłość, na spotkanie z pani babcią.

Łódź opłynęła wyspę i przybiła do drewnianego pomostu. Elliott zgasił silnik, zeskoczył

na ziemię i okręcił cumę wokół grubego słupka. Widać było, że robił to często. Suzie i Andrew poszli za nim.

Weszli na ścieżkę wijącą się przez las. Na tle ponurego nieba, które zapowiadało opady śniegu, zobaczyli zarys komina, szarego jak wyschnięta gliniana ziemia.

– Tędy! – krzyknął Elliott Broody, dochodząc do rozwidlenia, przed którym znajdowała się chatka ogrodnika. – Jeśli pójdzie się dalej, dochodzi się do ładnej małej plaży. Pani babcia uwielbiała przechadzać się po niej o zachodzie słońca, ale teraz jest po sezonie. Jeszcze kilka kroków i będziemy na miejscu – dodał.

I nagle za szpalerem srebrzystych jodeł Suzie i Andrew odkryli uśpiony dom.

– Oto dom pani babki – oznajmił Elliott Broody. – Cała wyspa była jej własnością, więc teraz chyba należy do pani.

– Nie rozumiem – powiedziała Suzie.

– W tamtych czasach na północy wsi znajdowało się małe lądowisko. Dwa razy w miesiącu, w piątek, przylatywał tam piper cherokee, przywożąc pani babcię. Spędzała tu weekend i wyjeżdżała w poniedziałek. Mój ojciec zajmował się tą posiadłością, ja miałem wówczas szesnaście lat i pomagałem mu. Dom pozostaje niezamieszkały od końca lata sześćdziesiątego szóstego roku. Rok po śmierci pani babki jej mąż złożył nam wizytę.

Widzieliśmy go wtedy po raz pierwszy, wiadomo dlaczego. Powiedział, że zależy mu, żeby ten dom został w jego rodzinie. To była jedyna rzecz należąca do jego żony, której państwo nie skonfiskowało. Wyjaśnił nam, że dom był zarejestrowany jako własność pewnej firmy i dlatego państwo go nie zabrało. Krótko mówiąc, to nas nie dotyczyło, a sprawa była wystarczająco smutna i krępująca, byśmy nie zadawali zbyt wielu pytań. Co miesiąc

otrzymywaliśmy przelew pieniężny na poczet kosztów utrzymania w dobrym stanie domu i otaczającego go ogrodu i drzew. Po śmierci mego ojca obowiązek przeszedł na mnie.

– Robi pan to za darmo? – spytał Andrew.

– Nie, w dalszym ciągu przychodzą pieniądze, a nawet co roku trochę więcej. Dom jest w doskonałym stanie. Nie mówię, że nie znajdzie pani kurzu, ale razem z synami robimy, co możemy, nawet jeśli teraz dwóch poszło do wojska, więc jest mi trochę trudniej. Wszystko działa, w zeszłym roku wymieniliśmy kocioł centralnego ogrzewania, dach naprawia się za każdym razem, gdy to konieczne, kominy są drożne, a zbiornik z ropą jest pełen. Tylko porządnie wysprzątać i dom będzie jak nowy. Jest pani u siebie, taka była wola pani dziadka – zakończył

Elliott, wręczając Suzie klucz.

Suzie patrzyła przez chwilę na dom, po czym wbiegła po schodach na ganek i wsunęła klucz do zamka.

– Pomogę pani – rzekł Elliott, idąc za nią. – Te drzwi są kapryśne, trzeba wiedzieć, jak je otwierać.

I drzwi otworzyły się. Oczom wszystkich ukazał się wielki salon. Meble były zakryte białymi prześcieradłami.

Elliott otworzył okiennice i do pokoju zajaśniało światło. Nad wielkim kominkiem Suzie ujrzała portret babki. Kobieta z portretu wydawała się do niej uśmiechać.

– To nie do wiary, jak pani jest do niej podobna – powiedział Andrew. – Macie takie samo spojrzenie, takie same oczy i usta.

Suzie podeszła do portretu. Była bardzo wzruszona. Wspięła się na czubki palców i pogładziła dół płótna portretu czułym, trochę smutnym gestem. Potem odwróciła się i popatrzyła na salon.

– Czy chce pani, żebym odkrył meble? – spytał Elliott Broody.

– Nie, wolałabym najpierw obejrzeć piętro.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział starszy pan i wyszedł.

Suzie spacerowała po salonie, dotykając mebli, okien i parapetów. Co

chwila odwracała się, żeby spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Andrew obserwował ją w milczeniu.

Usłyszeli warkot. Żarówki w żyrandolu na suficie błysnęły i zapłonęły pełnym światłem.

Elliott wrócił.

– Ten dom ma własny generator, trochę hałaśliwy, ale można się przyzwyczaić. Jeśli się zaciął, stoi w chatce ogrodnika. Włączam go co miesiąc, zbiornik jest prawie pełen. Napięcie jest wystarczające, ale proszę nie zapalać wszystkich lamp naraz. Włączyłem również grzejnik, za godzinę będzie ciepła woda. Łazienka i sypialnia są na piętrze, proszę pójść za mną.

Schody pachniały drewnem klonowym, a balustrada trochę się chwiała, kiedy się o nią oparło. Na samej górze Suzie ujrzała drzwi. Zawahała się, zanim je otworzyła.

Andrew odwrócił się i dał znak Broody'emu, żeby zeszli na dół.

Suzie nie zauważyła, że odeszli. Położyła rękę na klamce i weszła do sypialni Liliane.

Meble tutaj nie były zakryte prześcieradłami. Pokój wyglądał tak, jakby jego mieszkańcy mieli zaraz wrócić. Na ogromnym łożu leżała gruba hinduska narzuta w zielono-czerwone wzory, a dwie grube poduszki czekały, aż ktoś położy na nich głowę. Między parą kwadratowych okien obrosniętych dzikim winem stało biurko i brzozone krzesło. Podłoga z szerokich sosnowych desek z sękami wielkimi jak pięści przykryta była appalaskim chodnikiem. Po prawej stronie umieszczono kamienny kominek poczerniały od ognia palonego w zimowe wieczory.

Suzie wysunęła szufladę komody. Podniosła cienki papier. Ujrzała równo ułożone ubrania Liliane.

Rozwinęła jeden z szali i zarzuciła go sobie na ramiona, po czym przejrzała się w lustrze.

Weszła do łazienki i zbliżyła się do emaliowanej umywalki. Na półce stały obok siebie szklanka z dwiema szczoteczkami do zębów i dwa flakony. Damskie perfumy i męska woda toaletowa.

Powąchała je, odłożyła z powrotem na miejsce i wyszła.

Wróciła do salonu. Andrew zdejmował pokrowce z mebli.

– Gdzie jest Broody?

– Odjechał. Założył, że będziemy chcieli spędzić tutaj noc. Jego syn zostawi nam po południu na przystani skrzynkę z jedzeniem. Broody powiedział, że w składziku jest pełno drewna, potem je przyniosę. No i może obejrzymy posiadłość, jeśli pani będzie miała na to ochotę.

– Nie mogę się przyzwyczaić do tej sytuacji.

– Do czego? Do tego, że odziedziczyła pani taką piękną posiadłość?

– Nie, do tego, że moja babka miała kochankę.

– Może to tylko wiejskie plotki?

– Znalazłam w łazience męską wodę toaletową, to na pewno nie była woda mojego dziadka.

Otworzyły się drzwi i na progu pojawił się z powrotem zdyszany Elliott Broody.

– Zapomniałem wam zostawić mój numer telefonu. Proszę dzwonić, jeśli tylko będziecie czegoś potrzebowali.

– Panie Broody, kto był kochankiem mojej babki? – spytała Suzie.

– Nikt go nigdy nie widział. Przyjeżdżał tutaj w piątek wieczorem po niej, gdy wszystko było już pozamykane, a wyjeżdżał w niedzielę. Przywoziliśmy zapasy, zanim przyjechał.

Podczas weekendu nie było nam wolno zbliżać się do wyspy. Mój ojciec nie pozwoliłby sobie złamać tego zakazu, pani babka była pod tym względem bardzo zasadnicza.

Andrew podszedł do Broody'ego.

– Nie wątpię w to, jeśli chodzi o pana ojca, ale pan, szesnastoletni chłopak... W tym wieku pokusa łamania zakazów jest bardzo silna... – rzekł.

Broody spuścił oczy i zakaszłał.

– Muszę to wiedzieć! – włączyła się Suzie. – Sam pan powiedział, że to stare dzieje. Jakże to ma dzisiaj znaczenie?

– Zajmuję się tym domem od czterdziestu lat. Co miesiąc dostaję na to pieniądze, o które się nigdy nie upominam. Nie wszyscy moi klienci są tak słowni. Nie chcę mieć kłopotów.

– O jakich kłopotach pan myśli? – spytał Andrew.

– Pani dziadek kazał memu ojcu przysiąc na honor, że nigdy nikomu niczego nie powie o eskapadach pani Walker. Jeśli ktoś dowiedziałby się czegokolwiek, wyspa natychmiast ma być wystawiona na sprzedaż, a pieniądze przestaną wpływać na konto Broodych.

Andrew pogrzebał w kieszeni spodni i wyciągnął pięć banknotów dwudziestodolarowych.

– Mam dla pana dwa pytania, panie Broody. Pierwsze brzmi: kto przysłała panu co miesiąc te pieniądze?

– Nic mi nie każe panu odpowiadać, ale jednak to zrobię, ponieważ jestem uczciwy – powiedział Broody, biorąc pieniądze. – Dostaję cztery tysiące dolarów. To rozsądne wynagrodzenie za pracę, którą wykonujemy na wyspie. Płatności regulowane są przez jakąś firmę, nie znam jej, znam tylko nazwę, która widnieje na moich wyciągach bankowych.

– Jaka to nazwa?

– Brewswater Norwegian Incorporation.

– A teraz drugie pytanie. Kto spędzał tu weekendy z Liliane Walker?

– Byliśmy nastolatkami. W lecie pani babka lubiła się z nim kąpać. Była naprawdę piękna. Od czasu do czasu płynęliśmy na wyspę i chowaliśmy się w zagajniku nad zatoczką.

W tamtych czasach tego człowieka nikt jeszcze nie znał. Przysięgam, że widziałem go tylko dwa razy. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, kto to był.

– Tere-fere – westchnęła Suzie. – A więc kto?

– To śmieszne, ale pani babka reagowała dokładnie tak samo, gdy była zniecierpliwiona... To był mężczyzna bardzo bogaty i wpływowy. Nie chciałyby pani mieć w nim wroga. Na ironię zakrawało, że nie tylko o pani

babkę rywalizowali ten człowiek z pani dziadkiem. Proszę sobie tylko wyobrazić: małżonka senatora demokracji ma romans z republikaninem. Ale było, minęło, nie należy grzebać się w przeszłości. Dlaczego ja to pani w ogóle opowiadam?

Suzie podeszła do Broody'ego i wzięła go za rękę.

– Ta tajemnica rodzinna należy do mnie, a poza tym od teraz ja będę panu płaciła za utrzymanie posesji – powiedziała. – Tak więc, panie Broody, proszę to przyjąć jako pierwsze polecenie nowej właścicielki, równie wymagającej i upartej, jak poprzednia. Proszę mi wyjawić wszystko, co pan wie.

Broody zawahał się.

– Niech mnie pani odprowadzi do przystani, muszę już wracać. – I kiedy schodzili razem ścieżką ku wodzie, Elliott Broody zaczął swoją opowieść: – Muszę pani powiedzieć coś, co wyznałem pani dziadkowi w dniu, kiedy tu przyjechał. Pani babka i jej kochanek rozstali się na tej wyspie. Byliśmy obecni, ja z moimi kumplami, w dniu, gdy para się pokłóciła, ukryliśmy się za tymi drzewami, które pani tam widzi. Nie wiedzieliśmy, co było przyczyną tak gwałtownej kłótni, nie zachowywali się wystarczająco głośno, żebyśmy mogli wszystko wyraźnie słyszeć.

Ale jak to się zaczęło, byliśmy, można powiedzieć, w pierwszych rzędach... Nigdy przedtem nie słyszeliśmy tylu przekleństw naraz. A przecież znam niejedną obelgę. Ona nazwała go tchórzem, niemoralnym draniem... nie śmiem nawet powtórzyć tych wszystkich inwektyw. Powiedziała, że go już nigdy nie chce widzieć, że ona się teraz nie wycofa i doprowadzi wszystko do końca według planu, niezależnie od konsekwencji, z nim lub bez niego. On się strasznie rozżłościł

i kilkakrotnie ją spoliczkował. Uderzał tak mocno, że zastanawialiśmy się z kolegami, czy nie interweniować. Na kobietę nie wolno podnieść ręki. Ale kiedy ona upadła na piasek, uspokoił się.

Zebrał swoje rzeczy, wsiadł na łódź i odpłynął, zostawiając ją samą.

– A co ona zrobiła? – zapytała Suzie.

– Przysięgam pani, że gdyby mój ojciec choć raz uderzyłby mnie tak mocno w twarz, rozplakałbym się. Pani babka natomiast nie uroniła ani

jednej łzy! Chcieliśmy podejść i jej pomóc, ale za bardzo się baliśmy! Przez chwilę klęczała, potem wstała i poszła ścieżką pod górę do domu. Następnego dnia wymknąłem się z domu, żeby tu przyjść i zobaczyć, jak ona się czuje, lecz już jej nie było. Nigdy więcej jej nie widziałem.

– Kim był ten... brutal? – spytał Andrew.

– Ten człowiek się ożenił, jego wpływy wciąż rosły i w końcu dostał się w najwyższe kręgi władzy, ale to nastąpiło wiele lat później. Dość już wam powiedziałem, wracam do domu!

– Elliott Broody wskoczył na pokład łodzi. – Kiedy mój syn przywiezie wam coś do jedzenia, nie wypytujcie go, on nic nie wie. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem, zresztą podobnie jak z nikiem innym. Cieszcie się pobytam tutaj, to spokojne i cudowne miejsce.

Łódka Elliotta Broody'ego stała się wkrótce czarną kropką na horyzoncie. Suzie i Andrew patrzyli na siebie oszołomieni.

– To dużo nowych informacji do przetrawienia i dużo tropów do zbadania – odezwał się Andrew.

– Dlaczego memu dziadkowi tak bardzo zależało na zachowaniu tej posiadłości? Przecież dla niego musiało to być straszne!

– Nie myślałem zaczynać od tego, ale to zasługuje na przeanalizowanie. Zostawię pani trud rozwiązania tej rodzinnej tajemnicy, mnie interesuje bardziej, co to za firma płaci tak królewskie wynagrodzenie właścicielowi sklepiku, który jeszcze wiele przed nami zataił.

I chciałbym też wiedzieć, o czym mówiła pani babka, kiedy groziła kochankowi, że z nim lub bez niego, ale nie wycofa się i doprowadzi wszystko do końca według planu.

– Kogo on mógł mieć na myśli, mówiąc, że „w końcu dostał się w najwyższe sfery władzy”?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Andrew.

Rozdzielili się na rozstaju dróg, Andrew poszedł do składziku, a Suzie przeszła przez rząd sosen i wróciła do domu.

W rogu salonu stał fortepian. Suzie podniosła zakrywające go prześcieradło oraz klapę i położyła dłonie na klawiaturze.

Po chwili w progu stanął Andrew, niosąc drwa do kominka.

– Zagra coś pani? – spytał. – Panuje tu martwa cisza.

Suzie podniosła ze smutnym uśmiechem dłonie, pokazując okaleczone palce wskazujący i środkowy. Andrew położył szczapy przy kominku, podszedł i usiadł obok niej. Zagrał kilka taktów prawą ręką i dał jej lekkiego kuksańca. Z wahaniem uderzyła zdrową dłonią kilka akordów do melodii granej przez Andrew.

– Widzi pani, jak się pięknie dopełniamy! – powiedział, przyspieszając tempo.

Po chwili każde wróciło do swoich zajęć. Andrew czuł, że musi się czymś zająć, więc zaczął znosić drewno na opał, którego teraz było więcej, niż potrzebowali. Dźwiganie bierwion na świeżym powietrzu pomagało mu w niemyśleniu. Suzie metodycznie sprawdzała zawartość szuflad i szaf.

– Traci pani czas. To oczywiste, że ten dom musiał zostać przeszukany od piwnic po strych – powiedział Andrew, schylając się pod gzyms kominka.

Chwycił za łańcuch, który otwierał zasuwę w kanale kominowym. Na końcu pojawił się kawałek nieba, a na palenisko zaczęły spadać kawałki sadzy.

– Bawi się pan w Świętego Mikołaja? – spytała Suzie, widząc, że Andrew wsadził do kominka całą głowę.

– Czy może pani przynieść latarkę? Jest w mojej torbie... – poprosił Andrew.

Suzie wykonała polecenie.

– Zauważył pan coś?

– Tak, coś dziwnego – odrzekł.

Kominek był wystarczająco duży, żeby mogli oboje do niego zajrzeć.

– Niech pani spojrzy... – Andrew skierował w górę światło latarki. – Przewód kominowy jest cały w sadzy, i zaprawa murarska między ceglami jest wszędzie czarna, ale nad moją głową nie! W składziku na pewno są narzędzia. Chodźmy! – zarządził Andrew.

Suzie zadrżała, kiedy wyszli na ganek. Andrew zdjął marynarkę i zarzucił

jej na ramiona.

– Zaczyna się robić naprawdę zimno – rzekł.

Kiedy szli w kierunku domku ogrodnika, usłyszeli w oddali odgłos motorówki.

– To pewnie syn Broody’ego przywozi nam kolację. Wspaniale, bo umieram z głodu.

Niech mi pani poszuka dużego śrubokrętu i młotka. Pójdę na przystań odebrać od niego prowiant i zaraz wracam.

Suzie popatrzyła za oddalającym się Andrew i weszła do składziku.

Otwierając drzwi, usłyszała hałas upadających na podłogę łopaty, grabi, motyki i wideł.

Pochyliła się, żeby je podnieść i odstawić na miejsce, ale było jej bardzo trudno ustawić je tak, żeby nie upadały. Nad stołem z narzędziami zobaczyła różnej wielkości piły i inne narzędzia gospodarskie zawieszane na haczykach. Zawahała się chwilę, po czym sięgnęła po dłuto do drewna, młotek dwuobuchowy i długi żelazny pilnik.

Wyszła ze składziku. Nagie gałęzie brzoź wyginały się w wieczornym wietrze.

Odruchowo spojrzała na zegarek. Zaczęła się niecierpliwić. Andrew powinien już być z powrotem. Może nie mógł się oprzeć i zaczął wypytywać syna Broody’ego? Nie chciało jej się iść aż na przystań, ale pomyślała, że może trzeba Andrew pomóc nieść jakieś skrzynki. Zostawiła narzędzia przed domem i poszła na skróty na przystań, z rękami w kieszeniach.

Kiedy zbliżała się do nabrzeża, usłyszała chlupot i głuchoe plaskanie o lustro wody.

Dźwięki stawały się coraz głośniejsze. Przyspieszyła kroku i słysząc zduszone krzyki, stanęła w miejscu. Jakiś gruby mężczyzna klęczał przy końcu drewnianego pomostu z rękami zanurzonymi po łokcie w wodzie. Nagle spod wody wynurzyła się głowa prychającego rozpaczliwie Andrew, który ledwo zdążył złapać głęboki wdech. Mężczyzna silnym ruchem wepchnął go z powrotem pod wodę.

W ogóle nie czuła strachu. Wydało jej się, że czas jakby stanął w miejscu. Dokładnie wiedziała, co ma zrobić. Była pewna precyzji swoich ruchów. Głowa Andrew znów pojawiła się na powierzchni. Suzie przyspieszyła. Zanim mężczyzna ją zauważył, wyjęła z kieszeni marynarki Andrew rewolwer, odbezpieczyła go i podchodząc blisko, oddała do napastnika dwa strzały.

Pierwsza kula wbiła się napastnikowi pod łopatkę. Mężczyzna wyprostował się z okrzykiem bólu w chwili, gdy druga trafiała go w szyję. Ta rozwalila kręgosłup i rozdarła tętnicę. Mężczyzna padł twarzą na ziemię w kałużę krwi spływającej aż do jeziora.

Suzie rzuciła rewolwer i podbiegła do Andrew, który z trudnością dopłynął do brzegu.

Położyła się na deskach pomostu, żeby go wciągnąć. Andrew uczepił się desek i ostatkiem sił

przy pomocy Suzie wydostał się na brzeg. Wyczerpani potoczyli się po ziemi.

– Cicho, cicho... – mówiła Suzie, masując Andrew energicznie. – Już wszystko dobrze, oddychaj, nie myśl o niczym, tylko oddychaj... – szeptała, gładząc go po policzku.

Andrew przewrócił się na bok i krztusząc się, wypluł wodę. Suzie zdjęła jego marynarkę i okryła go.

Andrew odepchnął ją, ukląkł obok ciała napastnika i chwycił się za głowę. Suzie stała za nim w milczeniu.

– Myślałem, że to syn Broody'ego – powiedział. Złapała go czkawka. – Nawet pomogłem mu przybić do brzegu. Kiedy zobaczyłem, że to nie on, wcale się nie przestraszyłem. Wskoczył

na pomost i zanim się odezwałem, rzucił się na mnie, złapał mnie za szyję i zaczął dusić, a potem zepchnął mnie do wody...

– I wtedy zjawiłam się ja – rzekła Suzie, patrząc na zwłoki.

– Weźmiemy jego motorówkę i zgłosimy się na policję – powiedział Andrew, trzęsąc się z zimna.

– Najpierw wrócimy do domu. Musi się pan przebrać, inaczej zamarznie

pan! Potem się zastanowimy – orzekła Suzie zdecydowanym tonem.

Pomogła mu wstać i wspiąć się po ścieżce.

Gdy tylko znaleźli się w domu, kazała mu wejść na górę i weszła przed nim do sypialni.

– Proszę się rozebrać! – poleciła mu, a sama poszła do łazienki.

Andrew usłyszał, jak puszcza wodę, i po chwili wróciła z ręcznikiem kąpielowym.

– Jest szorstki jak tarka, ale to lepsze niż nic – rzuciła ręcznik w jego kierunku. – Proszę od razu wziąć prysznic, bo inaczej dostanie pan zapalenia płuc.

Andrew posłuchał i udał się do łazienki.

Trzeba mu było dłuższego czasu, żeby się rozgrzać. Woda spływająca po twarzy nie wymazała z jego myśli obrazu zakrwawionego ciała, które zostawili na pomoście.

Zakręcił kran i owinął się ręcznikiem. Podszedł do lustra nad umywalką, machinalnie otworzył drzwiczki szafki, wyjął pędzel, maszynkę do golenia i mydło, znajdujące się w okrągłym pudełku z chińskiej laki. Napełnił wodą umywalkę, zanurzył pędzel, namydlił się i zawahał chwilę, zanim przyłożył żyletkę do policzka.

Powoli spod brody wyłaniała się jego dawna twarz.

Gdy wyszedł z łazienki, zobaczył leżące na łóżku lniane spodnie, wełnianą koszulę i kamizelkę. Ubrał się i poszedł do Suzie, która siedziała w salonie.

– Czyje to ubrania? – spytał.

– W każdym razie na pewno nie mojej babki. Wiem teraz przynajmniej, że jej kochanek nosił ubrania w rozmiarze takim jak pan... – powiedziała Suzie, podchodząc do Andrew i dotykając dłonią jego policzka. – Mam wrażenie, że jestem z jakimś innym mężczyzną! – stwierdziła.

– Wolą pani tego poprzedniego? – Andrew odepchnął od siebie dłoń Suzie.

- Nie ma między nimi zbyt wielkiej różnicy – odcięła się dziewczyna.
- Musimy już jechać.
- Nigdzie nie musimy jechać.
- Jest pani stuknięta.
- Czy to komplement?
- Przed chwilą zabiła pani człowieka i wygląda na to, że nie zrobiło to na pani większego wrażenia.
- Utraciłam zdolność przejmowania się w dniu, kiedy Shamir spadł w przepaść, żeby mi uratować życie. Tak, zabiłam kogoś, to straszne, ale on starał się pana utopić, więc co, chciałby pan, żebym się nad nim litowała?
- Może. Albo żeby pani przynajmniej udawała wyrzuty sumienia. Mnie jest aż niedobrze ze strachu.
- Tak, jestem stuknięta, kompletnie stuknięta, zawsze taka byłam! Co, nie podoba się?
- Chce pan sobie ulżyć i złożyć zeznania na policji, proszę, droga wolna, drzwi otwarte! – krzyknęła wyprowadzona z równowagi Suzie.
- Już za późno, żeby przepłynąć jezioro, zapada noc – rzekł Andrew spokojnie, patrząc przez okno. – W kieszeni mam komórkę, zadzwonię.
- Ja już próbowałam dzwonić z mojej komórki, ale tu nie ma zasięgu, a telefon stacjonarny w przedpokoju jest głuchy.
- Andrew pobladł i usiadł na krześle. Gdy tylko zamknął oczy, wracała do niego scena z przystani.
- Suzie uklękła przed nim i położyła mu głowę na kolanach.
- Chciałabym, żeby można było cofnąć czas i żebym nigdy nie postawiła stopy na tej nieszczęsnej wyspie.
- Ręce jej drżały. Andrew nie mógł od nich oderwać oczu.

- Siedzieli i milczeli przez dłuższy czas. Suzie drgnęła, a Andrew pogłaskał ją po włosach.

– Dlaczego Broody wrócił specjalnie po to, żeby zostawić nam numer swojej komórki, jeśli tutaj nie ma zasięgu? – szepnęła Suzie.

– Żebyśmy niczego nie podejrzewali. Kiedy odpłynął swoją łodzią, zostawił nas odciętych od świata.

– Podejrzewa pan, że zastawił na nas pułapkę?

– Kto jeszcze wiedział o naszej wycieczce tutaj? – zastanawiał się na głos Andrew.

Wstał i podszedł do kominka.

– Ta przyjaciółka, której mieszkanie na Morton Street pani podnajmuje... Miała pani ostatnio od niej jakieś nowiny?

– Nie, czemu pan pyta?

– Bo gdyby pani tak nie starała się na wszystkie sposoby, żeby mnie wciągnąć w swoje sprawy, wydawałoby mi się, że bierze mnie pani za idiotę.

– Wcale się nie starałam.

– Jeszcze jedno kłamstwo i wracam do Nowego Jorku! – zagroził Andrew.

– Powinien pan wrócić tak czy owak, nie mam prawa narażać pana na niebezpieczeństwo!

– To oczywiste, że nie miała pani prawa narażać mnie na niebezpieczeństwo! Ale wracając do tej przyjaciółki, zna ją pani od bardzo dawna?

Suzie milczała.

– Już raz padłem ofiarą manipulacji, zapłaciłem rachunek, który był dla mnie o wiele za wysoki. Tego, co zdarzyło się dziś nad jeziorem, nigdy nie zapomnę. Wczoraj wieczorem, kiedy byliśmy w Dixie Lee, ledwo odszedłem, zaczęła pani ukradkiem gdzieś wydzwaniać. Wtedy postanowiłem panią zostawić własnemu losowi.

– I co, zmienił pan zdanie?

– Nie wiem, czy pani babka przekazywała tajemnice państwowe na Wschód czy nie, ale jednego jestem pewien: ktoś za wszelką cenę chce przeszkodzić pani zebrać o niej informacje.

– Knopf mnie uprzedzał, ależ jestem głupia!

– Może pani babka nie działała sama. A jeśli do tej pory udało się jakiemuś jej współnikowi, czy współnikom, prześlizgnąć przez oczka gęstej siatki, nic ich nie powstrzyma, żeby dalej walczyć o pozostanie w cieniu. Dowodzi tego zdarzenie na przystani. Teraz proszę mi powiedzieć, do kogo dzwoniła pani wczoraj z Dixie Lee?

– Do Knopfa – wyszeptała Suzie.

– A teraz, kiedy pani zauważyła, że nasze komórki nie działają, też próbowała pani dodzwonić się do niego?

– Mam na sumieniu zabójstwo. Pana napastnik nie miał broni, ja miałam. Jeśli zawiadomimy policję, nasze śledztwo na tym się zakończy. Knopf jest człowiekiem od takich właśnie sytuacji, chciałam go spytać, co robić.

– Obraca się pani w interesujących kręgach, nie powiem! Jakiej rady mógłby on pani udzielić? – spytał Andrew sarkastycznie.

– Przysłałby tu kogoś.

– Nie przyszło pani do głowy, że już to zrobił?

– Że Knopf wysłał kogoś, żeby nas zabił? Z pewnością nie! On opiekuje się mną od dzieciństwa, nigdy nie pozwoliłby na to, żeby choć włos spadł mi z głowy!

– Z pani głowy, być może, ale nie z mojej. Broody nie miał czasu zaplanować tego ataku.

Natomiast Knopf dzięki pani od wczoraj wiedział, dokąd się wybieramy.

– A może Broody chciał zachować ten dom dla siebie, a nasza wizyta pokrzyżowała te plany?

– Niech pani nie mówi głupstw. Czy wydaje się pani, że wyglądał na mordercę, kiedy siedział tak nad swoją księgą rachunkową w drucianych okularkach na nosie?

– Czy kobieta, która pana ugodziła nożem, wyglądała na płatnego mordercę?

Andrew nie odpowiedział.

– I co dalej? – spytała Suzie.

Andrew zrobił kilka kroków po pokoju, starając się skoncentrować. Brak alkoholu nie pozwalał mu jednak zebrać myśli i przeciwstawić się tej niezgodnej z jego zasadami decyzji.

Spojrzał ponuro na Suzie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Suzie poszła za nim na ganek. Siedział na poręczy, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń.

– Musimy zakopać ciało! – stwierdził wreszcie.

– A może wrzucić je do jeziora?

– Nic pani nie jest w stanie zatrzymać, prawda?

– Jak pan sobie wyobraża, że wykopimy głęboki dół w ciemną noc? Nie ma pan bardziej ponurego planu?

Andrew zsunął się z poręczy i popatrzył na Suzie.

– Zgoda, pod warunkiem że znajdziemy coś, czym będziemy mogli go obciążyć.

Zapalił knot lampy naftowej przyklepionej koło drzwi wejściowych i wszedł za Suzie pomiędzy ciemne drzewa.

– Skąd moja babka miała tyle odwagi, żeby spędzać samotnie niedziele na tej wyspie?

– Musiała tak jak pani mieć pełno interesujących pomysłów – odrzekł Andrew, wchodząc do składziku. – To powinno wystarczyć – rzekł, unosząc na próbę wypełnioną po brzegi skrzynkę na narzędzia, którą zauważył na stole.

– Broody będzie się zastanawiał, co się stało z jego narzędziami.

– Domyśli się, jeśli jest tak, jak pani uważa, i to on wynajął tego mordercę. Nasz napastnik zostawiłby nas w domu, skończywszy swoją ponurą pracę. Jeśli to sprawka Broody’ego, oczywiście.

– Przysięgam panu, że to nie Knopf.

– Zobaczymy. Proszę wziąć ten sznur i skończmy już z tym.



Wrócili na nabrzeże. Andrew postawił lampę naftową koło zwłok. Jeden koniec sznura przyczepił do rączki w skrzynce na narzędzia, drugim okręcił ciało.

– Proszę mi pomóc! – powiedział.

Suzie skrzywiła się z niesmakiem, podnosząc zwłoki za nogi, podczas gdy Andrew złapał

je za ramiona. Włożyli ciało do łodzi, i Andrew usiadł przy silniku.

– Niech pani tu czeka z zapaloną lampą, żebym wiedział, gdzie mam wrócić.

Suzie postawiła lampę na końcu pomostu i wskoczyła do łodzi.

– Płynę z panem!

– Widzę! – westchnął Andrew, włączając silnik.

Wy płynęli na jezioro.

– Jeśli lampa zgaśnie, nigdy nie znajdziemy tego pomostu! – rzucił zirytowany, spoglądając do tyłu.

Światło lampy było coraz słabiej widoczne. Andrew wyłączył silnik, łódka płynęła jeszcze trochę siłą rozpędu i stanęła.

Wyrzucili ciało i skrzynię z narzędziami za burtę. Zwłoki powoli znikły w czarnej otchłani.

– Powinniśmy go obciążyć w nogach! – powiedziała Suzie, patrząc na ostatnie fale poruszające taflę jeziora.

– Dlaczego?

– Bo teraz, jak opadnie na dno, będzie w pozycji głową na dół. „Trzeba być nienormalnym, żeby zrobić coś takiego!” – dodała, znów przedrzeźniając kelnerkę z Dixie Lee.

– Pani cynizm mnie dobija.

– Niech pan nie robi takiej ponurej miny, to przecież ja go zabiłam! Wracajmy, zanim wiatr zgasi lampę.

Trasę z powrotem odbyli w całkowitym milczeniu. Zimny wiatr, który uderzał ich w twarze, niósł jednocześnie z sobą zapach śniegu i drzew iglastych, zimowy bukiet powstały w tutejszych lasach, który ich nieco orzeźwił.

– Syn Broody’ego nigdy nie zamierzał przywieźć nam zapasów jedzenia – rzekła Suzie, wchodząc do domu.

Andrew zdmuchnął płomień lampy naftowej, odstawił ją na miejsce i poszedł do kuchni.

– Po tym wszystkim jest pani jeszcze głodna? – spytał, myjąc ręce.

– A pan nie?

– Zupełnie nie.

– W takim razie z pewnością nie zechce pan połowy? – spytała Suzie, wyjmując zbożowy batonik z kieszeni płaszcza.

Odgryzła łakomie kawałek i przeżuwała go, obserwując Andrew, po czym wyjęła z kieszeni drugi i podała mu.

– Wydaje mi się, że jedyne, co nam pozostaje, to położyć się spać. Jeśli to ma odciążyć pana sumienie, jutro pójdziemy na policję – powiedziała i weszła po schodach na górę, do sypialni.

Andrew dołączył do niej kilka chwil później. Leżała na łóżku kompletnie naga. Rozebrał

się i położył na niej, podniecony i niezręczny. Ciepło jej ciała obudziło jego pragnienie, poczuła jego członek na swoim podbrzuszu. Objęła Andrew i polizała go w szyję.

Andrew przesuwając wargami po jej skórze, całował piersi, ramiona i usta. Ścisnęła go udami i ręką wprowadziła do swego wnętrza. Kiedy wsuwał się w nią, odpychała go i natychmiast przyciągała z powrotem. Ich namiętne szybkie oddechy zmieszały się w jeden, odpędzając na chwilę wspomnienie makabrycznego wydarzenia. Teraz Suzie usiadła na nim, wygięła się do tyłu i oparła rękami o jego uda, które mocno ścisnęła. Brzuch jej tańczył, a piersi wznosiły się i opadały ciężko. Krzyknęła głucho, gdy Andrew osiągnął w niej rozkosz.

Położyła się obok niego, on wziął jej dłoń i podniósł do ust. Ale Suzie

zerwała się i znikła w łazience.

Kiedy wróciła do sypialni, Andrew nie było. Usłyszała jego kroki w salonie. Wślizgnęła się pod prześcieradła, zgasiła światło i przygryzła róg poduszki, żeby nie było słychać, jak płacze.



Ktoś walił gdzieś w pobliżu młotem albo czymś ciężkim. Otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że leży w łóżku. Walenie nie ustawało. Ubrała się szybko i zeszła na dół.

Andrew stał w kominku, widziała tylko jego nogi i fragment pleców.

– Czy pan nigdy nie śpi? – spytała, ziewając.

– Śpię krótko, ale intensywnie – mruknął zrzędliwie, wciąż uderzając młotem.

– Mogę wiedzieć, co pan robi?

– Nie mogłem zasnąć, więc znalazłem sobie zajęcie, ale mało tu widać, co nie ułatwia mi zadania.

Suzie podeszła do drzwi wejściowych, zdjęła z haka lampę naftową, podpaliła knot i postawiła ją w palenisku.

– Tak lepiej?

– Dużo lepiej! – odrzekł Andrew, podając jej zupełnie nieosmoloną cegłę, którą właśnie wyjął ze ściany kanału kominowego.

– Ma pan zamiar zdemontować cały komin?

Usłyszała jego gderliwy głos, jakaś cegła spadła i rozbiła się.

– Proszę podnieść lampę! – rzucił rozkazująco.

Suzie postarała się wykonać polecenie jak najlepiej.

Andrew dał jej znak, żeby się posunęła. Schylił się i wygramolił na zewnątrz. Suzie patrzyła na niego uważnie.

– Co?

– Nic. Kochałam się z facetem, który woli noc spędzić w kominku niż ze mną w łóżku.

Ale poza tym nic.

– Proszę! – mruknął Andrew, wręczając jej kopertę zapakowaną w brązowy papier.

– Co to takiego?! – wykrzyknęła zdumiona.

– Poszukam noża i zaraz się dowiemy.

Suzie poszła za nim do kuchni. Usiedli przy stole.

W paczce znajdowały się zdjęcia Liliane, zrobione na pewno przez mężczyznę, z którym miała sekretny romans na tej odległej wyspie należącej do Parku Narodowego Adirondack, jakaś partytura i koperta, ręcznie zaadresowana do Mathilde.

Suzie chwyciła kopertę.

– Nie lepiej oddać ten list adresatce? – spytał Andrew.

– Rok po pamiętnym skoku do wody w porcie w Bostonie mama powtórzyła wyczyn.

Tym razem nie było w pobliżu patrolu policji.

Odkleiła kopertę i rozłożyła list.

Mathilde,

po wyspie, na której piszę do Ciebie, przechadzała się kobieta niepodobna do Twojej matki. Kochała mężczyznę, który kochał ją znacznie mniej i który dziś w południe odszedł od niej na zawsze.

Nie myśl, że zdradzałam Twego ojca. Twój ojciec zrobił mi najpiękniejszy podarunek, jaki mogłam otrzymać od życia, dał mi Ciebie. Ty jesteś moim największym szczęściem. Miałaś pięć lat, gdy przypadkowo zajrzałam do sypialni. Leżał w naszym łóżku z kimś innym. Musiało minąć trochę czasu, lecz wybaczyłam mu w dniu, gdy zakochałam się sama. Zrozumiałam wówczas, że uporczywe przestrzeganie konwenansów zmieniło go w niewolnika własnego stylu życia. Może kiedyś świat nauczy się tolerancji, tak

jak nauczyłam się jej ja? Nie można potępiać tych, którzy kochają.

W domu, w którym do Ciebie piszę, spacerował mężczyzna, który nie był Twoim ojcem.

Mężczyzna, który mówił do mnie to, co zawsze chciałam usłyszeć, mówił o przyszłości, o dzieleniu bogactw, o polityce w służbie ludu, a nie w służbie rządzących. Zaufałam mu, zapomniałam o rozgrywkach partyjnych. Uwierzyłam w jego zapal, pasję i szczerość.

Nie da się zwalczyć pragnienia władzy. Ta żądza niszczy najpiękniejsze intencje.

Słyszałam tyle intymnych tajemnic, musiałam przemilczeć tyle kłamstw... Aż wreszcie pewnego dnia moje zbyt ciekawskie oczy przeczytały to, czego, być może, nigdy nie powinny przeczytać.

Ludzie władzy najpierw zdobywają twoje zaufanie, a potem zamykają cię w świecie iluzji.

Ten świat, podobny do rzeczywistości jak dwie krople wody, jest delikatny jak bańka mydlana.

Może go zburzyć mały błąd i wtedy prawda, krzycząca prawda, wychodzi na wierzch.

Muszę działać do końca, Mathilde, jest za późno, żeby się wycofać. Jeśli mi się nie uda, będziesz słyszała opowieści o swojej matce, w które nie wolno Ci uwierzyć.

Myślę o tym wszystkim i piszę do Ciebie te słowa, modląc się, abyś nigdy nie musiała czytać tego listu.

Jutro powierzę memu jednemu przyjacielowi paczkę, prosząc go, aby Ci ją wręczył, gdy będziesz w wieku, aby rozumieć i działać. Znajdziesz w tej paczce partyturę, którą zrozumiesz, i klucz. Jeśli przydarzy mi się najgorsze, przypomnij sobie, gdy będziesz za mną tęsknić, miejsce, gdzie nieraz ukradkiem wyprawialiśmy się, kiedy Twój ojciec wyjeżdżał. Tam mnie oplakuj.

Działaj według własnego sumienia. Od Ciebie zależy, czy pójdziesz moją drogą, czy nie.

Niczego Ci nie narzucam.

Jeśli zdecydujesz się pójść moją drogą, pamiętaj, nikomu nie ufaj!

Kocham Cię bardzo, moja córeczko, tak bardzo, że trudno Ci będzie to zrozumieć, dopóki sama nie będziesz miała dziecka.

Wybacz mi moją nieobecność, wybacz, że wybrałam drogę, która pozbawiła Cię matki.

Myśl, że mam Cię już nie ujrzeć, jest tak okrutna, że wydaje się nie do wytrzymania, ale pewne sprawy znaczą więcej niż życie. Chcę wierzyć, że na moim miejscu postąpiłabyś tak samo.

Gdziekolwiek będę od tej chwili, wiedz, że nigdy nie przestanę Cię kochać. Jesteś we mnie na wieczność.

Byłaś moją racją bytu.

Kocham Cię,

Twoja mama

Suzie podała list Andrew, który również go przeczytał.

– Tak bardzo chciałabym ją poznać – wyszeptała.

– Czy domyśla się pani, co to za miejsce, o którym ona pisze?

– Nie, nie mam pojęcia, gdzie to może być.

– A partytura, będzie pani umiała ją odczytać?

– Dawno już nie grałam. Odegrać jej raczej nie byłabym w stanie, ale prawdopodobnie odczytam.

– Kiedy ci, którzy na nas polują, zorientują się, że ponieśli porażkę, nie zostanie nam wiele czasu, proszę więc spróbować przypomnieć sobie to miejsce. Mathilde nigdy pani nie mówiła, gdzie ją matka potajemnie zabierała?

– Pan też teraz nazywa ją Mathilde? Mówiłam już, nic na ten temat nie wiem, ale może Knopf... Chciałabym, żeby to on był tym przyjacielem, któremu babcia zamierzała powierzyć tę paczkę.

– Jeśli znalazłem ją tutaj, to znaczy, że w ostatniej chwili się rozmyśliła!

– Po prostu nie miała już czasu, to wszystko.

Andrew rozłożył na stole zdjęcia znalezione w paczce. Były to fotografie Liliane zrobione na wyspie. Na jednej leżała na plaży, na innej z siekierką w dłoni stała przed szopą na drewno, na jeszcze innej ustawiała na ganku doniczki z kwiatami albo ze śmieszoną miną klęczała przed kominkiem, starając się rozpalić ogień. Było jeszcze zdjęcie, zrobione w łazience, na którym stała nago plecami do fotografa. W ostatniej chwili odwróciła głowę, pewnie na odgłos pstryknięcia aparatu.

– Chce pan, żebym tu stała i patrzyła, jak się pan gapi na moją nagą babcie? – spytała Suzie, wyrywając to ostatnie zdjęcie z dłoni Andrew.

– Kiedy to zdjęcie zostało zrobione, pani jeszcze nie było na świecie! – usprawiedliwił

się.

– Była nieźle zbudowana! – stwierdziła Suzie.

– Nie ma jej pani czego zazdrościć.

Suzie pochyliła się nad fotografią, mrużąc oczy.

– Niech pan spojrzy – rzekła – w lustrze nad umywalką widać odbicie twarzy tego człowieka.

Andrew wziął zdjęcie i uważnie się mu przypatrzył.

– Może... Ale bardzo niewyraźnie.

– W salonie na stoliku koło kanapy leży szkło powiększające! – wykrzyknęła Suzie.

Wstała, zabrała zdjęcie z rąk Andrew i pobiegła do salonu. Andrew czekał na nią chwilę, ale ponieważ nie wracała, poszedł za nią.

Suzie przyglądała się zdjęciu przez lupę.

– Teraz rozumiem, dlaczego Knopf mówił, że moja babka była bardzo nowoczesna jak na swoje czasy.

– Dlaczego? – spytał Andrew, siadając obok niej.

– Jej kochanek był od niej młodszy o co najmniej dwadzieścia lat!

– Proszę mi to pokazać! – Andrew wyjął lupę z rąk Suzie.

– A teraz ja z kolei rozumiem, co sugerował Broody, mówiąc o nim, że „dostał się w najwyższe kręgi władzy”... – wyszeptał Andrew zdumiony. – Mężczyzna z tego zdjęcia trzydzieści kilka lat później stał się najbardziej wpływowym wiceprezydentem w całej historii Stanów Zjednoczonych, a z pewnością najgroźniejszym.

– On jeszcze żyje?

– Tak, ma problemy z sercem, ale żyje.

– Muszę koniecznie z nim porozmawiać.

– Jest pani równie szalona, co naiwna. Właściwie jest pani najbardziej naiwną kobietą, jaką zdarzyło mi się spotkać w całym moim życiu – zirytował się Andrew.

– A dużo pan spotkał tych kobiet?

– Nie ma pani najmniejszego pojęcia, co za charakter kryje się za tą dobroduszną twarzą, i załóżę się, że pani babcia uświadomiła to sobie w dniu pamiętnej kłótni.

– Kochali się, on z pewnością coś o niej wie!

– Coś o niej wie? Niech mi pani pozwoli sobie opowiedzieć coś o nim: wszedł do polityki w wieku dwudziestu siedmiu lat. Jego mentorem był Ronald Rumsfeld, najbardziej kontrowersyjny sekretarz obrony. Połączyły ich niezniszczalne więzy. Dwanaście lat po tym, gdy zrobione zostało to zdjęcie, kochanek pani babki został kongresmenem. Jako kongresmen sprzeciwiał się sankcjom ekonomicznym wymierzonym przeciwko RPA w epoce apartheidu, jak również rezolucji Kongresu nawołującej rząd południowoafrykański do uwolnienia Nelsona Mandeli, a także głosował przeciwko utworzeniu Departamentu Stanu do spraw Edukacji – uważał, że finansowanie tej instytucji kosztowałoby zbyt wiele. Gdy został liderem Partii Republikańskiej, zajął miejsce swego mentora na stanowisku sekretarza obrony. Kierował

inwazją wojskową na Panamę i operacją „Pustynna burza”. To przekracza wyobrażenie, gdy się pomyśli, że wcześniej zrobił wszystko, by uniknąć służby wojskowej i wysłania do Wietnamu.

Kiedy do władzy doszli demokraci, opuścił scenę polityczną i został dyrektorem jednego z największych koncernów naftowych, międzynarodowej korporacji, która za jego zarządu stworzyła ukryte filie o profilu paramilitarnym. Po dziesięciu latach zajmowania tego jakże odpowiedzialnego stanowiska były kochanek pani babki podał się do dymisji i wówczas został

powołany na urząd wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, inkasując na odchodnym odprawę w wysokości trzystu milionów dolarów. A ponieważ był naprawdę sprytny, załatwił sobie również pokaźny pakiet opcji udziałów swojej byłej firmy. Głupio by zrobił, gdyby z nich zrezygnował, gdyż po tym, jak skłamał w sprawie składów broni masowego rażenia w Iraku i powiązań między Al-Kaidą i Saddamem Husajnem, użył wszystkich swoich wpływów, żeby wywołać tam wojnę. Pretekstem była konieczność riposty na zamach z jedenastego września.

Organizacja tej wojny w większości podlegała tajnym służbom

amerykańskim, które zatrudniały pracowników jego dawnej firmy. A akcje koncernu musiały pójść bardzo w górę, ponieważ w czasie, gdy był wiceprezydentem, jego firma podpisała kontrakty rządowe na kwoty powyżej siedmiu miliardów dolarów. To on jako głównodowodzący operacji wojskowych rozdawał te lukratywne umowy. I na koniec, jeśli jest w ogóle jakiś koniec jego działań, podczas gdy zasiadał

w Narodowej Komisji do spraw Rozwoju Energii, był bezpośrednio zamieszany w sprawę Enronu – jeden z największych skandali związanych z przemysłem naftowym naszych czasów.

Aha, byłbym zapomniał, jest podejrzewany o to, że to on zdekspirował Valerie Plame, tajną agentkę CIA, gdyż informacja o tym dostała się do prasy z powodu przecieku w Białym Domu.

Valerie Plame była żoną ambasadora Stanów Zjednoczonych i jako jedna z pierwszych przeciwniczek wojny w Iraku twierdziła, że raporty przedstawiane Kongresowi na temat istnienia broni masowego rażenia w tym kraju były stekiem bzdur i że dowody sfalszowano. Wciąż chce się pani z nim spotkać i porozmawiać o babci?

– Skąd pan to wszystko wie?

– Proszę pani, dyplomu dziennikarskiego nie dostałem w prezencie – odpowiedział

Andrew zirytowany. – Ten człowiek był jednym z trzech „jastrzębi” Białego Domu. I niech mi pani wierzy, to porównanie z pewnością nie mogło się podobać obrońcom dzikich gatunków ptaków.

– Jest pan pewien, że to on jest na tym zdjęciu?

– Chyba że ma brata bliźniaka, ale o tym byłoby raczej wiadomo. Dobra, złożmy wszystko z powrotem i spróbujmy przespać się przez te dwie godziny, które zostały do świtu, bo musimy stąd zmykać z samego rana.

– Czy to aż tak poważna sprawa?

– Nie wiem jeszcze, w co się wplątała pani babka, ale wdepnęliśmy w sam środek tego bagna, a proszę mi wierzyć, że nie mamy do czynienia z amatorami.

– Czy pan myśli, że on mógł być współnikiem mojej babki?

Andrew zastanowił się chwilę.

– To nie zgadzałyby się z relacją o ich kłótni, jaką przedstawił nam Broody – odrzekł.

– Mógł stchórzyć w ostatniej chwili... Może nawet to on ją wydał.

– Nic by mnie nie zdziwiło z jego strony, ale to dobrze, że wreszcie bierze pani pod uwagę możliwość, że pani babka mogła zdradzić ojczyznę.

– Momentami nienawidzę pana, Stilman! – powiedziała Suzie.

– Prosiła mnie pani o pomoc w odkryciu prawdy, a nie o to, żebym był miły!

11

Po kilku godzinach przespanych na kanapie Andrew obudził się o świcie i natychmiast dotknął ramienia Suzie, która spała obok, na podłodze.

Pogasili za sobą wszystkie światła i Suzie zamknęła na klucz drzwi do domu swojej babki.

Weszli na ścieżkę prowadzącą do przystani. Znow zaczął sypać śnieg i topniejące na powierzchni jeziora płatki sprawiły, że przez chwilę świat wyglądał jak z bajki.

Andrew pomógł Suzie usadowić się w łódce.

– Dziękuję, że pan tu ze mną przyjechał! – powiedziała, siadając na ławeczce.

Płynęli w milczeniu, słycać było tylko cichy warkot małego motoru i plusk rozcinanej dziobem wody. Suzie nie spuszczała oczu z oddalającej się wyspy. Łódka oddalała się od Schroon Lake. Przybili do brzegu przy trakcie, który Andrew zauważył z daleka. Natychmiast wyciągnął łódź na brzeg.

Przeszli przez jakiś lasek. Suzie, obojętna na śnieg i na szczypiący mróz, szła mechanicznie, jakby część siebie zostawiła na wyspie.

Po godzinnym marszu dotarli do głównej drogi. Andrew podniósł rękę. Pierwsza przejeżdżająca ciężarówka od razu przyhamowała. Kierowca zaprosił ich do środka.

Nie zadawał im żadnych pytań. W tym regionie nikt nikogo o nic nie wypytywał, a poza tym nie było mowy, żeby zostawiono tu bez pomocy dwoje podróżnych zagubionych w zimowym krajobrazie.

Okazało się, że ciężarówka, która ich zabrała, jedzie na północ. Andrew i Suzie chcieli jechać na południe. Kierowca porozumiał się z kolegami przez CB-radio, żeby dowiedzieć się, czy przypadkiem któryś z nich nie jedzie do Nowego Jorku.

Przesiedli się do innej ciężarówki na stacji benzynowej niecałe dziesięć mil od granicy z Kanadą. Andrew pomyślał, że może lepiej by zrobili, gdyby od razu przekroczyli granicę.

Nowy kierowca nie był bardziej rozmowny niż poprzedni. Andrew i Suzie spali przez całe osiem godzin podróży. Wyszli z ciężarówki przy nabrzeżu Jersey City, niedaleko składów magazynowych. Po drugiej stronie rzeki Hudson w zapadającej nocy błyszczały światła Nowego Jorku.

– Jak dobrze wrócić do siebie do domu – rzekł Andrew.

Wszedli na prom i wyszli na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ponieważ było bardzo zimno, zostali zupełnie sami.

– Coś mi się tu nie zgadza... – odezwał się Andrew. – Morton mieszka niecałe czterdzieści mil od tej wyspy, nie chce mi się wierzyć, że ciekawość nigdy go tam nie zagnała.

– Skąd pan wie, że nie?

– Nie znalazłem w jego notatkach niczego na ten temat. Muszę do niego zatelefonować, żeby się upewnić.

– Co to nam da?

– To te notatki naprowadziły mnie na ślad domu pani babki. On musi wiedzieć więcej, niż mi powiedział.

– A ja muszę zadzwonić do Knopfa – rzekła Suzie.

– Proszę pamiętać o radzie, jaką babka dała pani matce na koniec listu. Nie ufać nikomu.

Powinna pani wziąć to do siebie. Dziś pójdziemy na noc do hotelu, mam przy sobie gotówkę.

Proszę nie włączać komórki.

– Jest pan do tego stopnia nieufny?

– Wczoraj po południu na przystani nie zachowałem ostrożności i bardzo tego potem żałowałem!

– A jutro?

– Zastanawiałem się nad tym przez całą noc. Romans pani babki, być może, przypieczętował jej los, ale nie chce mi się wierzyć, że działała na własną zgubę. Jeśli ktoś tak zaciekle nas tropi, to z innych powodów.

Domyślam się przynajmniej jednego.

Prom przybił do portu w South Seaport. Andrew i Suzie wzięli taksówkę i kazali się zawieźć do Marriotta, którego bar Andrew znał bardzo dobrze.

Ledwo weszli do pokoju, postanowił zejść na dół. Wy tłumaczył to koniecznością zatelefonowania.

– Dręczy pana brak alkoholu? – spytała Suzie.

– Mam pragnienie, to wszystko.

– Mathilde mówiła to samo, zanim szła się upić – ciągnęła Suzie, otwierając minibarek. – Ona też miała pragnienie! Byłam wtedy mała, biegłam więc do kuchni przynieść jej coś do picia.

Suzie wyjęła z barku puszkę napoju gazowanego i rzuciła ją Andrew, który chwycił ją w locie.

– Mama brała ode mnie szklankę z coca-colą i stawiała na pierwszym meblu, który miała pod ręką. Głaskała mnie po policzku, uśmiechając się pobłażliwie, i wychodziła z domu.

Podobno ma pan pragnienie?

Andrew pobawił się chwilę puszką, po czym postawił ją na kredensie gwałtownym ruchem. Wyszedł, trzaskając drzwiami.



Z windy skierował się prosto do baru. Barman przywitał go i podał mu fernet-brance z coca-colą, Andrew wypił jednym haustem. Barman przygotował mu drugiego drinka, ale Andrew go powstrzymał.

– Możesz mi pożyczyć swoją komórkę? Bateria mi siadła. To telefon miejscowy.

Barman podał mu telefon. Andrew trzy razy wybierał numer Bena Mortona, bezskutecznie. A przecież Morton powiedział mu, że można go zastać w domu każdego wieczoru. Poza tym, jak Andrew się zorientował podczas swojej u niego wizyty, było mało prawdopodobne, żeby stary reporter wyszedł gdzieś pohulać. Andrew zaczął się niepokoić. Dom stał na uboczu, a jeśli coś się stało?

Zadzwoił do informacji, żeby dowiedzieć się o numer stacji benzynowej

w Tunbridge w Vermoncie. Telefonistka zaproponowała, że od razu go połączy.

Właściciel stacji pamiętał Andrew i chciał się dowiedzieć, w jakiej atmosferze odbyło się jego spotkanie z tym starym bęcwałem Mortonem. Andrew wyjaśnił, że właśnie próbuje się do niego dodzwonić i niepokoi go, że tamten nie odpowiada.

Tak długo się upierał, aż w końcu właściciel stacji obiecał pójść rankiem i sprawdzić, jak czuje się jego śmiertelny wróg, ale dodał, że nawet jeśli okaże się, że tamten zmarł na zawał, na pewno nie pójdzie na pogrzeb.

Andrew zawahał się chwilę, bojąc się zdradzić sekret, ale w końcu nie mógł się oprzeć i wyjawiał swemu rozmówcy, że Morton nigdy nie spał z jego siostrą. Właściciel stacji odrzekł, że wcale go to nie dziwi, ponieważ jest jedynakiem.



Telefon dzwonił i dzwonił. Doprowadzona do ostateczności Suzie wyszła z wanny i odebrała.

– Co pani robi, do diabła, telefonuję do pani już chyba dziesiąty raz!

– Ubieram się.

– Czekam na panią na dole i jestem bardzo głodny! – warknął Andrew i rozłączył się.

Suzie znalazła go przy stoliku pod oknem. Ledwo usiadła, kelner postawił przed nią talerz spaghetti, a przed Andrew befsztyk.

– To nie życie osobiste pani babki, ale dokumenty są źródłem naszych wszystkich problemów.

– Jakie znowu dokumenty?

– Te, które pani babka miała niby przekazać na Wschód.

– Z zadowoleniem zauważam, że nie skazał jej pan definitywnie.

– Już pani mówiłem, ja nie zakładam niczego a priori. To działa w obie strony. Nie znaleźli przy niej żadnych dokumentów, dlatego Morton, jak zresztą żaden inny dziennikarz w tamtym okresie, nie mógł ich widzieć. I oni

wciąż jeszcze szukają tych dokumentów albo raczej umierają ze strachu, że ktoś położy na nich łapę przed nimi. Niech się pani chwileczkę zastanowi! Jaką wartość miałyby obecnie informacje o strategicznych pozycjach armii amerykańskiej podczas wojny, która skończyła się prawie czterdzieści lat temu? Nie sądzę, żeby w planach Pentagonu była kolejna masakra mieszkańców My Lai. To, co pani babka chciała przekazać na drugą stronę żelaznej kurtyny, musiało dotyczyć czegoś innego. Pozostaje dowiedzieć się, co to konkretnie było i co zamierzała zrobić z tymi informacjami.

– To mogłoby się zgadzać ze słowami, jakimi zwróciła się do kochanka w chwili kłótni...

że zamierza za wszelką cenę doprowadzić sprawę do końca.

– Ale do jakiego końca? – spytał Andrew.

I nagle, kierowany niewiadomą siłą, Andrew odwrócił głowę i wyjrzał przez okno baru.

Na ulicy stała Valérie. W rękę trzymała parasolkę i patrzyła na niego i na Suzie. Uśmiechnęła się nieśmiało i poszła swoją drogą.

– Na co pan czeka? – spytała Suzie.

Andrew zerwał się na równe nogi i wybiegł na ulicę. Valérie znikła za rogiem. Pobiegł za nią i kiedy ją dogonił, otwierała drzwi taksówki. Odwróciła się do niego i znów się uśmiechnęła.

– To nie to, co myślisz – rzekł, podchodząc do niej.

– Chodzi ci o bar czy o twoją znajomą? – spytała Valérie.

– O jedno i o drugie. Już nie piję i jestem cały czas sam.

– To twoje życie, Andrew – powiedziała Valérie wyraźnie. – Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać.

Andrew nie wiedział, co odpowiedzieć. Marzył o tej chwili całe noce, a nie umiał

wydusić z siebie jednego rozsądnego słowa.

– Wyglądasz cudownie – wydukał wreszcie.

– Ty również wyglądasz nieźle – odparła.

Kierowca taksówki odwrócił się i spojrzał na nich niecierpliwie.

– Muszę już jechać – rzekła Valérie. – Wezwali mnie do wypadku.

– Rozumiem.

– Wszystko u ciebie dobrze?

– Chyba tak.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Bardzo to dziwne, spotkać cię tutaj... – rzekł Andrew zdezorientowany.

– Tak, dziwne.

Valérie wsiadła do taksówki i zamknęła za sobą drzwi.

Andrew patrzył, jak taksówka się oddala, a potem się odwrócił, żeby pójść krótszą drogą do baru. Nie zauważył, że Valérie też patrzyła na niego przez tylną szybę samochodu.



Wrócił do baru i usiadł przy stoliku. Suzie kończyła swoje danie.

– Jest dużo ładniejsza niż na zdjęciu – powiedziała wreszcie, przerywając ciszę.

Andrew milczał.

– Czy często pan tu przychodzi?

– Tak, i to właśnie tutaj wpadliśmy kiedyś na siebie.

– Często pan tu wracał, kiedy się rozstaliście?

– Byłem tu tylko raz, po wyjściu ze szpitala.

– Miejsce pracy pańskiej byłej żony znajduje się gdzieś w pobliżu?

– Nie, na drugim końcu miasta.

– I myśli pan, że przechodziła tędy przypadkiem?

– Przypadek, wie pani...

– Może nie tylko pan szuka wspomnień w cieniach odbijających się w oknach. Wierzy pan w przeznaczenie?

– Jak jest mi z tym wygodnie, to wierzę.

– Niech więc pan odda się w ręce przeznaczenia – powiedziała Suzie i wstała od stołu.

– Myśli pani, że...

– Że wyglądała na zazdrosną, gdy mnie zobaczyła?

– Nie o to chciałem zapytać.

– Proszę więc już o nic nie pytać i chodźmy spać, jestem strasznie śpiąca.

W windzie, która wiozła ich na dwudzieste piętro, Suzie objęła Andrew za szyję.

– Chciałabym kiedyś spotkać takiego faceta jak pan, Stilman.

– Wydaje mi się, że właśnie go pani spotkała.

– Chciałabym go spotkać w odpowiedniej chwili, to miałam na myśli – dodała Suzie, gdy drzwi kabiny się rozsunęły.

Suzie weszła do pokoju, złapała poduszkę i koc i poszła ułożyć się pod oknem.



Obudził ją hałas na ulicy. Otworzyła oczy. Andrew nie było. Ubrała się i zeszła do holu.

Bar był zamknięty, Andrew nie było również w restauracji.

Zadzwoiła do „New York Timesa”, recepcjonistka powiedziała jej, że nie widziała Stilmana już od kilku dni. Było za wcześnie, żeby udać się do biblioteki, i Suzie zirytowała się na samą siebie, że nie wie, co ma robić podczas nieobecności Andrew. Wróciła do pokoju, otworzyła torbę podróżną, przeczytała kolejny raz list od Liliane, potem przejrzała partyturę.

Wreszcie wiedziała, czym ma się zająć tego ranka.



Simon chodził tam i z powrotem między oknem a drzwiami swego biura, rzucając wściekle spojrzenia na Andrew.

– Dostanę przez ciebie morskiej choroby, jeśli nie przestaniesz tak

krażyć! – rzucił

Andrew.

– Wystarczy, żebym zostawił cię samego na trzy dni i już tak narozrabiasz, że nie wiadomo, co zrobić z tym całym bajzlem!

– Tak jak myślałem, jesteś inkarnacją mojej matki. Nie przyszedłem do ciebie, żebyś mi prawił morały, ale żebyś pożyczył trochę forsy.

– To tak poważne, że nie możesz użyć swojej karty kredytowej?

– Dopóki nie wiem, z kim mam do czynienia, wolę uważać. A poza tym potrzebuję trochę więcej, niż mam na koncie.

Simon usiadł przy biurku, ale od razu wstał i podszedł do okna.

– Błagam cię, nie wstawaj! Posłuchaj, Simonie, nie ja pierwszy i nie ostatni ściągnąłem na siebie gniew władzy, szukając materiałów do reportażu. Ty, zapalony amator samochodów, podejdź do tego jak do wyścigów samochodowych. Celem jest wyprzedzenie wszystkich innych.

Ekipa przeciwnika jest gotowa na wszystko, jestem tego świadom, ale moją bronią jest nakład mojej gazety. Narzekałeś, że topię smutki w fernet-branca z coca-colą, gdy tymczasem od tygodnia nie tknąłem alkoholu i od czasu wypadku nie byłem jeszcze tak zajęty.

– Nie mogę zrozumieć, czy twój cynizm wypływa z chęci zrobienia sobie przyjemności, czy naprawdę stałeś się tak nieodpowiedzialny.

– Naprawdę myślałem o tym, żeby napisać długi artykuł o twoim warsztacie, ale znam moją szefową, ona woli politykę i skandale. Nie wie oczywiście, co traci.

– Ile forsy potrzebujesz?

– Pięć tysięcy, żebym był spokojny. Oddam ci, jak tylko wyjdzie artykuł.

– Nie wiesz nawet, o czym on ma być.

– Nie wiem jeszcze, ale to, w co wszedłem, wystarczająco cuchnie ścierwem, żebym wiedział, że za tym kryje się wielka zwierzyna!

– I jeszcze chcesz gotówkę!

– Wolałbym uniknąć wizyty w banku, a poza tym nie chcę, żeby można było udowodnić, że bierzesz w tym udział.

– Myślę, że to ostatnie już nieaktualne – rzekł Simon, spoglądając przez okno na ulicę.

– Co ty opowiadasz?

– Siedź spokojnie. Jakiś czarny samochód stanął naprzeciwko, a w środku siedzi podejrzany typ.

Andrew podbiegł do okna, żeby sprawdzić, czy ktoś go śledzi, wywołując rozpacz Simona. Jakaś kobieta wyszła z klatki schodowej budynku naprzeciwko, niosąc w ramionach maleńkiego pieska. Szofer otworzył przed nią drzwi samochodu, kobieta wsiadła i ruszyli.

– To na pewno CIA – powiedział Andrew, poklepując Simona po ramieniu – oni dysponują całą brygadą starsuszek z chihuahua do pracy w terenie.

– Śmiej się, śmiej, ten samochód wyglądał podejrzanie i już.

Simon otworzył sejf i wręczył przyjacielowi kopertę.

– Tu jest dziesięć tysięcy, oddasz mi to, czego nie wydasz.

– Mam ci przynieść rachunki?

– Spływaj, zanim zmienię zdanie, i przynajmniej bądź ze mną w kontakcie! Jesteś pewien, że nie mogę jechać z wami?

– Jestem tego pewien.

– Jakoś inaczej się zachowujesz. Czy to ta dziewczyna tak cię zmieniła raptem w ciągu trzech dni?

Andrew spojrział na Simona spod drzwi.

– Wczoraj na ulicy wpadłem na Valérie.

– Wiem, dzwoniła do mnie po powrocie do domu.

– Dzwoniła do ciebie?

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– Co mówiła?

– Pytała, co u mnie słyhać, a potem w rozmowie spytała, czy się z kimś obecnie spotykasz.

– Co jej powiedziałaś?

– Że nie wiem.

– Dlaczego?

– Bo, po pierwsze, to prawda, a po drugie wiedziałem, że wywołam jej zazdrość.

– Jesteś jak pięcioletnie dziecko. Nie mogłeś wymyślić nic lepszego, żeby ją spłoszyć!

– Powiem ci coś, stary. Zajmuj się swoimi artykułami, a jeśli chodzi o psychologię kobiecą, zostaw to mnie.

– Przypomnij mi, od kiedy datuje się twój ostatni związek dłuższy niż dwa tygodnie?

– Spływaj, do cholery, zabierz się wreszcie do roboty! Ja zresztą też mam co robić.



Wróciwszy do hotelu, Andrew zobaczył, że ich pokój jest pusty. Nie chciał dzwonić do Suzie, mając nadzieję, że posłuchała jego wskazówek i wyłączyła komórkę. Zaniepokoiła go myśl, że może poszła do swojego mieszkania. Od poprzedniego wieczoru męczyła go chęć napicia się, a wspomnienie ostatniego łyku fernet-branca z colą podwoiło to pragnienie. Otworzył

minibar i znalazł liścik.

Spotkajmy się w Juilliard School, w sali prób. Niech pan powie, że chce pan rozmawiać z profesorem Colsonem. Do szybkiego. Sue.

Andrew złapał taksówkę i kazał się zawieźć na Sześćdziesiątą Piątą Ulicę.

Kobieta w recepcji powiedziała mu, gdzie znajduje się sala prób, dodając,

że przebywa tam właśnie profesor Colson z jakąś uczennicą i że nie należy mu przeszkadzać. Zanim recepcjonistka zdążyła zaprotestować, Andrew ruszył w tamtym kierunku.

Profesor Colson był mężczyzną około sześćdziesiątki, choć w swoim niemodnym kardiganie z przekrzywioną muszką, z błyszczącym czołem i siwymi sterczącymi z tyłu głowy kosmykami wyglądał znacznie starzej.

Wstał z taboretu stojącego przy pianinie, żeby przywitać Andrew, i poprosił go, żeby usiadł koło Suzie.

– Widzę, że znalazł pan mój liścik! – szepnęła do niego dziewczyna.

– Bardzo sprytny ten pomysł z minibarem.

– Nikt inny oprócz pana by go nie znalazł! – powiedziała, zbliżając do niego twarz, jakby chciała poczuć jego oddech.

– Mogę kontynuować? – spytał profesor.

– Kto to jest? – szepnął Andrew do Suzie.

– Profesor Colson był moim nauczycielem fortepianu, kiedy byłam mała. Teraz już niech pan wreszcie przestanie gadać!

Profesor położył dłonie na klawiaturze i zaczął odgrywać partyturę, która leżała przed nim.

– Rozumiem teraz, dlaczego pani nie zrobiła żadnych postępów – wyszeptał Andrew, zbliżając usta do ucha Suzie.

– Te pięciolinie nie mają żadnego sensu – powiedział zrzędlawie profesor.

– To właśnie wyjaśniałem Suzie przed pana przyjściem. To kakofonia, od której uszy puchną.

– Czy to *Śnieżka*?

– Faktycznie! – wykrzyknął profesor Colson. – Odarta ze swego całego wdzięku, ale to ona. Nie mogę dłużej tego grać, to nieznośne! – dodał, zwracając Suzie partyturę.

– Co ma pan profesor na myśli, mówiąc „odarta ze swego wdzięku”?

– Brak połowy taktów, to wygląda tak, jakby ktoś chciał przerobić to

arcydzieło, skracając je. Zapewniam was, że się nie udało.

– Widzi pan, nie tylko pan ma intuicję – szepnęła Suzie, dość dumna ze swojej inicjatywy.

– Wie pan profesor, gdzie moglibyśmy znaleźć pełną wersję tej opery?

– Oczywiście, w bibliotece. Mogę się postarać dla was o kopię.

Colson poprowadził gości do biblioteki, poprosił bibliotekarza o egzemplarz partytury *Śnieżki* i spytał Suzie, czy jeszcze go potrzebuje.

Suzie zawahała się. Nie chciała zbyt wiele wykorzystywać dawnego nauczyciela.

– Czy mógłby pan profesor przedstawić mi swojego najgorszego ucznia?
– spytała w końcu.

– Co za dziwna prośba – rzekł profesor Colson. – Dlaczego nie chce pani spotkać najlepszego?

– Miałam zawsze słabość do próżniaków – odrzekła.

– No to proszę poszukać Jacka Colmana. Nie wiem, jak on się tutaj dostał, nie ma żadnego talentu do muzyki. Znajdzie go pani zapewne objadającego się w kawiarni – dodał

profesor, spoglądając na zegar. – Mam wykład w jego klasie za pół godziny, a on zawsze przychodzi z tłustymi paluchami. Proszę mi wybaczyć...

– Na pewno mu nic nie powtórzę! – obiecała Suzie, żegnając się z profesorem.

– Ach, wcale nie musi pani tego przemilczeć! – westchnął profesor, odchodząc.



Jack Colman, z pełnymi ustami i wargami białymi od cukru pudru, łakomie oblizywał
palce.

– Uwielbiam próżniaków! – wykrzyknęła Suzie, zbliżając się do niego.

Młody człowiek ze zdziwieniem popatrzył na kobietę, która szła

zdecydowanym krokiem w jego stronę, i odwrócił się, szukając wzrokiem osoby, która mogła zwrócić uwagę tak pięknej istoty. Suzie usiadła naprzeciw niego, urwała kawałek jego ciasta i włożyła sobie do ust. Colman przestał żuć.

– Jack?

Sam fakt, że знаła jego imię, spowodował, że nerwowo przełknął to, co miał w ustach.

– Będę miał jakieś kłopoty? – spytał zaniepokojony na widok Andrew, który usiadł obok Suzie.

– Przyznanie się to zmniejszenie winy o połowę, znasz to powiedzenie! – odpowiedziała Suzie.

– Oddam forszę pod koniec tygodnia, przysięgam! – powiedział Colman.

– A gdybyś oddał dziś wieczór? – rzuciła Suzie z bezczelnością, która zatkała Andrew.

– Nie mogę... Gdybym tylko mógł...

– A gdybyśmy ci to umożliwili? Mam dla ciebie pracę.

– Co mam zrobić? – spytał Colman drżącym głosem.

– Musisz nam pomóc – powiedział Andrew. – Skończ spokojnie jeść tę drożdżówkę, nie chcemy narażać cię na żadne problemy, to Colson nam ciebie polecił.

– Colson o tym wie?

– Posłuchaj, mój chłopcze, nie wiem, o czym mówisz, i nic mnie to nie obchodzi. Ile jesteś winien?

– Dwieście dolarów.

– Możesz je oddać już dziś wieczorem – powiedział Andrew, wyjmując kopertę, którą dał

mu Simon.

Wyjął z niej banknot studolarowy i położył go przed Colmanem, który popatrzył na pieniądze z takim apetytem, z jakim przed chwilą oblizywał swoje palce. Andrew kazał Suzie wręczyć mu obie partytury: tę znaną na

wyspie i tę, którą dostali od Colsona.

– Znasz zabawę w siedem błędów?

– Nie grałem w to od dzieciństwa, ale byłem w tym niezły.

– Tu prawdopodobnie jest więcej niż siedem błędów, ale chodzi o to, żebyś żadnego nie przeoczył. Porównasz te dwie partytury, wyznajdziesz wszystkie brakujące nuty na tej, która jest zapisana na pożółkłym papierze, zastanowisz się i spróbujesz zrozumieć, czy one tworzą sensowną całość, czy też jest coś, cokolwiek, co usprawiedliwia, że je usunięto.

Colman przesunął dłonią po włosach.

– A jeśli mi się uda?

– Dostaniesz drugą studolarówkę.

– Kiedy mam to zrobić?

– Teraz! – powiedziała Suzie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Za pół godziny mam zajęcia.

– Colson cię z nich zwalnia.

– Naprawdę on was do mnie przysłał?

– Daje ci popalić, prawda?

Colman wzniósł oczy do nieba.

– Był kiedyś moim profesorem – powiedziała Suzie. – Jeśli jest dla ciebie surowy, to znaczy, że w ciebie wierzy. Prawdopodobnie wiąże z tobą wielkie nadzieje.

– Poważnie?! – wykrzyknął Colman.

– Jak najpoważniej!

Andrew kiwnął głową, żeby to potwierdzić.

– Dobra, zaraz się do tego zabieram – powiedział Colman, biorąc obydwie partytury. – Mieszkam w akademiku, budynek C, pokój trzysta jedenaście, na drugim piętrze. Odpowiada wam piąta po południu?

Andrew zapisał numer telefonu baru w Marriotcie na swojej wizytówce i wręczył ją Colmanowi.

– Zadzwoń pod ten numer dokładnie o trzeciej po południu, poprosisz mnie i powiesz, na jakim etapie są twoje poszukiwania – rzucił Andrew sucho, żegnając się z chłopakiem uściskiem ręki.

– Jest pan dziennikarzem? – spytał Colman, obracając wizytówkę.

– Zrób to, o co cię prosimy, a po raz pierwszy zakończysz rok akademicki prawdziwym sukcesem! – obiecała Suzie, wstając. Uśmiechnęła się przy tym szeroko i wyjęła mu drożdżówkę z dłoni.



– Ale numer mu pani wycięła! – oburzył się Andrew, kiedy znaleźli się na Sześćdziesiątej Piątej Ulicy.

– Bo zabrałam mu tę bułkę? Nie jadłam dziś śniadania i jestem bardzo głodna.

– Och, niech się pani nie wygłupia, myślę o tym, co mu pani powiedziała o Colsonie i o jego studiach.

– Nie zna się pan na psychologii nieroba. To najpiękniejszy dzień w jego życiu. Po raz pierwszy poczuł się użyteczny, polecono mu misję, do której wybrano akurat jego, a nie nikogo innego.

– Nie znam się również na psychologii kobiecej, wiem... Już mi to kiedyś ktoś wypomniał.

– To na pewno nie byłam ja! – odrzekła Suzie.



Lodowata bryza omiatała esplanadę Rockefeller Center. Knopf siedział na ławce naprzeciwko ślizgawki. Tajemnicą było dla niego, jak w takim zimnie może ludziom sprawiać przyjemność ślizganie się po terenie mniejszym niż niewielki maneż.

Nagle za jego plecami pojawił się Woolford i usiadł przy nim.

– Wyjechałem z domu Mortona, gdy tylko dostałem pański telefon.

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Nie, wyjechali już, kiedy dotarłem na wyspę.

- Razem?
- Tego nie wiem.
- Jak to: nie wie pan! Cholera, Woolford, miał pan ją tu sprowadzić.
- Na pomoście było mnóstwo krwi...

Knopf zacisnął szczęki.

- Jest pan pewien, że już jej tam nie było?
- Nie było jej ani w domu, ani nigdzie indziej.
- Szukał jej pan w wiosce?
- Po tym, co znalazłem na wyspie, wolałem nie zwlekać z przyjazdem tutaj.

– Posprzątał pan?

– Sypał śnieg, nie było potrzeby.

– Zajrzał pan do ich mieszkań?

– Nie wrócili do nich. Teraz już się przygotowałem, pański dziennikarz jest silniejszy niż myślałem, po tym niespodzianym spotkaniu na klatce schodowej...

– A ich komórki?

– Milczą od ich pobytu na wyspie.

– Nie podoba mi się to.

– Czyżby Elliott Broody zaczął działać na własną rękę?

– Dość łatwo go przekupić, ale jest zbyt strachliwy, żeby ze mną zadrzeć.

– Nie ma co się niepokoić, po prostu pewnie zaczynają się pilnować.

– Dziwne byłoby, gdyby zachowali się inaczej.

– Może powinniśmy wziąć kogoś do pomocy?

– Nie trzeba. Dziś jeszcze bardziej niż wczoraj musimy starać się być dyskretni, gdyż najwyraźniej ktoś depta nam po piętach, a dopóki nie wiem, kto to może być... Proszę wrócić do biura i czekać, aż wytropi pan jakiś ich ruch, choćby najmniejszy. Będą w którymś momencie potrzebowali

pieniędzy albo telefonu...

– Skontaktuję się z panem, gdy tylko będę miał coś nowego – powiedział Woolford i wstał.

Knopf popatrzył za nim i zaczekał, aż Woolford zejdzie po schodach, po czym chwycił swoją komórkę.

– No i co?

– Wrócił do hotelu – odpowiedziała jego rozmówczyni.

– Co robił w Juilliard School?

– Kierowca poszedł za nimi, ale ze względu na przeszklone ściany budynku nie udało mu się do niego zbliżyć.

– Dlaczego sama pani za nim nie poszła?

– Stilman zauważył mnie dziś rano przez okno warsztatu swojego przyjaciela, nie chciałam ryzykować.

– Mówiła pani, że kierowca poszedł za nimi?

– Stilman pojechał do Juilliard School sam, ale wyszedł stamtąd z Suzie Walker, musiała na niego czekać.

Knopf spojrział w niebo i westchnął.

– Proszę przyjechać po mnie do Rockefeller Center, chcę usłyszeć sprawozdanie kierowcy z jego własnych ust.



Andrew wyciągnął się na łóżku z rękami pod głowę. Suzie podeszła do stolika nocnego, wysunęła szufladę i spojrzała na znajdującą się w niej Biblię.

– Wierzy pan w Boga?

– Moi rodzice byli wierzący, w każdą niedzielę chodziliśmy na mszę. Ostatni raz uczestniczyłem w mszy na pogrzebie mego ojca. A pani?

– Miesiąc po powrocie do Stanów Zjednoczonych wróciłam do

Baltimore. Kiedy weszłam do mieszkania Shamira, byli tam jego rodzice. Jego ojciec popatrzył na mnie w milczeniu i kiedy dostrzegł moje okaleczone dłonie, spytał, czy zbytnio nie cierpię. Nie potrafię panu powiedzieć czemu, ale tamtego wieczoru pogodziłam się z Bogiem. Poprosiłam matkę Shamira o pozwolenie wzięcia sobie kilku jego rzeczy – kombinezonu roboczego, kurtki i czerwonego szalika, który zawsze zabierał z sobą w góry, to był jego talizman... Za każdym razem, gdy zdobył jakiś szczyt, wiązał szalik na swoim czekanie i patrzył, jak powiewa na wietrze. W ten sposób cieszył się zwycięstwem, odpoczywał i zbierał siły. Nie wziął go na Mont Blanc, zapomnieliśmy o nim, kiedy się pakowaliśmy. Opowiedziałam jego rodzicom historię, której zakończenie znali, ale jego matka chciała jeszcze raz usłyszeć wszystkie szczegóły naszej wspinaczki. Widziałam po jej oczach, że tak długo, jak długo opowiadam, Shamir wciąż dla niej żyje. A potem zamilkłam, ponieważ nie miałam już nic więcej do dodania. Jego matka wstała, wróciła z torbą ubrań należących do Shamira. Pogładziła mnie po policzku, kiedy stałam w progu, i powierzyła mi medalik, który nosiła na szyi. Powiedziała, że gdybym kiedyś wróciła w Alpy, chciałaby, żebym go wrzuciła do tej szczeliny lodowca, w której śpi jej syn, a potem mnie błagała, żebym tak pokierowała swoim życiem, by poświęcenie jej syna było tego warte.

Chciałabym, żeby śmierć nie była tylko długim tępym snem, chciałabym, żeby dusza Shamira gdzieś jednak przetrwała i żeby była szczęśliwa.

Andrew wstał i podszedł do okna. Milczał przez chwilę, po czym powiedział: – Biegłem sobie ścieżką wzdłuż rzeki Hudson, a potem nagle znalazłem się w karetce pogotowia, na progu śmierci. Nie widziałem żadnego światła, żaden anielski głos nie zapraszał

mnie w niebiosa, nie przeżyłem nic z tego, co opowiadał nam ksiądz. Ale widziałem dużo innych rzeczy. Dziś nie wiem już, w co wierzę. Prawdopodobnie wierzę w życie, w strach przed jego utratą, ale choć to może dziwne, nigdy nie odczułem lęku przed zmarnowaniem go. Powinna to pani rozumieć, przecież pani również cudem uniknęła śmierci, szukając dowodów niewinności kobiety, której nawet pani nie знаła.

– Proszę nie porównywać naszych sposobów na życie. Pan ma swoją butelkę, a ja swoją obsesję. Chciałabym mieć babcię, z którą rozmawia się o rzeczach, których nigdy nie powie się rodzicom, osobę, która daje rady, ale

nie prawi morałów. Zależy mi na tym, żeby dowieść jej niewinności po to, aby moje życie nabrało sensu, a nie po to, aby je zniszczyć. W chwili przyjścia na świat dostałam cudze nazwisko. Kiedy nadejdzie kres moich dni, chciałabym, żeby na moim grobie widniało nazwisko Walker i żebym mogła być z niego dumna.

– To było nazwisko jej męża.

– To jest nazwisko, które sobie wybrała. Jej panięskie nazwisko brzmiało McCarthy.

W moich żyłach płynie irlandzka krew.

– Już czas – odezwał się Andrew, spoglądając na zegarek. – Colman za chwilę zadzwoni, chodźmy przedtem coś przegryźć.



Andrew zamówił kanapkę, Suzie zadowolila się napojem gazowanym. Wodziła spojrzeniem od zegara ściennego do telefonu stojącego na kontuarze baru.

– Zadzwoni! – powiedział Andrew, wycierając sobie usta.

W końcu telefon zadzwonił. Barman wręczył słuchawkę Andrew.

– Chcę tysiąc dolców więcej! – usłyszał podniecony głos Colmana.

– Nie umawialiśmy się tak – odpowiedział.

– To, co znalazłem, warte jest dużo więcej niż wasze dwieście.

– Może mi powiedz, o co chodzi, żebym mógł sam osądzić.

– Brakujące nuty nie tworzą żadnego logicznego ciągu, nic nie znaczą.

– To za coś takiego chcesz dopłaty?

– Niech mi pan pozwoli skończyć. Wpadłem na pomysł, żeby porównać je z librettem opery. Porównałem takty, które znikły, z tekstem, któremu akompaniowały. I wówczas pańska zabawa w siedem błędów nabrała sensu. Jestem w trakcie wybierania słów i układania całych zdań, to mrozi krew w żyłach. Wreszcie rozumiem, dlaczego chciał pan rozwiązać ten rebus.

Jeśli informacja, która powoli pojawia się przed moimi oczami, jest prawdziwa, ma pan w ręku news na pierwsze strony wszystkich gazet.

Andrew starał się zachować spokój.

– Zgoda, dostaniesz, ile chcesz. Kiedy skończysz?

– Na moim komputerze połączenie słów z taktami to dziecinna zabawa, powinienem skończyć najpóźniej za godzinę.

– Będziemy u ciebie za dwadzieścia minut, wyślij mi mailem to, co już zrobiłeś, przeczytam w drodze.

– Na pewno mi pan zapłaci?

– Tylko raz daję słowo.

Jack Colman rozłączył się.

12

Andrew poprosił dozorcę kampusu uniwersyteckiego, żeby wskazał mu drogę do mieszkania Colmana.

Suzie weszła przed nim do budynku „C” akademika.

Andrew zapukał do drzwi. Colman pracował pewnie w słuchawkach. Potem zapukała Suzie. Colman wciąż nie odpowiadał. Pchnęła drzwi i weszła do pokoju.

Jack spał z głową opartą na klawiaturze. Zaintrygowana Suzie popatrzyła na Andrew i podeszła bliżej. Dotknęła ramienia Colmana, które bezwładnie opadło. Twarz chłopaka była biała jak prześcieradło.

Suzie krzyknęła. Andrew zakrył jej usta dłonią. Odepchnęła go, chwyciła Colmana za ramiona i potrząsnęła nim. Głowa Jacka kiwała się bezwładnie na klawiaturze, oczy miał wciąż przymknięte, nie było w nich śladu życia.

– Niech pan dzwoni po pogotowie! – jęknęła Suzie.

Andrew przyłożył palec wskazujący do tętnicy szyjnej chłopaka.

– Tak mi przykro, naprawdę! – powiedział ze ściśniętym gardłem.

Suzie uklękła obok Colmana i dotknęła jego nieruchomej dłoni, błagając, żeby się obudził. Andrew zmusił ją, żeby się podniosła.

– Zostawia pani wszędzie odciski palców! Chodźmy, musimy stąd uciekać!

– Mam w nosie odciski palców!

– Stała się rzecz straszna, ale nie możemy mu już pomóc.

Andrew zauważył pod policzkiem Colmana kawałek białej karteczki. Pociągnął za rożek i zobaczył, że to jego własna wizytówka. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Na chwilę zapomniał, że się spieszą.

– Trudno, pal sześć odciski palców – mruknął pod nosem. Zsunął z klawiatury głowę Colmana i na oczach Suzie, która nic nie rozumiała z jego gorączkowych działań, błyskawicznie połączył się ze swoją skrzynką mailową w „New York Timesie”. Wpisał swój login i hasło i wszedł na

stronę maili. Oczom jego ukazało się mnóstwo nieczytanej od wielu dni korespondencji. Ostatni, najnowszy list na samej górze pochodził od Jacka Colmana.

Jack musiał go napisać tuż po ich rozmowie, a potem, padając bezwładnie na klawiaturę, mimowolnie wysłać pocztę.

Andrew zaczął czytać pierwsze linijki, gdy zauważył, że inne maile, jeszcze nieprzeczytane, jeden po drugim znikają z ekranu.

– Ktoś kasuje wiadomości z mojej skrzynki mailowej! – wykrzyknął.

Lista maili zmniejszała się z sekundy na sekundę.

Andrew szybko nacisnął na dwa klawisze jednocześnie. Drukarka Colmana zaczęła mrużyć i do koszyka poniżej wpadła zadrukowana kartka papieru.

Andrew włożył ją do kieszeni, włączył swoją komórkę i zadzwonił pod 911.



W pokoju Colmana zaroilo się od policji. Ratownicy z pogotowia, które natychmiast wezwano, stwierdzili zgon i odjechali. Młody człowiek nie miał żadnych ran, nie było też śladów walki, nigdzie nie znaleziono strzykawki ani w ogóle niczego, co wskazywałoby na napad lub przedawkowanie narkotyków.

Jack Colman zmarł, siedząc przed ekranem komputera, i inspektor, który wysłuchał

zeznań Andrew, stwierdził, że, według niego, chłopak umarł śmiercią naturalną. Niejeden raz się zdarzyło, że młody człowiek umierał nagle wskutek niewykrytej wcześniej wady serca czy tętniaka aorty, przedawkowania amfetaminy czy po prostu z powodu niezdrowego trybu życia.

Studenci nie cofają się obecnie przed niczym, żeby zdać egzaminy! – westchnął. Widział już sporo podobnych przypadków w swojej karierze. Z pewnością potwierdzi to sekcja zwłok. Na razie jednak prosił Suzie i Andrew, żeby nie opuszczali Nowego Jorku i w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zgłosili się na komisariat złożyć oficjalne

zeznania.

Inspektor, zanim pozwolił im wyjść z akademika, zadzwonił do „New York Timesa”

i poprosił do telefonu redaktor naczelną Andrew, żeby upewnić się, iż reporter Stilman faktycznie pracuje nad artykułem na temat Juilliard School i że to w tym właśnie celu umówiony był

dzisiejszego popołudnia z Jackiem Colmanem. Olivia Stern potwierdziła to bez wahania.

Poprosiła tylko inspektora o chwilę rozmowy ze swoim podwładnym. Inspektor wręczył Andrew słuchawkę.

– To chyba jasne, że czekam na pana w redakcji za godzinę – powiedziała.

– Jasne jak słońce! – odrzekł Andrew i oddał komórkę inspektorowi.

– Przepraszam, ale byłem zmuszony sprawdzić pana alibi, taka jest procedura. Ale nie wspomniałem ani słowem o tym, że był tu pan ze swoją narzeczoną.

– Bardzo panu dziękuję! – odrzekł Andrew. – Chociaż to nie jest wbrew naszej procedurze.

Inspektor pozwolił im odejść.



– Dlaczego nic mu pan nie powiedział?! – wykrzyknęła Suzie, kiedy znaleźli się na chodniku.

– Co miałem mu powiedzieć? Że prosząc tego chłopaka o pomoc w znalezieniu brakujących fragmentów opery, wydaliśmy na niego wyrok śmierci? Że prawdopodobnie został

zabity przez zawodowego mordercę i że mamy poważne powody tak uważać, ponieważ dwa dni temu załatwiła pani jego kolegę po fachu? Mam przypomnieć, co się zdarzyło na wyspie? Które z nas naciskało, żeby nie zawiadamiać policji ze strachu, że to uniemożliwi dalszą pracę nad nierozwiązaną zagadką?

– Dobrze, ale w takim razie muszę się porozumieć z Knopfem.

– Proszę zrobić, co pani uważa za słuszne, ja muszę iść na spotkanie z szefową i nie mam pojęcia, co jej naopowiadam, żeby mnie zostawiła w spokoju. Biorę z sobą tekst, nad którym pracował Colman, przejrzę go w redakcji. Widzimy się wieczorem w hotelu. Nie za bardzo mam ochotę zostawiać panią samą, proszę zachować ostrożność i nie włączać komórki.

– Pan swoją włączył!

– Nie miałem innego wyjścia i bardzo żałuję, że musiałem to zrobić.



Andrew musiał przemyśleć w spokoju to wszystko, co się zdarzyło. Postanowił pokonać pieszo dwadzieścia przecznic, które dzieliły go od budynku redakcji „New York Timesa”.

Wchodząc do pierwszego napotkanego baru, zamówił fernet-branca z colą, niestety nie mieli tam jego ulubionego drinka i Andrew wyszedł z baru wściekły.

Po drodze wszedł do budki telefonicznej i wybrał numer do San Francisco.

– Mówi Andrew Stilman. Przeszkadzam panu?

– Wszystko zależy od tego, o co mnie pan poprosi – odrzekł inspektor Pilguez.

– Przypadkowo znalazłem się na miejscu zbrodni. Zostawiłem sporo odcisków palców, czy mógłby pan wstawić się za mną do pańskich kolegów?

– To znaczy?

– Chciałbym, żeby ktoś taki jak pan zapewnił ich, że nie jestem człowiekiem, który mógł

zabić studenta. Ofiara miała najwyżej dwadzieścia lat. Potrzebuję spokoju, bo kończę zbierać materiały do ważnego artykułu.

Pilguez milczał. Andrew słyszał w słuchawce jego ciężki oddech.

– A pan, oczywiście, znalazł się na miejscu zbrodni przypadkowo? – powiedział wreszcie swym flegmatycznym tonem.

- No, powiedzmy, że przypadkowo.
- Gdzie to miało miejsce?
- W akademiku Juilliard School przy Sześćdziesiątej Piątej Ulicy.
- Domyśla się pan, kto to mógł zrobić?
- Nie, ale to był zawodowiec.
- Dobrze, porozumiem się z kolegami. W co pan się znów wplątał, Stilman?
- Gdybym powiedział, że nie mam pojęcia, uwierzyłyby mi pan?
- A mam wybór? Potrzebuje pan pomocy?
- Nie, chyba nie, w każdym razie jeszcze nie teraz.
- Proszę się nie wahać, bo nudzę się jak mops! – oświadczył Pilguez i rozłączył się.

Andrew ruszył w drogę. Kiedy doszedł do budynku redakcji, podniósł głowę i spojrzał na napis „New York Times” widniejący na fasadzie, kontemplując go przez chwilę. Potem wsunął rękę do kieszeni płaszcza i poszedł dalej.



Knopf czekał na Suzie, czytając gazetę na ławce w parku na Washington Square. Kiedy Suzie przyszła, usiadła obok niego.

- Dlaczego jest pani taka smutna? – spytał Knopf, składając gazetę.
- Nie wiem, co mam robić, Arnoldzie.
- To musi być coś poważnego, skoro mówi pani do mnie po imieniu.
- Powinnam była posłuchać pana i nie jechać na tę wyspę. Zastrzeliłam jakiegoś typa i będę teraz dźwigała z sobą ten ciężar aż do śmierci.
- Zabiła pani tego dziennikarza?
- Nie, jakiegoś typa, który chciał go utopić.
- Więc było to w obronie własnej!
- Kiedy patrzy się na zakrwawioną czaszkę kogoś, kogo się przed chwilą

uśmierciło, to niewiele zmienia.

– To zmienia bardzo wiele, zarówno dla mnie, jak i dla pani. Proszę sobie wyobrazić, że to on patrzy na zakrwawioną czaszkę pani. Co zrobiliście z ciałem?

– Wrzuciliśmy je do jeziora.

– Doskonale!

– No, nie wiem... Może powinnam posłuchać Andrew, który chciał zawiadomić policję...

Ale ja z reguły nie słucham nikogo.

– Spędziłem niewyobrażalną ilość czasu, chroniąc panią nie tylko przed innymi, ale i przed nią samą. Oszczędzę nam obojgu wspomnień o tym, co pani wyrabiała jako zbuntowana nastolatka, ale jeśli pani odciski palców miałyby zostać odkryte na czyichś zwłokach, nawet jeśli akt zabójstwa został popełniony w obronie własnej, byłoby bardzo, bardzo niedobrze.

– Niestety, obawiam się, że tak właśnie się stało.

– Przecież wrzuciliście go do jeziora.

– Tamtego tak. Ale jest jeszcze inny: umówiliśmy się na spotkanie ze studentem Juilliard School i kiedy przyszedliśmy do niego, był martwy.

– I zostawiliście odciski palców w jego pokoju?

– Na poręczy schodów, na klamce drzwi wejściowych, na nim, na jego krześle i biurku...

Ale tym razem zawiadomiliśmy policję. Jutro mam pójść na komisariat złożyć zeznania.

– Z którym inspektorem ma pani spotkanie?

Suzie wręczyła Knopfowi wizytówkę otrzymaną od policjanta.

– Zobaczę, co mi się uda załatwić w tej sprawie i zawiadomię panią! – powiedział Knopf, biorąc do ręki wizytówkę. – Pod warunkiem jednak, że będę mógł się z panią porozumieć! Co się stało z pani komórką, zgubiła ją pani?

– Nie, wyłączyłam.

– To niech ją pani włączy, do cholery! Jak mam panią chronić, jeśli nie wiem, gdzie mam pani szukać? Uprzedzałem panią, Suzie, że grzebanie się w tej sprawie będzie wyjątkowo niebezpieczne.

– Niech pan mi oszczędzi kazania, a poza tym ucieszy się pan, postanowiłam z tym skończyć. Dość już przelewu krwi. To ponad moje siły.

Knopf wziął ją za rękę i delikatnie ją poklepał.

– Jeszcze kilka dni temu, moja droga, te słowa sprawiłyby mi wielką radość.

– A teraz nie?

– Boję się, że jest za późno. Powiem coś pani w sekrecie, Suzie, i proszę mi przysiąc absolutną dyskrecję, przynajmniej w tej chwili. Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego pani nigdy mówić, ale w zaistniałej sytuacji... Pani babka ukradła znacznie ważniejsze dokumenty niż te, które przedstawiały pozycje naszych wojsk w Wietnamie. Taką plotkę rozpuszczono, żeby uspić czujność wroga. Liliane aktywnie przeciwstawiała się użyciu energii jądrowej. Wypadki w Zatoce Świń tylko utwierdziły ją w jej przekonaniach. W jej ręce wpadły mapy z rozmieszczeniem naszych instalacji obronnych, zwłaszcza broni jądrowej, a co ważniejsze, mapy miejsc w Europie, w których w największej tajemnicy zainstalowaliśmy rakiety dalekiego zasięgu z głowicami jądrowymi, na granicy państw bloku wschodniego. Oficjalnie zaprzeczaliśmy ich istnieniu. One wciąż tam są, dziesiątki podziemnych komór w lasach... Dziś Rosja nie jest już naszym wrogiem, ale są oficerowie, którzy uważają, że ujawnienie ich istnienia mogłoby mieć katastrofalne skutki dyplomatyczne. Działania mogące zagrozić bezpieczeństwu narodowemu to nie przelewki.

– To niech im pan powie, że koniec z tym wszystkim, wycofuję się.

– Gdyby to było takie proste! Nie wiem nawet, która agencja chce was wyeliminować, CIA, NSA, wojsko? A moje kontakty, niestety, w moim wieku to brygada dziadków na emeryturze.

Suzie zakreślała stopą koło na wyschniętej ziemi alejki Washington Square.

– Co by pan zrobił na moim miejscu? – spytała, nie patrząc Knopfowi w oczy.

– Jeśli nie można zahamować maszyny pędzącej na ścianę, jedynym rozwiązaniem jest z całych sił pędzić naprzód. Rozwalić przeszkodę w proch, a nie roztrzaskać się o nią. Nawet jeśli pani plany są bardzo rozsądne, nikt w to nie uwierzy. Może gdyby pani znalazła te dokumenty i mi je powierzyła... Mógłbym się nimi posłużyć, żeby wynegocjować warunki pani bezpieczeństwa. W tym kontekście rozumie pani, jak jest ważne, żeby nic nie mówić pani przyjacielowi reporterowi. Wasze cele nie są zbieżne.

– A jeśli to by nie wystarczyło? – spytała Suzie zamyślona.

– Jeśli pani przeciwnicy będą się upierać, zmienimy strategię. Użyjemy pani przyjaciela, on wszystko opublikuje, a kiedy sprawa dostanie się do wiadomości publicznej, stanie się pani nietykalna.

– Dlaczego od razu tego nie zrobić?

– Bo to by tylko wyciągnęło z mroków zapomnienia sprawę pani babki i utrwaliło przekonanie o jej zdradzie. Wolałbym, żeby do tego nie doszło. Ale gdybym miał wybierać między nawet najpoważniejszym incydem dyplomatycznym a pani życiem, nie wahałbym się długo.

Suzie odwróciła się i po raz pierwszy od początku rozmowy popatrzyła Knopfowi prosto w oczy.

– A więc ona była naprawdę winna?

– To kwestia punktu widzenia. Była winna wtedy w oczach naszego rządu. Piętnaście lat później świat wreszcie zmadrzeł i podpisano traktat o rozbrojeniu. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku setki naszych zasłużonych bombowców B-pięćdziesiąt dwa rdzewieją w pustynnym słońcu Arizony, nawet jeśli wycofanie ich z czynnej służby było tylko maskaradą, ponieważ zastąpiły je nasze rakiety...

– Dlaczego nie opowiedział mi pan tego wszystkiego wcześniej, Knopf?

– Czy chciałaby mnie pani wysłuchać? Próbowałem, ale Liliane tyle dla pani znaczyła.

Mathilde była jedynie cieniem swojej matki, więc z Liliane uczyniła pani swój wzór. Jak mogłem rozdrapywać ranę niezabliźnioną od czasów dzieciństwa?

Suzie rozejrzała się po parku. Zima pozbawiła go barw. Kilku kurczących się z zimna spacerowiczów przemykało alejkami z rękami schowanymi w kieszeniach.

– Wspinałam się po lodowcu, spowodowałam śmierć trzech mężczyzn, z których jeden miał ledwo dwadzieścia lat, wszystko po to, aby dowieść niewinności mojej babki, a teraz muszę brnąć dalej w to szaleństwo, jak sam pan to często nazywa, żeby znaleźć dowody jej winy! Co za ironia!

– Obawiam się, że w historii pani rodziny kryje się jeszcze większa ironia losu. Gdzie jest teraz pani przyjaciel reporter?

– Zdaje sprawę ze swoich działań szefowej.

– Wiem, że to nie mój interes, ale czy was coś łączy?

– Ma pan rację, to nie pana interes. Pan tak dobrze znał Liliane, czy obija się panu o uszy nazwa miejsca, gdzie czasem zabierała z sobą Mathilde w tajemnicy przed mężem?

Knopf potarł podbródek.

– Pani babka była taka tajemnicza... Odwiedziny na tej wyspie chyba przekonały panią o tym.

– Z kim zdradził ją mój dziadek?

– Widzi pani, zawsze pani jej broni! A co do poprzedniego pytania, przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce. Liliane uwielbiała jazz, a jej mąż lubił tylko operę i niektóre utwory klasyczne. Uważał jazz za barbarzyńską dysharmonię. Kiedy pani babcia grała na fortepianie, kazał jej zamykać drzwi salonu i wciskać pedał wyciszający. Edward jeździł co miesiąc do Waszyngtonu w swoich sprawach, a Liliane korzystała z tego, żeby dać upust swojej pasji w słynnym klubie jazzowym na Manhattanie. Jeśli dobrze pamiętam, ten klub nazywał się Village Vanguard. Ale nie przypominam sobie, żeby zabierała tam z sobą pani matkę. Dlaczego mnie pani o to pyta?

– Na wyspie znaleźliśmy list, który Liliane napisała do Mathilde. Wspomniała w nim o miejscu, w którym bywały razem.

– Co jeszcze pisała w tym liście?

– List był pełen słów matczynej miłości. Wiedziała, że znalazła się w

niebezpieczeństwie, to był rodzaj testamentu.

– Bardzo chciałbym również przeczytać ten list, jeśli to pani nie przeszkadza.

– Przyniosę go panu na nasze następne spotkanie – obiecała Suzie. – Dziękuję, Arnoldzie.

– Za co? Przecież nic nie zrobiłem.

– Za to, że zawsze pan za mną stał, za to, że jest pan człowiekiem, na którego zawsze mogę liczyć.

Suzie wstała i pocałowała Knopfa w policzek. Ten wyraz czułości spowodował, że Knopf prawie się zaczerwienił.

– Ale, ale... – rzekł, wstając – czy ten Colman przed śmiercią w ogóle coś wam powiedział?

Suzie popatrzyła na Knopfa znacząco i zawahała się, zanim powiedziała: – Nie. Przybyliśmy zbyt późno.

Rozstali się i Suzie odeszła ścieżką parku. Gdy była już dość daleko, odwróciła się, żeby po raz ostatni pożegnać swego ojca chrzestnego.



Andrew czekał na nią w barze hotelowym. Przed nim stał do połowy opróżniony kieliszek.

– To pierwszy i nawet go nie skończyłem – powiedział.

– Przecież nic nie powiedziałam – rzekła Suzie, wdrapując się na stołek barowy obok niego.

Wyciągnęła rękę i podniosła jego kieliszek do ust.

– Jak pan może pić coś tak gorzkiego?

– Kwestia gustu.

– Czy pani spotkanie okazało się pouczające?

– Kwestia gustu! Moja babka była winna – rzuciła Suzie. – Nie tego, o co ją oskarżano, ale zamierzała mimo wszystko zdradzić ojczyznę.

– A jak się miewa pani anioł stróż?

– Dobrze, ale mam wrażenie, że mnie okłamuje.

– Moje biedactwo, spotyka panią rozczarowanie za rozczarowaniem...

Suzie odwróciła się i wymierzyła Andrew policzek, po czym jednym haustem opróżniła jego kieliszek i odstawiła go.

– Pan zresztą również mnie okłamuje. Błyszczą się panu oczy i śmierdzi pan alkoholem.

Ile pan wypił?

– Trzy – rzucił barman, wycierając kontuar. – Podać coś, proszę pani? Ja stawiam.

– Bloody mary – odpowiedziała Suzie.

Andrew pocierał policzek, zaskoczony.

– Knopf spytał mnie, czy dowiedzieliśmy się czegoś od Colmana – ciągnęła Suzie. – A przecież nie podałam mu tego nazwiska.

Barman postawił przed nią bloody mary. Andrew spojrzał na niego lodowato.

– Nic pan nie mówi? – spytała Suzie.

– Mógłbym odpowiedzieć, że panią ostrzegałem i w sprawie pani babki, i Knopfa, ale będę siedział cicho, żeby znów nie dostać w mordę.

– Nie przekona mnie pan, że Knopf jest naszym wrogiem. To prawda, że nie mówi mi wszystkiego, ale w jego zawodzie milczenie jest złotem.

– Czego jeszcze się pani dowiedziała?

– Dowiedziałam się, jakie dokumenty zabrała moja babka. Nie uczyniła tego dla pieniędzy, tylko dla idei. Miała nadzieję, że zmusi dowództwo armii do rezygnacji z rozmieszczania rakiet z głowicami jądrowymi w lasach Europy Wschodniej. To była właśnie owa tajna operacja „Śnieżka”.

Andrew dał znak barmanowi, żeby nalał Suzie kolejnego drinka.

– Pan również zaskakuje mnie coraz bardziej – ciągnęła Suzie. – Myślałam, że wyjawiam panu news na pierwszą stronę gazet, a pan wygląda, jakby miał to kompletnie w nosie.

– Proszę tak nie mówić, nic nie mam w nosie. Ale to, że armia amerykańska w latach sześćdziesiątych porzuciła w lasach Europy Wschodniej rakiety z głowicami jądrowymi, nie jest żadną nowością. Oczywiście było na ten temat mnóstwo czezej paplaniny, ale jakie to ma dziś znaczenie?

– Wciąż może to być źródłem skandalu dyplomatycznego!

– Akurat! Kiedy rosyjskie okręty podwodne z napędem jądrowym zostaną przyłapane w pobliżu Alaski lub na norweskich wodach terytorialnych, nawet nie pisze się o tym w gazetach.

Jeśli to taką sensacyjną wiadomość dostarczę swojej szefowej, w następnym moim reportażu będę musiał liczyć kaczki na stawie w Central Parku. Dobra, dość już tych głupstw, muszę z panią poważnie porozmawiać, ale nie tutaj.

Andrew uregulował rachunek, polecając barmanowi, żeby doliczył doń bloody mary.

Pociągnął Suzie za sobą na ulicę i w milczeniu poprowadził przez dwie przecznice aż do stacji metra na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy.

– Mogę wiedzieć, dokąd idziemy?

– Woli pani peron północny czy południowy?

– Jest mi to obojętne.

– Więc południe! – zdecydował Andrew, popychając Suzie ku schodom.

Wypatrzył ławkę na końcu peronu, podszedł do niej i usiadł. Z ogłuszającym hałasem przejechały wagony metra.

– Z notatek Colmana wynika zupełnie inna historia niż ta, którą opowiedział pani serdeczny przyjaciel Knopf.

– Przeczytał pan jego transkrypcję?

– Colman nie miał czasu ukończyć pracy. Trudno więc o definitywne wnioski... – rzekł

Andrew, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas pędzącej kolejki, która wjeżdżała do tunelu – ale rozumiem teraz, dlaczego chciał, żebym mu więcej zapłacił: to, co odczytał, wywołuje dreszcz przerażenia.

I Andrew podał Suzie kartkę, którą udało mu się wydrukować w pokoju Jacka Colmana.

Chcą zamordować Śniegową Pannę.

Jeśli nie uczyni się nic, żeby ją ochronić, zniknie na zawsze.

Pod jej lodowym płaszczem płynie złoto. Nasi urzędnicy chcą je zagarnąć dla siebie.

W tym celu starają się przyspieszyć koniec Śniegowej Panny.

Ale grób Śnieżki będzie też grobem zimy: przyjdzie gwałtowne zniszczenie.

Oni zdają sobie sprawę z konsekwencji, ale mam namacalny dowód, że się ich nie boją.

Nowa północna droga zapewni im władzę i bogactwo.

Nie ma już znaczenia, porozumienie czy wojna między Wschodem i Zachodem.

Jedyny sposób przerwania rozpoczętych ataków, to powiadomić świat o tym, co się dzieje.

Nasi urzędnicy nie wahają się przed niczym, aby osiągnąć swoje cele.

Celowo wywołano pierwsze pęknięcia, natura sama dokona reszty.

Ratowanie Śnieżki jest obowiązkiem nadrzędnym, gdyż zapewni przeżycie milionom ludzi.

– Czy rozumie pan coś z tego? – spytała Suzie.

– Styl jest nieco sentymentalny, zgadzam się, ale pani babka ułożyła ten tekst na bazie libretta opery. Gdy przeczytałem to po raz pierwszy, tak jak pani teraz, zacząłem się zastanawiać.

A potem przypomniałem sobie podekscytowanie Colmana, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

Pomyślałem, że może coś mi umknęło. Nie spojrzałem na komórkę, włączyłem ją tylko po to, żeby wezwać policję. Ale kiedy czekałem na panią w barze, spostrzegłem, że Colman wysłał do mnie SMS-a. Może zrobił to, gdy zrozumiał, że to nie my pukamy do jego drzwi. Ta ostatnia wiadomość naprowadziła mnie na właściwy trop.

Andrew wyciągnął komórkę z kieszeni i pokazał ją Suzie.

Śniegowa Panna to lodowiec arktyczny.

– Niech pani teraz przeczyta ten tekst jeszcze raz – podjął Andrew – i zrozumie pani wszystko, z wyjątkiem tego szaleństwa, które pcha ludzi do działań przyspieszających jego topnienie.

– Chcieli zniszczyć lodowiec? – spytała Suzie.

– I wreszcie przebić drogę północną. To prawdziwa gratka dla naszych przywódców, którzy zawsze się bali, że z jakichś przyczyn Kanał Panamski przestanie funkcjonować. Jest on do dziś jedynym traktem komunikacyjnym między Atlantykiem a Pacyfikiem, który pozwala uniknąć „ryczących czterdziestek”. Przez ten korytarz przepływa trzysta milionów ton towarów rocznie, a jest on własnością małej republiki leżącej w Ameryce Środkowej. Otwarcie nowego szlaku na północ jest strategicznie bardzo ważne, ale ta droga jest nieprzejezdna z powodu lodowców. Północny szlak byłby również gratką dla naszych koncernów naftowych.

Proszę sobie przypomnieć życiorys kochanka pani babki. Politycy, ministrowie i magnaci finansowi, lobbyści i korporacje międzynarodowe, wszystkich ich łączy wspólne interesy.

Czterdzieści procent światowych rezerw ropy naftowej znajduje się pod lodowcem arktycznym i tak długo, jak on istnieje, te bogactwa są niedostępne. Pamiętam, gdzieś wyczytałem, że wartość złóż ropy w Arktyce jest szacowana na ponad siedem bilionów dolarów. To pokusa dla każdego.

Oto, dlaczego kolejne rządy starają się blokować wszelkie inicjatywy zmierzające do zahamowania ocieplenia klimatycznego. Huragany, tsunami, susze, głód, podniesienie się poziomu mórz, migracje na masową skalę ludów zamieszkujących wybrzeża, to wszystko jest niczym w porównaniu z siedmioma bilionami dolarów i dwoma wiekami zapewnionej dominacji energetycznej. Oto mija już czterdzieści lat, odkąd Stany Zjednoczone, Kanada i Rosja rywalizują między sobą o prawa do terytorium Arktyki. Rosjanie użyli nawet atomowej łodzi podwodnej, żeby wbić swoją flagę w dno oceanu.

– My też wbiliśmy naszą flagę na Księżycu, co nie znaczy, że posiadliśmy go na własność – odcięła się Suzie.

– Księżyc jest trochę daleko i poza tym nie ma tam złóż ropy naftowej. Ile wszczęliśmy wojen, żeby utrzymać lub przejąć kontrolę nad strumieniami czarnego złota, ilu ludzi straciło przy tym życie... Jednak gdy czytam wiadomość, którą pani babka z takim trudem zaszyfrowała, najbardziej przejmuje mnie lękiem informacja, że ten projekt zaczął być wprowadzany w życie.

– Ale jaki projekt?

– *Celowo wywołano pierwsze pęknięcia, natura sama dokona reszty.* Projekt spowodowania pęknięcia w lodowcu od spodu, żeby przyspieszyć jego topnienie.

– W jaki sposób?

– Nie mam pojęcia, ale gdy się zwróci uwagę na tempo, w jakim lodowiec topnieje z roku na rok, obawiam się, że ten scenariusz nie jest tylko fikcją. Niestety, mam wrażenie, że cokolwiek wówczas przedsięwzięto, to zadziałało.

– Nasz rząd miałby świadomie przyczynić się do spowodowania topnienia lodowca, żeby założyć szyby naftowe w Arktyce?!

– Coś w tym rodzaju. Wyobraża sobie pani, co by się stało, gdybyśmy znaleźli dowody na to, o czym informuje nas ten tekst? Wątpię, czy skończyłoby się na zwykłym incydencie dyplomatycznym. Stany Zjednoczone zostałyby skompromitowane na arenie międzynarodowej.

Proszę wyobrazić sobie reakcję przedstawicieli wszystkich ruchów ekologicznych, alterglobalistów, krajów, które ponoszą skutki ocieplenia klimatu. Nie mówiąc o naszych europejskich sojusznikach. Przecież wszyscy roszczą sobie prawa do rezerw ropy naftowej w Arktyce. „Śnieżka” jest prawdziwą beczką prochu, a my na niej siedzimy.

– Ale to również fantastyczny temat dla pańskiego reportażu.

– Jeśli przeżyjemy i jeśli mi go w ogóle wydrukują.

A kiedy tak siedzieli, wczytując się wspólnie w tekst, który otrzymali pośrednio od Liliane Walker, kamery monitoringu, umieszczone nad nabrzeżem, przekazywały ich wizerunki na ekrany komputerów nowojorskich posterunków policji. Program rozpoznawania twarzy, wprowadzony do komputerów po 11 września, przekazywał już ich rysopisy.



Mężczyzna w ciemnym garniturze opierał się o parapet, wyglądając przez okno na miasto. Zabudowa sięgała po sam czubek wyspy wcinającej się w ocean. W dół rzeki Hudson sunął wielki statek wycieczkowy. Elias Littlefield pomyślał, że gdyby miał rodzinę, nigdy nie zabrałby jej na wakacje tym pływającym osiedlem mieszkaniowym. Podróżowanie w stadzie wydawało mu się nieznośnie pospolite.

Włożył okulary do górnej kieszonki marynarki, cmoknął zirytowany, odwrócił się i popatrzył surowym wzrokiem na ludzi przy owalnym stole.

– Wydawało mi się, że mieliśmy antycypować wydarzenia, a nie ponosić konsekwencje?

Czy któreś z was znalazło czas, żeby zaprezentować nam ten dokument tu i teraz?!

– „Tu i teraz” nie jest w tym momencie najważniejsze! – odrzekł Knopf,

celowo podkreślając słowa „tu i teraz”.

Littlefield podszedł do stołu i nalał sobie szklankę wody. Siorbnął głośno. Knopf skrzywił

się.

– Pańskie ptaszki wymknęły się nam na czterdzieści osiem godzin. Nie pozwolę na to drugi raz! – oświadczył.

– Czy to pan zarządził tę błyskotliwą interwencję na wyspie Clarks?

Littlefield popatrzył na współpracowników porozumiewawczo i z serdecznością, aby każdy z nich wiedział, że należą do zżytej ekipy, której jest szefem.

– Nie, nie mamy z tym nic wspólnego – powiedział, odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno. Reflektory rzucały czerwono-zielone błyski na Empire State Building, co było znakiem nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Elias Littlefield pomyślał, że gdy ta sprawa dzięki niemu będzie już tylko kolejną teczką odłożoną na półkę, chętnie wyjedzie na narty do Kolorado.

– Zadowala pana ograniczenie działalności do ścigania się z innymi agencjami? – drażył

Knopf. – Zastanawiam się, na czym panu bardziej zależy: na ojczyźnie czy na własnej karierze?

– Czemu nie mieliby to być Rosjanie, Kanadyjczycy lub nawet Norwegowie?

– Bo tamci są inteligentni. Zaczęliby działać dopiero po zdobyciu dowodów.

– Niech pan wreszcie przestanie traktować mnie z wyższością, Knopf. Przez lata wmawiał nam pan, że te dowody nie istnieją. Jedyнным powodem, dla którego zakłóciliśmy pańską emeryturę, jest to, że zna pan tę sprawę jak nikt inny. Ale im więcej mija czasu, tym bardziej wątpię w pańską użyteczność. Przypominam, że jest pan tylko obserwatorem, proszę zachować swoje uwagi dla siebie.

Knopf odsunął się wraz z krzesłem od stołu, wstał, zdjął z wieszaka swój gabardynowy płaszcz i wyszedł z sali.



Metro zahamowało ze zgrzytem i drzwi wagonów rozsunęły się. Andrew z Suzie weszli do pierwszego wagonu i usiedli na wolnej ławce.

– Godzinę po naszym wyjściu wyproszono policję z mieszkania Colmana.

– Kto ich wyprosił?

– Agenci NSA, którzy oznajmili, że przejmują tę sprawę.

– Skąd pan wie?

– Poprosiłem przyjaciela o przysługę. Dość szybko się tego dowiedział i zaraz mnie powiadomił.

– Wydawało mi się, że mieliśmy trzymać komórki wyłączone?

– Dlatego tu jesteśmy, musimy zniknąć z ich ekranów. Wsiądziemy na ostatniej stacji w Brooklynie.

– Nie, wsiądziemy przy Christopher Street, ja też mam wiadomości.



Światła rozjaśniające budowę Freedom Tower były już tylko aureolą w ciemnej szarości.

Była to jedna z tych nocy, kiedy gęsty zimowy deszcz przenika zimnem aż do szpiku kości.

Sznur samochodów na Siódmej Alei sunął do przodu w hałasie klaksonów. Opony piszczały na mokrym asfalcie.

Suzie pchnęła drzwi pod numerem 178 i zeszła stromymi schodkami do podziemi.

Znaleźli się w sali słynnego klubu jazzowego Village Vanguard. Było jeszcze wcześniej i trio Steve'a Wilsona zdierało sobie płuca dla dwóch klientów siedzących przy barze, samotnego mężczyzny przy stoliku i jeszcze jednego faceta, który odczytywał pocztę ze swojej komórki, od czasu do czasu podnosząc głowę i rozglądając się. Lorraine Gordon siedziała na swoim stołku barowym i patrzyła na salę uważnie, jak przystało właścicielce. Tkwiła na tym posterunku od czterdziestu dwóch lat przez sześć wieczorów w tygodniu.

Thelonious Monk, Miles Davis, Hank Mobley, Bill Evans – w jej klubie grali wszyscy.

Była dla nich, przybyłych z czterech krańców świata, po prostu „Lorraine”, muzą mekki jazzu.

Tylko Shirley Horn nazywała ją „sierżantem”, ale niewielu poza nią ośmieliłoby się tak do niej zwrócić.

Suzie z Andrew usiedli jak najdalej od sceny. Lorraine Gordon podeszła do nich i usiadła obok, nie pytając o pozwolenie.

– Proszę, duch wrócił! Gdzieś ty się podziewał przez ten cały czas?

– Tu również jest pan stałym klientem, jak widzę? – spytała Suzie.

– Szanowny pan ma u mnie swoją prywatną buteleczkę, kochanie – zabrzmiała riposta właścicielki baru, która nawet na nią nie spojrzała.

– Włóczyłem się tu i tam – odrzekł Andrew.

– Wyglądałeś już gorzej, choć światło u mnie jest zawsze łaskawe. Co zrobiłeś ze swoją żoną?

Ponieważ Andrew nie odpowiedział, spytała, czego by się napił.

– Niczego! – odpowiedziała Suzie za niego. – Nie chce mu się pić.

Lorraine doceniła jej śmiałość, ale postarała się nie dać tego po sobie poznać. Nie podobały jej się dziewczęta według niej trochę zbyt ładne, podejrzewała, że dochodzą swego za pomocą seksu. Za każdym razem, gdy jakiś muzyk nawalał albo przychodził grać porządnie podchmielony, chodziło o jakąś ślicznotkę, która mu złamała serce.

– Podobno bardzo dawno temu jej babcia grywała w twoim klubie – powiedział Andrew, wskazując oczami na Suzie. – Liliane Walker. Mówi ci coś to nazwisko?

– Nic – odrzekła Lorraine, łaskawie rzucając wreszcie okiem na Suzie. – Kochanie, nie wyobrażasz sobie, ile u mnie osób grało.

– A Liliane McCarthy? – spytała Suzie, walcząc z pokusą pokazania Lorraine, gdzie jest jej miejsce.

– Kiedy dokładnie babunia miałaby u mnie grać?

– Ostatnim razem to musiało być w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym.

– Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat, ślicznotko. Nawet nie byłam jeszcze żoną Maxa.

Lorraine Gordon przesunęła wzrokiem po sali. Zatrzymała spojrzenie na ścianie pełnej oprawionych czarno-białych zdjęć.

– Nie, nie pamiętam jej.

Suzie wyciągnęła z kieszeni zdjęcie Liliane i położyła na stole. Lorraine popatrzyła na nie, a potem znów przeniosła wzrok na ścianę. Wstała, podeszła bliżej i zdjęła jedną z fotografii w ramce. Wróciła do stolika.

– No tak, spójrz, to jest twoja babka. Wszyscy, którzy u mnie grali, mają prawo do zdjęcia na tej ścianie. Odwróć, zobacz – każdy zostawiał dedykację.

Suzie trzymała zdjęcie w drżących dłoniach i przyglądała się uważnie uśmiechniętej twarzy Liliane. Na tym zdjęciu jej babcia wyglądała jak inna kobieta. Była nieporównywalnie piękniejsza niż na wszystkich innych zdjęciach, które Suzie dotąd widziała. Odwróciła ramkę i nie zdradzając zdziwienia, popchnęła ją ku Andrew.

W miejscu dedykacji widniał napis: „Oslo, Kulturhistorisk, Frederiks Gate 3”.

Andrew przysunął się do Lorraine i powiedział jej na ucho: – Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? Jeśli ktoś będzie cię wypytywał, nie było nas tutaj dziś wieczorem.

– Nie mam zwyczaju kryć cudzołóstwa.

Andrew popatrzył jej w oczy z naciskiem i Lorraine Gordon zrozumiała, że tu nie o to chodzi.

– Masz problemy z policją?

– To bardziej skomplikowane. Potrzebuję czasu.

– Więc zmykajcie. Wyjdźcie przez kulisy. Na końcu korytarza są drzwi prowadzące na Waverly Place. Jeśli nikt nie widział, jak tu wchodziliście, nikt nie zobaczy, że wychodzicie.

Andrew wziął Suzie do Taim, taniej jadłodajni, ale podawano tu tak dobre falafele, że odwiedzali to miejsce nawet goście z eleganckich dzielnic. Po kolacji postanowili przespacerować się po West Village.

– Nie wracamy do Marriotta, to spalone miejsce – rzekł Andrew.

– Przecież w Nowym Jorku jest pełno hoteli, niech pan wybierze którykolwiek, bo umieram z zimna.

– Jeśli łazi za nami NSA, to wszystkie nowojorskie hotele mają nasze rysopisy, a nawet najgorsze boją się zadzierać z władzą.

– Chyba nie spędzimy nocy na ulicy?

– Znam dwa lub trzy bary, w których dadzą nam spokój.

– Ja muszę się przespać.

Andrew wypatrzył budkę telefoniczną na skrzyżowaniu Perry i Bleecker Street.

– Nowe morderstwo? – zaniepokoił się inspektor Pilguez.

– Jeszcze nie, po prostu potrzebuję bezpiecznego miejsca, żeby spędzić noc.

– Niech pan jedzie na Bronx! – odparł Pilguez po chwili zastanowienia. – Do Café Colonial na White Plains Road, proszę zwrócić się do Oscara i powołać na mnie. Przenocuje was bez zadawania zbędnych pytań. Kogo pan wkurzył, Stilman? Dzwonił do mnie niedawno inspektor Morrelli, którego poprosiłem o przysługę zostawienia pana w spokoju. Szuka pana cała nowojorska policja.

– NSA – odpowiedział Andrew.

– To zapomnijcie o adresie, który przed chwilą podałem. Niech pan odłoży słuchawkę i jak najszybciej uciekajcie z miejsca, w którym jesteście.

Andrew wziął Suzie za rękę i pobiegli w kierunku rzeki Hudson. Na środku pierwszego napotkanego skrzyżowania zatrzymał taksówkę i wepchnął ją do niej.

– Wiem, gdzie nie będą nas szukać! – mruknął pod nosem.



Dolorès wyłączyła komputer i miała właśnie wyjść z biura, kiedy zauważyła przemykającego się w jej kierunku Andrew w towarzystwie jakiejś młodej kobiety. Podniosła głowę i popatrzyła na nadchodzących gości.

– Suzie Baker, jak przypuszczam?

Suzie wyciągnęła rękę, Dolorès uścisnęła ją bez entuzjazmu.

– Potrzebuję pani pomocy, Dolorès – rzekł Andrew, zdejmując płaszcz przeciwdeszczowy.

– A ja myślałam, że przychodzi pan zaprosić mnie na kolację! Ma pan szczęście – ciągnęła. – Olivia Stern wyszła ode mnie dziesięć minut temu. Nie wiem, co jej pan znowu zrobił, ale wściekła się i szuka pana wszędzie. Chciała wiedzieć, czy ostatnio spotkałam się z panem albo może rozmawiałam przez telefon. Nie musiałam kłamać...

Dolorès włączyła komputer i położyła dłonie na klawiaturze.

– O co chodzi tym razem? – spytała.

– Nie, nie potrzebuję dziś żadnych informacji. Musimy się tu przespać.

– W moim biurze?

– Moje jest niedaleko gabinetu Olivii, a za sąsiada mam Olsona.

– Zawsze pan znajdzie jakąś wymówkę, Stilman. Mam nadzieję, że pańska partnerka jest poszukiwana przez Interpol, a nie że moje biuro posłuży do zaspokojenia pańskiej namiętności!

– On nie jest absolutnie w moim typie! – wykrzyknęła Suzie. – I ma pani rację, ja się ukrywam.

Dolorès wzruszyła ramionami i wstała od biurka.

– Rozgoście się więc. Sprzątacze przychodzą o szóstej rano, chcecie, żeby was wcześniej obudzić? Zdarza się, że muszę wstawać o wpół do szóstej... – dodała z przekąsem, idąc do drzwi.

– Dolorès?! – zawołał Andrew.

– Co znowu?

– Jednak chciałbym poprosić o pewne informacje.

– No, proszę! A myślałam, że bierze mnie pan za właścicielkę domu schadzek. Słucham, o co chodzi?

– Chodzi o oficjalne dokumenty, artykuły, wszystkie możliwe wzmianki na temat ewentualnych złóż ropy naftowej w Arktyce, o sprawozdania z ekspedycji geologicznych i meteorologicznych organizowanych wokół koła podbiegunowego, jak również o aktualny raport dotyczący stanu topnienia arktycznego lodowca, najlepiej zredagowany przez zagranicznych naukowców.

– I to wszystko na jutro?

– Jeśli zdąży pani przed weekendem, będzie wspaniale.

– Wpadnie pan po to?

– Nie, na razie nie mam czasu.

– To gdzie mam dostarczyć materiały?

– Proszę utworzyć nowy adres mailowy i jako hasła użyć na przykład imienia pani kota, będę z niego korzystał.

– To jakaś poważna sprawa? – spytała Dolorès, stojąc w progu.

– Bardziej poważna niż mogłaby się pani spodziewać.

– Po panu się niczego nie spodziewam, w ten sposób nigdy nie doznaję zawodu! – odrzekła Dolorès, spoglądając na Suzie ostatni raz.

I wyszła.

13

Elias Littlefield zasiadywał na końcu długiego stołu, udzielając po kolei głosu swoim współpracownikom. Wysłuchiwał wszystkich w wielkim skupieniu. Materiałów było wiele i zebranie trwało już dwie godziny. Nagle zawibrowała jego komórka. Rzucił na nią dyskretnie okiem, wziął do ręki, przeprosił i wstał. Przez drzwi w rogu sali konferencyjnej przeszedł do swego gabinetu. Usiadł przy biurku. Zanim rozpoczął rozmowę, obrócił fotel w taki sposób, żeby móc wyglądać przez okno.

– Knopf właśnie stąd wyszedł – powiedziała rozmówczyni.

– Czego chciał?

– Chciał się dowiedzieć, czy jego dwóch protegowanych przyszło do mnie. Tak jak mi pan radził, powiedziałam prawdę.

– Czy pokazała im pani zdjęcie?

– Kopię z adresem, którym kazał mi pan zastąpić oryginalny, z tyłu zdjęcia.

– Niczego się nie domyślili?

– Po ich odejściu odłożyłam na miejsce to zdjęcie, które powierzył mi Knopf, na wypadek, gdyby po nie wrócił, ale na razie jeszcze tego nie zrobił. Nigdy bym nie podejrzewała, że zaczną pracować na własny rachunek, zwłaszcza po jego wczorajszej wizycie.

– Częściowo to nasza wina. Knopf to stara szkoła, nigdy nie zaakceptował tego, że trzyma się go na dystans.

– Co się z nim stanie?

– Niech się pani o niego nie martwi, pošlemy go w odstawkę, teraz jest już niegroźny.

Dzięki za dzisiejszy wieczór.

Lorraine Gordon rozłączyła się i wróciła do swoich gości. Elias wrócił na salę konferencyjną.

– Knopf może pojawić się tu niebawem, chcę, żeby każdy przedtem

znalazł się na swoim posterunku. Na jakim etapie jest zakładanie podsłuchów?

– Nie można nic założyć u niego, jest zbyt wyczulony, żeby nie zauważyć. Nie można też wejść do niego do mieszkania. Jego przyjaciel pracuje w domu, a kiedy wychodzi, wszystkiego pilnuje służący.

– W takim razie zróbcie coś, żeby obaj wyszli, podłóżcie ogień, czy co... Chcę mieć nagrane każde jego słowo, nawet to, co śpiewa pod prysznicem. A ta Baker i dziennikarz?

– Śledziliśmy ich od momentu, kiedy wyszli z klubu. Ukryli się w redakcji „New York Timesa”, pilnujemy wszystkich wyjść.

– Was czworo – powiedział Elias, zwracając się do dwóch kobiet i dwóch mężczyzn, którzy siedzieli po jego lewej ręce – pojedzie jutro do Norwegii. Zorganizujecie się w dwie ekipy. Kiedy osoby, które śledzicie, pojawią się w muzeum, wkroczycie do akcji. Knopf uda się do swojej kryjówki, tam gdzie miał nadzieję się z nimi spotkać, jego też przechwycicie, ale dyskretnie. Jeśli będziecie mieli szczęście, złapiecie go z dokumentami.

– Myśli pan, że on naprawdę wie, gdzie są dokumenty? – spytał mężczyzna po prawej ręce Eliasa. – W takim razie dlaczego nie miałyby przekazać ich im wcześniej?

– Bo nigdy nie miał zamiaru im tego zwrócić. Knopf nie jest zdrajcą. Nigdy by się od nas nie odwrócił, gdyby nie Suzie Baker. Ale każdy człowiek ma swoją piętę achillesową. Jego piętą był senator Walker. Kochał go i zawsze był jego psem obronnym. Podejrzewam zresztą, że wciąż go kocha. Wolałbym, żeby tak nie było, ale jest jak jest i nie mamy innego wyjścia, trzeba wszystkich zmusić do milczenia. Gdy złapiemy Knopfa, on się wycofa, ma dużo zdrowego rozsądku.

– A jego towarzysz? – spytał mężczyzna siedzący po prawej ręce Littlefielda.

– Kiedy wreszcie założycie ten podsłuch, dowiemy się, co on naprawdę wie, i wtedy zdecydujemy.

– Nie uważa pan, że powinniśmy dać im więcej swobody działania? – spytał inny uczestnik konferencji. – Jeśli nie uda im się wyjechać z kraju, to w jaki sposób mieliby dotrzeć do Oslo?

– Proszę mi wierzyć, że Knopf im to umożliwi. Gdyby zbyt łatwo mogli wyjechać, zaczęłyby coś podejrzewać.



Suzie przywykła do spania na podłodze, ale Andrew był cały obolały. Pomasażował się po plecach, skrzywiony.

– Moglibyśmy spróbować przez Kanadę... – powiedział, nachylając się nad ekranem komputera Dolorès.

– Co spróbować?

– Meksyk byłby najbezpieczniejszy. Stamtąd moglibyśmy pojechać samochodem do Gwatemali i dostać się na pokład statku *Gwatemala City* płynącego do Europy. NSA nie jest zbyt popularna w Ameryce Południowej.

– Sześć lub siedem dni, żeby dostać się do celu? To szaleństwo.

– Wolałbym lotnisko Kennedy’ego. Albo bylibyśmy w Oslo jutro, albo stracilibyśmy życie, co zresztą jest bardziej prawdopodobne.

– Czy mogę stąd zadzwonić? – spytała Suzie.

– Od czasu afery Watergate linie dziennikarzy są bezpieczne, nie myślę, żeby rząd bawił

się w zakładanie podsłuchu w „New York Timesie”. To byłoby zbyt ryzykowne. Do kogo chciała pani dzwonić?

– Do mojego biura podróży! – odpowiedziała Suzie, patrząc prowokacyjnie na Andrew.

– Jest czynne o piątej rano?



Stanley popatrzył na budzik stojący na stoliku nocnym i wzniosł oczy do nieba.

Zirytowany zepchnął kołdrę na koniec łóżka, wstał i założył szlafrok, krzycząc: „Już, już!”

w kierunku dzwoniącego telefonu.

– Czy zapomniałeś czegoś? – spytał, odbierając.

- Stanley? Tu Suzie. Muszę porozmawiać z Arnoldem.
- Czy pani wie, która jest godzina?
- To bardzo pilne.
- Czy kiedykolwiek dzwoniła pani w sprawie innej niż pilna?
- Proszę się nie rozłączać, Stanley, tym razem to naprawdę poważne, a sprawa dotyczy również jego. Proszę go obudzić i zawołać do telefonu, błagam.
- Nie wrócił jeszcze i nie wróci przez kilka następnych dni. Usłyszałem tę przyjemną wiadomość nagrałą na automatycznej sekretarce. Chyba to jasne, że nie wiem, gdzie jest. Czego pani od niego chciała?
- Żeby pomógł mi jak najszybciej dostać się do Oslo, tu liczy się każda godzina!
- Niech pani poleci samolotem.
- Nie mogę lecieć rejsowymi liniami, to niemożliwe.

Stanley oplątał sznurem od telefonu swoje palce i popatrzył na zdjęcie Arnolda stojące na okrągłym stoliku. Zostało zrobione w Belize, podczas jednego z rzadkich wyjazdów wakacyjnych, na które sobie pozwalali, a nawet wówczas Stanley był prawie pewien, że Knopf nie wybrał miejsca przypadkowo.

- Suzie, jeśli uda mi się wysłać panią do Norwegii, czy byłaby jakakolwiek szansa, że zostanie tam pani na zawsze? Norwegia to piękny kraj, mogłaby pani być tam szczęśliwa, przecież tak pani lubi zimno.
- Jeśli mi pan pomoże, obiecuję, że nigdy już nie będę zawracać głowy ani panu, ani Arnoldowi.
- Trzymam panią za słowo! Proszę mi dać trochę czasu na przemyślenie sprawy.

Spotkamy się za godzinę przy ślizgawce w Central Parku.

Rozłączywszy się, Stanley chwycił fotografię stojącą na okrągłym stoliku i wyszeptał do przyjaciela:

- Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy, staruszkule, bo jeśli nie, to nie będzie mnie tu, gdy wrócisz.



W parku panowały ciemności. Było tak chłodno, że nieliczni biegacze przemykający alejkami wypuszczali za każdym krokiem parę z ust. Stanley przestępował z nogi na nogę koło wejścia na ślizgawkę, walcząc z zimmem. Gdy poczuł na ramieniu dłoń Suzie, aż podskoczył

z wrażenia.

– Do diabła, niech pani tak nie robi, mam chore serce!

– Przykro mi, ale w sytuacji, w jakiej się znalazłam, staram się nie rzucać w oczy.

– Co pani znów narozrabiała? Och, zresztą proszę mi nie mówić, nie chcę nic o tym wiedzieć.

– Czy udało się panu...

– Spieszy się pani, prawda? Proszę więc pozwolić mi się wypowiedzieć!

Stanley popatrzył ponad ramieniem Suzie.

– Co to za typ gapi się na nas zza drzewa?

– Przyjaciel.

– Wygląda groteskowo. Proszę się stawić w biurze Atlantic Aviation na lotnisku Teterboro o godzinie jedenastej i przedstawić się jako „pani Clarks”. Jeśli chce pani podróżować z tym pajacem, który udaje szpiega, proszę powiedzieć, że to pani ochroniarz. Przyjdzie po panią mężczyzna, który wprowadzi was na pokład samolotu poza kontrolą.

– A potem?

– Potem proszę mi zaufać i jutro znajdzie się pani w Oslo.

– Dzięki, Stanley.

– Proszę mi nie dziękować, myślę, że Arnold chciałby, żebym pani pomógł. Robię to dla niego, nie dla pani, mimo że, niestety, jest to prawie to samo. Do widzenia, Suzie.

Stanley schował ręce do kieszeni i odszedł. Przechodząc obok drzewa, za którym ukrył

się Andrew, rzucił szeptem:

– Wygląda pan idiotycznie!

I zniknął we mgle.

– Załatwione! – oznajmiła Suzie, podchodząc do Andrew. – Mamy bilety do Norwegii.

– O której wylatujemy?

– Musimy być o jedenastej na Teterboro, wyjaśnię panu wszystko w drodze.

Andrew wyciągnął z kieszeni kopertę od Simona i wręczył Suzie dziesięć studolarowych banknotów.

– Proszę złapać taksówkę i pojechać do tego sklepu z ciuchami w Nolicie, oni otwierają o ósmej rano, wybrać sobie trochę ciepłych ubrań. Niech pani po drodze wpadnie do drogerii i kupi przybory toaletowe i dwie latarki, nigdy nie wiadomo, no i wszystko to, co będzie pani uważała za potrzebne.

– W takim razie potrzebuję dwa razy tyle – rzekła Suzie, licząc pieniądze.

– To mają być swetry i szczoteczki do zębów, a nie smoking i suknia wieczorowa!

– A co pan będzie robił, kiedy ja pójdę na zakupy?

– To nie pani sprawa. Spotkamy się o ósmej czterdzieści pięć pod tym adresem... – powiedział, gryzmołąc coś w notesie. – Będę na panią czekał na chodniku.



W kafejce roіło się od policjantów w mundurach, co było zupełnie naturalne, jeśli wziąć pod uwagę, że lokal znajdował się naprzeciw stajni policji konnej.

Valérie pchnęła drzwi. Twarz jej przybrała surowy wyraz, gdy zobaczyła, że przy barze siedzi Andrew.

Przepychając się w jego kierunku, przywitała się z kilkoma mężczyznami i usiadła na wysokim stołku obok Andrew. Policjant sączący kawę ustąpił jej miejsca, odchodząc do kolegów, którzy siedzieli przy stoliku w głębi sali.

– Co tu robisz? – wyszeptała.

– Przyszedłem się z tobą spotkać.

– Nie wybrałeś najlepszego miejsca. Wszyscy cię szukają, twoje zdjęcie zostało przypięte na tablicy przy wejściu do komisariatu, nie wisi w dobrym towarzystwie.

– Twój przyjaciele przyzwyczaili się do oglądania świata z wysokości siodła, żaden nie zwrócił na mnie uwagi. Kto by się spodziewał, że mężczyzna, którego tropi policja, sam będzie się pchał w paszczę lwa?

– Co znów zrobiłeś, Andrew?

– Zainteresowałem się pewnymi materiałami, które przeszkadzają ludziom na wysokich stanowiskach.

– Ta afera w Argentynie ci nie wystarczyła?

– Potrzebuję cię, Valérie.

– Potrzebujesz mojej pomocy? Po to tu przyszedłeś?

– Nie, potrzebuję ciebie do życia. Tęsknię za tobą, chciałem, żebyś o tym wiedziała, zanim wyjadę.

– A dokąd znów się wybierasz?

– Daleko.

– A kiedy wrócisz?

– Nie wiem. To jest bardziej niebezpieczne od tamtej wyprawy do Argentyny.

Valérie odstawiła filiżankę, obserwując unoszący się nad nią obłoczek pary.

– Andrew, nie chcę nigdy więcej spędzać nocy w fotelu przy łóżku szpitalnym, modląc się, abyś się obudził. Wszyscy, którzy odwiedzali cię w szpitalu, pytali o ciebie, czy cierpiałeś, będąc nieprzytomny, ale nikt nie zapytał, jak ja się czułam. Cierpiałam w milczeniu, patrząc na ciebie, nie mogłam zapomnieć o tym, że w dniu naszego ślubu wyznałeś mi, że kochasz inną.

– Twoja obecność przy mnie sprawiła, że przetrwałem. Wiedziałem, że

jesteś obok, czasem słyszałem twój głos. Wszystkie siły zbierałem po to, żeby wrócić do życia i móc prosić cię o wybaczenie. Nie mogłem się ruszać, tym bardziej mówić. Kiedy w końcu otworzyłem oczy, nie było cię przy mnie. Wiem, co zrobiłem, żałuję tego, ale nigdy cię nie zdradziłem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś mi kiedyś wybaczyła – wyznał Andrew. – Myślisz, że nie chciałbym być kimś lepszym, tym mężczyzną, z którym planowałaś spędzić resztę życia?

– To zbyt wcześnie... Albo może zbyt późno... – wyszeptała Valérie.

Andrew popatrzył na zegar wiszący na ścianie nad barem.

– Muszę już iść – westchnął. – Nie ruszaj się, chciałbym ci wszystko powiedzieć, zanim odejdę.

– Co chcesz mi powiedzieć, że jest ci przykro?

– Że należę do ciebie.

Andrew wstał i skierował się do drzwi. Potrącił jakiegoś policjanta, przechodząc, i przeprosił go. Ten popatrzył na niego dziwnie i Valérie natychmiast do nich podeszła.

– Chodźmy! – pociągnęła Andrew za rękę.

Poklepała policjanta po ramieniu, spytała go o nowiny i wyciągnęła Andrew na ulicę.

– Dzięki! – mruknął, kiedy znaleźli się na chodniku.

– Dzięki za co?

Podjechała taksówka. Siedziała w niej Suzie. Valérie popatrzyła na nią.

– To z nią wyjeżdżasz?

Za całą odpowiedź Andrew kiwnął głową i otworzył drzwi.

– Chciałeś wiedzieć, co masz zrobić, żeby ci wybaczyła: zostań tu.

– Dziś już nie ty jesteś ofiarą, Valérie. Dziś ofiarą jestem ja, gdyż to ja cię kocham! – rzekł Andrew, spojrzawszy na nią przeciągle i wsiadł do taksówki.

Kiedy samochód odjeżdżał, Andrew odwrócił się i popatrzył na nią przez tylną szybę.

Valérie stała sama pod latarnią, a zanim taksówka znikła za rogiem,

Andrew zobaczył, że wraca do kafejki.



Przeszła przez całą salę jak automat i usiadła z powrotem nad niedokończoną filiżanką kawy. Policjant, którego Andrew potrącił, podszedł do niej.

- Co to był za typ? Jego twarz wydała mi się znajoma.
- Przyjaciel z dzieciństwa, ale moje dzieciństwo minęło dawno temu...
- Mogę ci w czymś pomóc, Valérie? Jakoś dziwnie wyglądasz.
- Zabrałbyś mnie dziś na kolację?



– Torby są w bagażniku – powiedziała Suzie. – To było bardzo inteligentne, kazać mi podjechać pod tę kafejkę. Trzeba było jeszcze mnie poprosić, żebym weszła po pana do środka, wszystko odbyłoby się w jeszcze większej dyskrecji.

– Czy mogłaby pani nic nie mówić, przynajmniej dopóki nie znajdziemy się na lotnisku?

Suzie milczała przez całą podróż. Kiedy przejeżdżali przez most George'a Washingtona, Andrew spojrział na Manhattan i wydało mu się, że oddala się od niego bardziej niż zwykle.

Suzie podeszła do stanowiska odpraw Atlantic Aviation i tak jak polecił jej Stanley, przedstawiła się jako pani Clarks. Hostessa zaprosiła ich do poczekalni. Kilka chwil później podszedł do nich jakiś mężczyzna.

- Proszę pójść za mną! – polecił, prowadząc ich do wyjścia z terminalu.

Poszli wzdłuż drutów, które otaczały urządzenia należące do lotniska. Nieopodal stał jakiś ciągnik. Mężczyzna zdjął płachtę okrywającą wózek na bagaże, który był do niego przymocowany, wrzucił nań ich dwie torby i kazał im wskoczyć obok, a następnie z powrotem zarzucił na wózek płachtę.

Konwój ruszył do przodu. Andrew i Suzie siedzący po turecku z torbami na kolanach usłyszeli skrzypnięcie przesuwających się po szynach metalowych drzwi i ciągnik przyspieszył.

Jechali po asfaltowej płycie lotniska i zatrzymali się przy jakimś

gulfstreamie zarejestrowanym w Teksasie.

Mężczyzna kazał im zejść z wózka bagażowego i pokazał im wejście do luku w samolocie, które znajdowało się w miejscu niewidocznym z terminali.

– Proszę wejść tędy do samolotu i ukryć się z tyłu aż do startu. Ten odrzutowiec ma lecieć do Halifaxu. W drodze pilot poprosi o zmianę kursu na Saint Pierre i Miquelon. Podczas międzylądowania przejdziecie znów do luku, a samolot wystartuje, gdy tylko dostanie nowy plan lotu do Oslo. Podczas podchodzenia do lądowania w Norwegii pilot zawiadomi o problemie technicznym i poprosi o zezwolenie lądowania na małym lotnisku odległym o trzydzieści kilometrów od Oslo. Tam wysiądziecie. Będzie czekał na was samochód, który odwiezie was, dokąd zażądacie. Potem będziecie musieli dać sobie radę sami. Czy ma pani jakieś pytania?

– Nie, żadnych pytań – odrzekła Suzie.

– Ostatnia rzecz – podjął mężczyzna, wręczając Suzie małą teczkę. – Poproszono mnie, żebym pani to dał. Gdy znajdziecie się w mieście, proszę kupić „Herald Tribune” i przeczytać ogłoszenia drobne. Myślę, że wie pani, o co chodzi. Szczęśliwej podróży i powodzenia.

Andrew i Suzie wskoczyli na ruchomy chodnik, który prowadził do luku. Mężczyzna zamknął za nimi drzwi i dał znak pilotowi. Silniki ruszyły i maszyna zaczęła kołować po pasie startowym.

Samochód przejeżdżał przez tereny słabo zalesione, a potem wjechał na obsypaną śniegiem wieś. Przedzielone murkami pola były smutne jak więzienne podwórka w zimie. Na horyzoncie pojawiły się zarysy jakichś domków, dymiły kominy. Jechali wzdłuż jeziora, mijali jakieś miejsciny i o świcie wreszcie wjechali na przedmieście Oslo.

Suzie wyjęła z torby teczkę, którą powierzył jej mężczyzna tuż przed wyjazdem. Był

w niej przewodnik turystyczny, norweskie korony i adres hotelu, który podała kierowcy.

Hotel wyglądał skromnie, ale właściciel nie prosił ani o dokumenty, ani o wypełnienie formularza meldunkowego.

W pokoju stały dwa wąskie łóżka przykryte zniszczonymi aksamitnymi kapami, między nimi stała szafka nocna z drewna sosnowego. Okno wychodziło na dziedziniec jakiejś fabryki, po którym kręcili się robotnicy. Suzie zaciągnęła perkalową firaneczkę i weszła pod prysznic w przylegającej do pokoju łazience, która była malutka, ale jak to dobrze, że w ogóle tam była.



W sali jadalnej panowała klasztorna cisza. Trudno było określić wiek kobiety, która podawała im do stołu, zresztą przez cały czas milczała. Gdy odeszła, na sali została oprócz nich jedynie para podróżnych siedzących przy stoliku ustawionym w pobliżu kredensu. Mężczyzna czytał gazetę, jego małżonka niezwykle starannie rozsmarowywała czerwoną konfiturę na sucharach. Przywitali się skinieniem głowy i każdy zatopił wzrok we własnym talerzu.

Andrew poszedł na górę przynieść torby. Zapłacił rachunek i wziął folder, na okładce był

wydrukowany plan miasta, a z tyłu plan sieci kolejowej.

Suzie, która często skarżyła się na bostoński chłód, gdy poczuła na sobie lodowatą bryzę wiejącą na ulicach norweskiego przedmieścia, musiała

przyznać, że w jej rodzinnym mieście nigdy nie było aż tak zimno.

Szli pieszo aż do dworca w Asker, gdzie Andrew spytał kasjera w okienku, z którego peronu odjeżdżają pociągi linii Drammen w kierunku Oslo. Mężczyzna poprawną angielszczyzną objaśnił im, jak znaleźć właściwy peron.

Kwadrans później wjechała na peron czerwona lokomotywa. Był to pociąg miejscowy, taki, jakie kursują na wszystkich przedmieściach wielkich miast, z tym że zamiast zwykłych graffiti figurowały na jego wagonach wzory zrobione przez wiatr i szarobury śnieg.

Na dworcu głównym w Oslo Suzie kupiła w kiosku z gazetami dwa egzemplarze „Herald Tribune” i razem z Andrew usiedli obok siebie w pobliskiej kawiarni.

– Może mi pan posmarować masłem sucharek? – poprosiła, rozkładając gazetę.

Andrew zajrzał jej przez ramię.

– Czego szukamy? – spytał.

– Jakiejś niewinnej wiadomości.

– Gdzie pani się tego wszystkiego nauczyła?

– Knopf to mój ojciec chrzestny, byłam w dobrej szkole – odrzekła Suzie.

– Opowiadał

mi, że podczas zimnej wojny ogłoszenia w „Herald Tribune” służyły za skrzynkę kontaktową wszystkim służbom wywiadowczym. Komunikowano się w ten sposób zupełnie bezkarnie.

Sekrety najwyższej wagi przekraczały tą drogą granice i nikt nie był w stanie ich przechwycić.

Każdego ranka służby kontrwywiadu przeglądały uważnie wszystkie linijki tych ogłoszeń, szukając wiadomości do rozszyfrowania. O, a ja znalazłam naszą! – powiedziała, przesuwając palcem po następującym tekście:

Drogi Clarku,

wszystko w porządku.

Czekam na Bryggen, żebyśmy mogli zjeść śledzie.

Zadzwoń do Bergenhusa,

nie zapomnij kupić mimozy, to początek sezonu.

Uściski.

– To ogłoszenie ma być skierowane do pani?

– Mimoza to ulubiony kwiat mojej babki, o tym wiemy tylko on i ja.

– A co znaczy cała reszta?

– Że wystąpił jakiś problem. Myślę, że Knopf jest w Norwegii.

– Wciąż pani mu ufa?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

Andrew otworzył przewodnik.

– Czy idziemy do tego muzeum historii naturalnej, czy nie?

Suzie złożyła „Herald Tribune” i wsunęła gazetę do torebki.

– Nie podoba mi się to. Jeśli Knopf pisze, że wszystko w porządku, to oznacza, że jest zupełnie przeciwnie. Jeśli pisze o wyspie Clark, to tylko po to, żeby uprzedzić nas o niebezpieczeństwie.

Andrew przeglądał przewodnik. Znalazł mapę Norwegii i zaczął ją studiować.

– Jeśli nie ma pani ochoty na śledzie, Bryggen jest po naszej stronie, na zachodzie.

Możemy tam pojechać pociągiem albo samochodem. W obydwu przypadkach zabierze nam to siedem godzin. Ja wybrałbym pociąg, bo nie wiem, jak wynająć samochód, nie pokazując dokumentów, a tego chciałbym uniknąć! – oświadczył, zamykając przewodnik.

– Albo hydroplan – powiedziała Suzie, pokazując Andrew kolorową reklamę na tylnej okładce przewodnika.

Wyszli z dworca i wskoczyli do taksówki, która zawiozła ich do portu.



Hydroplan przycumowany do przystani kołysał się na pływakach. Na końcu pomostu stał

drewniany barak, biuro lotniczej kompanii Nordairway Tour. Andrew pchnął drzwi wejściowe.

Brzuchaty facet rozwalony w fotelu, z nogami na niskim stoliku, chrapał spokojnie jak stary piec pełen drew. Suzie chrząknęła. Mężczyzna otworzył oczy, ziewnął i uśmiechnął się szeroko.

Z białą brodą wyglądał jak Święty Mikołaj prosto z nordyckiej bajki.

Suzie spytała, czy mógłby zabrać ich do Bryggen. Mężczyzna przeciągnął się i powiedział, że jeśli mają dziesięć tysięcy koron, będą tam za dwie godziny.

– Z tym że najpierw muszę dostarczyć jakieś narzędzia – dodał, spoglądając na zegarek. – Będę z powrotem wcześniej po południu.

Suzie zaoferowała mu dwa tysiące koron więcej, i mężczyzna stwierdził, że narzędzia mogą poczekać.

Beaver de havilland, z dużym okrągłym nosem i grubym poszyciem, wyglądał tak samo życzliwie jak jego pilot. Kołysząc się na pływakach, wydawał się niezdarny. Suzie usiadła z tyłu, a Andrew koło pilota, nie żeby znał się na nawigacji, ale pilot tak zdecydował. Silnik zakaszłał, wypluł z siebie czarny dym i zaczął miarowo terkotać. Kapitan odczepił cumę, którą samolot był

przymocowany do brzegu, i zamknął kabinę.

Hydroplan ślizgał się po powierzchni wody w kierunku ujścia rzeki, chwiejąc się za każdym razem, gdy przecinał ślady na wodzie zostawione przez dzioby przepływających barek.

Kiedy minęli latarnię morską, kapitan pchnął wolant, silnik zawarczał, cała kabina zawibrowała.

– Zdjąć mi stopy z orczyka, jeśli nie chce pan, żebyśmy wylądowali w wodzie! – fuknął

kapitan. – Uwaga na pedały, do diabła, niech pan trochę podniesie nogi!

Andrew wykonał polecenie i hydroplan wzniósł się w powietrze.

– Pogoda jest dobra, nie będzie specjalnie trzęsło! – rzucił kapitan.

Zrobił zwrot i Suzie zobaczyła, jak port w Oslo znika za skrzydłem.



Mdłe światło docierało przez otwory strzelnicze fortecy Bergenhus. Niedawno do strażnicy wróciły stare meble, które kiedyś w niej stały. Drewniany stół i kilka ławek, porządne kopie wykonane przez miejscowych stolarzy i rzemieślników. Odnawianie nie zostało jeszcze zakończone i część muzeum była zamknięta dla publiczności.

Knopf chodził tam i z powrotem po klepisku pełniącym funkcję podłogi. Gdyby nie oddalony pomruk wracających do portu kutrów, myślałby, że przeniósł się w odległą o kilka wieków przeszłość. Wrażenie to wzmocniło się, gdy zobaczył twarz mężczyzny, który wszedł do pomieszczenia.

– Myślałem, że przeszedł pan na emeryturę – rzekł Ashton, zbliżając się do niego.

– Niektórzy nie mają prawa do emerytury – odciął się Knopf.

– Czy to spotkanie było konieczne?

– Ona tu jest! – rzekł Knopf. – Mam nad nią kilka godzin przewagi.

– Mathilde?

– Mathilde nie żyje, mówię o jej córce.

– Ona wie?

– Oczywiście, że nie. Wiemy tylko my dwaj.

– Po co więc przyjechała do Norwegii?

– Uratować swoją skórę.

– A pan przybył tu, żeby ją wspomóc, prawdopodobnie.

– Mam nadzieję... To będzie zależało w dużym stopniu od pana.

– Ode mnie?

– Muszę mieć te dokumenty, Ashton, to jedyne, co może powstrzymać tych, którzy ją ścigają.

– Boże, Knopf, gdy pana słucham, mam wrażenie, że wróciliśmy do epoki zimnej wojny!

– Odniosłem identyczne wrażenie na pana widok, choć wówczas sprawy były o wiele prostsze. Nie zabijało się ludzi z własnego obozu.

– To pańscy ludzie ją ścigają? Wiedzą, że zachowały się dokumenty?

– Podejrzewają to.

– I pan chciałby je im oddać, żeby uratować wnuczkę Liliane?

– To ostatnia z Walkerów. Przysiągłem jej dziadkowi, że będę ją chronił aż do mojej śmierci.

– Powinien pan umrzeć wcześniej. Nie mogę niczego zrobić, Knopf, ani dla pana, ani dla niej. Proszę mi wierzyć, że szczerze nad tym ubolewam. Nie mam tych dokumentów, a nawet gdybym wiedział, gdzie są, nie mam już do nich dostępu.

– Jakiego dostępu?

– Klucza do sejfów, do którego nie można się dostać inaczej, nie niszcząc przy tym jego zawartości.

– Zatem wie pan, gdzie ten sejf się znajduje.

– Niech pan wraca do domu, Knopf, nie powinien być pan tu przyjeżdżać, a nasze drogi nie powinny się znów zejść.

– Nie wyjadę stąd z pustymi rękami, Ashton, nawet gdybym musiał...

– Zabić mnie? Czym, laską? Walka starych kogutów... No, no, Knopf, to byłoby po prostu śmieszne.

Knopf chwycił Ashtona za gardło i przycisnął go do ściany.

– Dużo jeszcze mogę mimo wieku, a widzę w pańskich oczach, że chciałby pan żyć kilka lat dłużej. Gdzie są te papiery?

Twarz Ashtona czerwieniała coraz bardziej, w miarę jak do jego płuc dochodziło coraz mniej tlenu. Próbował się wyrwać, ale Knopf był silniejszy od niego. Nogi się pod nim ugięły i zsunął się po ścianie na podłogę, pociągając za sobą napastnika.

– Daję panu ostatnią szansę! – rzekł Knopf nachylony nad nim,

poluzowując uścisk.

Ashton zakaszłał, odzyskując oddech.

– Dwóch starych agentów walczących na śmierć i życie! – westchnął. – Gdy pomyślę o naszych karierach, gdyby to widzieli ci, których kształciliśmy, co za smutny spektakl byśmy im zgotowali...

– Przez cały czas kryłem pana, Ashton. Wiedziałem, że nie doprowadził pan tej misji do końca. Gdyby nie moja dyskrecja, byłoby dawno po pańskiej karierze, gniłby pan w więzieniu.

– Dowiedział się pan wszystkiego, bo poinformował pana Edward. Może wygadał się w łóżku?

Knopf uderzył Ashtona w twarz. Stary wyga zachwiał się i upadł. Powstając, rozmasował

sobie policzek.

– Wiem wszystko o pańskich stosunkach z senatorem.

– Ona panu powiedziała?

– Oczywiście, że ona. Kiedy wlokłem ją na śmierć w lesie sto kilometrów stąd, opowiedziała mi całe swoje życie, włącznie z dniem, kiedy weszła do jego sypialni i zaskoczyła was razem w łóżku. Widzi pan, ja również nie sprzedałem pańskiej tajemnicy. To wzruszające, że pańskie uczucia wobec senatora nie osłabły z czasem, ale nawet jeśli pan mnie udusi, to niczego nie zmieni. Nie mogę niczego zrobić, żeby uratować młodą Walkerównę. To pan miał ją chronić, nie ja.

Knopf podszedł do jednego z otworów strzelniczych. Zerwał plastik, który go okrywał, i wyjrzał na zewnątrz. Z miejsca, w którym stał, widział wejście do portu i fiordy, których strome brzegi wystawały nad powierzchnię Morza Północnego. Ile lat minie, zanim znikną pod powierzchnią wody? Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści? Może więcej? Czy będzie wtedy widać z portu antycznego miasta, jak tryskają w noc polarną ogromne płomienie morskich platform wiertniczych, które wyglądają jak wypuszczone przez szaleńców na Ocean Arktyczny płonące okręty?

– On tam jest, prawda? – odezwał się Knopf zamyślony. – Ukrył go pan w jej płaszczu.

Śnieżka zna sekret, który ją skazuje na śmierć. To było sprytne. Kto na to wpadł?

– Ja! – odrzekł Ashton, podchodząc do Knopfa.

Nóż przebił plecy na wysokości nerek. Ashton wbił ostrze aż do końca.

Knopf rażony bólem wykrzywił się i padł na kolana.

– I ona zachowa go aż do śmierci – wyszeptał mu Ashton do ucha. – Cała sprawa umrze wraz z nią.

– Dlaczego? – wyjęczał Knopf, osuwając się na posadzkę.

Ashton prawie czułym gestem pomógł mu oprzeć się o ścianę. Ukląkł obok i westchnął.

– Nigdy nie sprawiało mi przyjemności zabijanie. Za każdym razem było to dla mnie straszne. Nie ma nic przyjemnego w oglądaniu śmierci wieloletniego sprzymierzeńca. Pańską misją było czuwanie nad córką i wnuczką senatora Walkera, moją – ochrona jego żony. Pański upór przeciwstawił nas sobie, nie miałem innego wyjścia.

Knopf uśmiechnął się i zacisnął zęby. Ashton wziął go za rękę.

– Bardzo pan cierpi?

– Mniej, niż się panu wydaje.

– Zostanę z panem do końca, przynajmniej to jestem panu winien.

– Nie – wyszeptał Knopf. – Wolę być sam.

Ashton poklepał go po dłoni. Podniósł się z kolan i niepewnym krokiem poszedł do drzwi strażnicy. Zanim wyszedł, jeszcze raz popatrzył na Knopfa z nieudawanym smutkiem.

– Bardzo mi przykro.

– Wiem – odrzekł Knopf. – Niech już pan idzie.

Ashton podniósł dłoń do czoła i zasalutował. Żegnał starego towarzysza broni.



– Już wkrótce będziemy na miejscu! – krzyknął pilot, wskazując na

widoczne w oddali drewniane zabudowania Bryggen. – Morze jest bardzo wzburzone, postaram się zejść na wodę przy wejściu do kanału. Proszę zapiąć pasy, w hydroplanie lądowanie jest zawsze ryzykowne.

Przy wzburzonej wodzie bardzo rzuca.

– Kto to jest ten Bergenus, do którego mamy zadzwonić po przyjeździe?
– spytał

Andrew, obracając się do Suzie.

– Nie mam zielonego pojęcia, zobaczymy na miejscu, może to jakaś restauracja, w której podają śledzie. Jeśli tak, to Knopf zostawi nam wiadomość w najbliższej budce telefonicznej.

– Bergenus to nie żadna restauracja – rzekł kapitan, wybuchając śmiechem. – To stara forteca. Jest dokładnie pod nami, po prawej stronie – dodał, przechylając maszynę. – Najstarsza jej część, która wciąż stoi, pochodzi z tysiąc dwieście czterdziestego roku! Podczas wojny rozbił

się o nią holenderski transportowiec pełen ładunków wybuchowych. Ale była masakra! Wybuch był tak potężny, że ogień zniszczył prawie wszystko. Ale dość już tych rozmów, podchodzimy do lądowania!



Elias Littlefield zamknął na klucz drzwi swojego gabinetu, usiadł w fotelu i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– To ja, panie wiceprezydencie.

– Mój drogi Eliasie, jest pan jedyną osobą, która jeszcze do mnie tak się zwraca. No, co się dzieje?

– Wyprzedzili nas w porcie w Oslo, ale wiemy, dokąd jada, któraś z naszych ekip zaraz ich dopadnie.

– Wydawało mi się, że zastawiliście na nich pułapkę?

– Knopf się zorientował i chyba ich ostrzegł. Nie przyszli na spotkanie.

– Gdzie są teraz?

– W Bryggen. Nasi ludzie nie mieli innego wyjścia, tylko jechać za nimi samochodem.

Walker i ten dziennikarz mają nad nami cztery godziny przewagi, ale nie martwię się, dorwiemy ich.

– Domyśla się pan, po co tam jadą?

– Wydaje mi się, że na spotkanie z Knopfm.

– To Knopf również się wam wymknął?

– Knopf to trudny przeciwnik, zna wszystkie sekrety firmy. Niełatwo go przechytrzyć...

– Proszę sobie darować to kajanie się. Czy on ma te dokumenty, czy nie?

– Mam nadzieję, że je ma, wówczas z pewnością będzie chciał negocjować – dokumenty w zamian za darowanie życia swojej protegowanej. Po to właśnie do pana dzwonię, co chciałby pan, żebyśmy wówczas zrobili?

Wiceprezydent rozkazał służącemu, który właśnie w tej chwili przyniósł mu jego lekarstwa, by natychmiast opuścił pokój.

– Macie odzyskać dokumenty i pozbyć się ich, razem z nimi wszystkimi, z Knopfm również. Klan Walkerów dość mi już napsuł krwi. Najwyższy czas, żeby wnuczka spotkała się ze swoim dziadkiem w piekle. Och, wiem, Littlefield, według pana niedługo do nich dołączę, no cóż, co komu pisane... Dokumenty operacji „Śnieżka” należy zniszczyć, to kwestia bezpieczeństwa państwowego.

– Wiem, panie wiceprezydencie. Może pan na mnie liczyć.

Wiceprezydent pochylił się i wysunął szufladę w stoliku nocnym. Sięgnął po schowaną tam Biblię i popatrzył na zdjęcie, które służyło mu za zakładkę. Była to fotografia, którą sam zrobił czterdzieści sześć lat wcześniej w piękny letni dzień na wyspie Clarks.

– Proszę mnie zawiadomić, jak już będzie po wszystkim. Teraz pana pożegnam, muszę odebrać ważny telefon.

Wiceprezydent zakończył rozmowę, którą prowadził z Eliaszem LittlefielDEM, i nacisnął guzik drugiej linii.

– Knopf nie żyje – usłyszał.

– Jest pan pewien? On był zawsze bardzo sprytny.

Ashton milczał.

– Co takiego? – spytał wiceprezydent. – Dziwnie się pan zachowuje. Miał papiery?

– Nikt nigdy nie dostanie tych dokumentów, nasza umowa wciąż obowiązuje.

– Dlaczego więc zabił pan Knopfa?

– Był u progu rozszyfrowania tajemnicy i chciał się posłużyć dokumentami, żeby uratować życie wnuczki Liliane.

– Niech się pan zastanowi, Ashton. Jesteśmy już starzy, nasza umowa wygaśnie, gdy odejdziemy. Znajdzie się następny Knopf, następna Suzie Walker, inni wścibscy dziennikarze.

Musimy koniecznie zniszczyć dowód tego, co zrobiliśmy, zanim...

– Po tym, co pan zrobił – poprawił go Ashton. – Ja zamordowałem Knopfa, bo był słabym ogniwem łańcucha. Prawdopodobnie oddałby panu dokumenty, a ja panu nigdy nie ufałem.

Niech pan zostawi w spokoju Suzie Walker, bez Knopfa jest niegroźna.

– Ona może nie jest groźna, ale ten dziennikarz to inna sprawa, a przecież działają razem.

Niech mi pan przyniesie tę teczkę, a ja wydam polecenie, żeby ją zostawiono w spokoju, jeśli o to panu chodzi.

– Tak jak powiedziałem, nasza umowa wciąż obowiązuje. Jeśli Suzie Walker stanie się jakakolwiek krzywda, pan za to odpowie.

– Niech mi pan nie grozi, Ashton, nikomu to nie wyszło jeszcze na zdrowie.

– Jakoś się uchowałem przez te czterdzieści sześć lat! – odparł Ashton i odłożył

słuchawkę.

Były wiceprezydent, wściekły, ponownie zadzwonił do Eliasa Littlefielda.



Tymczasem Suzie i Andrew, wmieszawszy się w grupę angielskich turystów, którym przewodnik opowiadał dzieje zabytkowej budowli, odkrywali fortecę Bergenhus.

– Nie widzę jakoś pani przyjaciela – powiedział Andrew.

Suzie zapytała przewodnika, czy gdzieś niedaleko stąd jest jakieś miejsce, w którym się jada śledzie.

Przewodnika rozśmieszyło to pytanie. Powiedział, że śledzie można zjeść w mieście.

Kuchnie fortecy od dawna nie istnieją.

– A gdzie znajdowała się kiedyś kantyna? – spytał Andrew.

– Żołnierze jedli w strażnicy, tego pomieszczenia się nie zwiedza – poinformował

przewodnik, dając im do zrozumienia, że chce kontynuować zwiedzanie z całą grupą. – W średniowieczu miejsce to nazywano „Holmen”, co znaczy „wysepka” lub „skała”, ponieważ dookoła była woda – ciągnął, wchodząc po schodach. – W fortecy znajdowało się kilka kościołów, między innymi był tu słynny Kristkirken, kościół Chrystusa, grobowiec średniowiecznych królów Bergen.

Suzie złapała Andrew za rękaw i wskazała na czerwony sznur we wnęcie w ścianie, najwyraźniej zabraniający przejścia. Zwolnili. Przewodnik z resztą grupy powoli zmierzali na szczyt wieży.

– Hol zbudowany został za panowania Håkona Czwartego, w połowie trzynastego wieku...

Głos jego nił w oddali. Suzie i Andrew zaczekali, żeby ich już nie mógł zobaczyć, i podbiegli do alkowy odgradzonej sznurem. Przeskoczyli przez niego i znaleźli się w wąskim korytarzu. Wbiegli na górę po kilku schodkach. Korytarz zakręcał pod kątem prostym. Znaleźli się na półpiętrze. Pchnęli drzwi, które pojawiły się przed nimi.

Knopf siedział oparty o ścianę, a posadzka wokół niego była ciemna od

krwi. Podniósł

głowę i uśmiechnął się. Był trupio blady. Suzie podbiegła do niego i chwyciła za jego komórkę, żeby wezwać pomoc, ale Knopf powstrzymał ją, kładąc dłoń na telefonie.

– Nie wolno ci tego zrobić, kochana – powiedział, wykrzywiając usta w grymasie bólu. – Myślałem, że już nigdy nie przyjdziecie.

– Proszę nic nie mówić i oszczędzać siły, zabierzemy pana do szpitala.

– Chciałbym uniknąć rozczulania się, wymawiając ostatnie słowa, ale obawiam się, że na to za późno.

– Knopf, niech mnie pan nie zostawia, mam tylko pana! – jęknęła Suzie.

– Teraz pani się rozczula. Proszę nie płakać, nie mogę znieść pani płaczu, a poza tym nie zasługuję na łzy. Zdradziłem panią.

– Cicho! – wyszeptała Suzie przez łzy. – Mówi pan głupstwa.

– Nie, naprawdę. Chciałem za wszelką cenę odzyskać te dokumenty i posłużyłem się panią. Miałbym czym zapłacić za pani bezpieczeństwo, ale, tak czy inaczej, zniszczyłbym je.

Zawsze na pierwszym miejscu stawiałem obowiązek wobec ojczyzny. Cóż, w moim wieku człowiek się już nie zmienia. Teraz proszę mnie posłuchać. Oszczędzałem resztki sił, żeby powiedzieć pani wszystko, co wiem.

– Kto to panu zrobił? – spytała Suzie, biorąc do ręki zakrwawioną dłoń swego ojca chrzestnego.

– Zaraz, wszystko po kolei. Zdaje mi się, że wiem, gdzie znajdują się dowody operacji „Śnieżka”. One będą pani glejtem, ale musi pani mi coś obiecać i tego dotrzymać.

– O jaką obietnicę chodzi? – wtrącił się Andrew.

– Właśnie chciałem zwrócić się do pana. Proszę nic na ten temat nie publikować. Wiem, że z pewnością dostałby pan za ten sensacyjny artykuł Nagrodę Pulitzera, ale miałyby to tragiczne konsekwencje. Apeluję do pana uczuć patriotycznych.

– Do moich uczuć patriotycznych? – roześmiał się Andrew. – Wie pan,

ile osób zginęło w ciągu zaledwie kilku dni z powodu pańskiego cholernego patriotyzmu?

– Mnie też pan policzył? – spytał z sarkazmem Knopf. – Oni wszyscy zginęli za ojczyznę! Stanowią straty uboczne, których łańcuch zamykam ja. Jeśli poda pan do publicznej wiadomości to, co tutaj powiem, świat zrzuci odpowiedzialność za wszystko na nasz kraj. Nie da się wówczas opanować wściekłości, jaka ogarnie ludzi, zaczną atakować gmachy naszych ambasad, zostaniemy potępieni na forum międzynarodowym. Nawet Amerykanie podzielą się na obozy. Naród ogarnie paranoja, ludzie zaczną się bać siebie nawzajem. Nie wolno panu ulec pragnieniu zdobycia sławy. Musi się pan zastanowić nad ewentualnymi konsekwencjami. Proszę posłuchać... W latach pięćdziesiątych Stany Zjednoczone były największym producentem ropy naftowej na świecie i co za tym idzie gwarantem stabilności jej kursu. Baryłka kosztowała wówczas dolara. W roku pięćdziesiątym szóstym, kiedy z powodu kryzysu sueskiego przerwane zostały dostawy ropy naftowej z Bliskiego Wschodu, uratowaliśmy Europę dostawami naszej ropy, odsuwając widmo światowego kryzysu gospodarczego. Ale w roku pięćdziesiątym dziewiątym prezydent Eisenhower, pod wpływem lobbingu amerykańskich koncernów naftowych, które obawiały się, że niskie ceny dyktowane przez Bliski Wschód zrujnują je, zaczął

prowadzić politykę protekcjonistyczną. Jej zwolennicy utrzymywali, że dzięki temu zwiększy się produkcja ropy amerykańskiej, przeciwnicy zaś przewidywali, że wprost przeciwnie, polityka ta doprowadzi do wyczerpania złóż amerykańskiej ropy. I tak też się stało. Od roku sześćdziesiątego liczba baryłek ropy wydobytej z amerykańskich złóż zaczęła się zmniejszać.

W ciągu dziesięciu lat zużyliśmy siedemdziesiąt procent naszych rezerw. Szybko zdaliśmy sobie sprawę z tego, że z naszej przewagi energetycznej zostało już tylko senne marzenie i że jeśli chcemy zachować niezależność w tej dziedzinie, musimy zainteresować się złożami na Dalekiej Północy. Standard Oil, BP i ARCO zaczęły wówczas próbne wiercenia na Alasce, ale ich wynik okazał się rozczarowujący. Jeśli huragany były groźbą dla platform w Zatoce Meksykańskiej, lodowiec był naszym wrogiem w kręgu polarnym. Chyba żeby go zlikwidować. Pani babka nigdy nie powinna była zobaczyć dokumentów, które znalazła na biurku swego męża.

– Dokumentów operacji „Śnieżka” – dopowiedział Andrew.

– Tak, szaleństwo spowodowane manią wielkości ludzi, którymi kierowała lekceważąca wszystkie prawa ambicja... Chodziło o to, aby nasze łodzie podwodne wystrzeliły pociski jądrowe w warstwy lodowca na dużych głębokościach. Gdybym wam powiedział, jak narodził

się ten pomysł, nie uwierzylibyście. Jeden z tych finansowych oligarchów, wielki amator whisky, zorientował się, że duży kawał lodu w takiej samej temperaturze topnieje dziesięć razy dłużej niż mały kawałek. Cały proces okazał się zaskakująco prosty. Połamać lodowiec od spodu i czekać, aż ruch oceanu dokona reszty. Najwięksi optymiści myśleli, że w ciągu pięćdziesięciu lat lodowiec będzie już tak spękany, że nie zdoła odnowić się zimą. Okazuje się, że ich optymizm był przesadzony. Pani babka zaznajomiła się również z raportem na temat skutków ekologicznych takiego projektu. Oznaczałoby to prawdziwą katastrofę dla całej planety i milionów jej mieszkańców. Była przekonana, że jej mąż przeciwstawi się projektowi.

Wiadomo, co stało się z lasami deszczowymi od czasu, gdy ludzie zaczęli zaspokajać zapotrzebowanie na drewno zasobami Amazonii! Wystarczy sobie wyobrazić ogrom zapotrzebowania na ropę naftową! Liliane była tak samo naiwna jak pani. Edward był jednym z głównych pomysłodawców operacji „Śnieżka”. To był początek ich oddalania się od siebie, przestali w ogóle wówczas z sobą rozmawiać. Przez wiele miesięcy pani babka śledziła męża.

Z pomocą przyjaciela, członka ochrony senatora, zdobyła szyfr do sejfu. Nocą zakradała się do gabinetu i przepisywała całe strony raportów. Następnie, zdecydowana zapobiec realizacji tego projektu, postanowiła zdradzić go przeciwnikom politycznym, nawet za cenę własnego życia.

Podczas oficjalnego przyjęcia nawiązała znajomość z młodym ambitnym politykiem, protegowanym jednego z najbardziej wpływowych członków rządu.

Zostali kochankami. Senator dowiedział się o tym, ale postanowił przymknąć oko na romans swojej małżonki. Ubiegał się o wiceprezydenturę, nie mógł sobie pozwolić na skandal.

Półśłówkami dał Liliane do zrozumienia, że może kontynuować tę

znajomość, jeśli ma ochotę, byle zachowała dyskrecję. Liliane miała dom na wyspie Clarks. Tam się schroniła. I tam postanowiła któregoś dnia opowiedzieć o wszystkim mężczyźnie, w którym się zakochała. Jej wybranek przez chwilę uważał, że znalazł metodę osłabienia swoich przeciwników politycznych, i pomyślał, że jego mentor będzie mu za te informacje dożgonnie wdzięczny. Czekał go zimny prysznic. Perspektywa wspólnego wykorzystania wielomiliardowych zysków częściej niż się wydaje stanowi płaszczyznę porozumienia między republikanami i demokratami. Jego mentor kazał mu zachować w tajemnicy nie tylko plany operacji „Śnieżka”, ale również spisek, który się organizował, żeby przeszkodzić pani babce w działaniu na ich szkodę. W ten sposób za jednym zamachem załatwił dwie sprawy: zmuszał Liliane do milczenia i definitywnie niszczył karierę senatora. Była to tak poważna sprawa, że nawet prezydent Johnson musiał zrezygnować z powtórnego kandydowania na urząd prezydenta. Liliane miała zostać oskarżona o zdradę stanu.

Zna pani bajkę, która posłużyła za akt oskarżenia. Kilka dni przedtem, zanim pani babkę aresztowano, jej kochanka, który tymczasem awansował, zaczęły męczyć wyrzuty sumienia i podczas ostatniej wspólnej niedzieli na wyspie Clarks uprzedził Liliane o tym, że zostanie aresztowana. Liliane poprosiła o pomoc w zorganizowaniu ucieczki jedyne go człowieka, na którego mogła liczyć. Postarała się podczas tych kilku dni wolności, które jej zostały, ukryć kompromitujące dowody, mając nadzieję, że jej córka Mathilde będzie w stanie kiedyś ujawnić skandal związany z operacją „Śnieżka”. Podając za pretekst wyjazd na wyspę Clarks, kazała pilotowi samolotu, w którym się znajdowała, wylądować w Kanadzie. Tam wsiadła na statek do Norwegii w towarzystwie mężczyzny, który pomógł jej w ucieczce, z dokumentami pod pachą.

Miała zamiar przekazać je rządowi Norwegii, który prowadził niezależną politykę, dystansując się zarówno wobec poczynań na arenie międzynarodowej ZSRR, jak też wobec agresywnej polityki USA. Los okazał się dla niej okrutny, ponieważ właśnie temu człowiekowi, agentowi służby bezpieczeństwa, na którego tak bardzo liczyła, rozkazał senator poprowadzić swoją żonę na śmierć. I on, jak dobry żołnierz, posłuchał senatora. Liliane znikła nazajutrz po swoim przybyciu do Oslo, a dokumenty znikły wraz z nią.

– Kim był człowiek, który zamordował moją babkę?

– To ten sam mężczyzna, który dziś mnie zasztyletował – charknął Knopf, wypluwając skrzep krwi. Oddychał z największym wysiłkiem, z trudem chwycił powietrze.

– Gdzie są te dokumenty? – spytała Suzie.

Knopf patrzył na nią niewidzącymi oczyma. Wyglądało na to, że powoli tracił

przytomność.

– W kieszeniach jej pięknego białego płaszcza... – wydusił drwiąco.

– Jakiego płaszcza?

– Płaszcz Śnieżki, on chciał, żeby zatonęły wraz z nią. To był jedyny sposób, żeby zachować tajemnicę.

– O czym pan mówi, Knopf?!

– Jeszcze się pani nie domyśliła? – powiedział, z trudnością wskazując palcem na otwór strzelniczy w grubym murze. – Chodziło o koło podbiegunowe, Ashton zna dokładne miejsce.

– Kto to jest ten Ashton?

– Chciałem panią prosić jeszcze o jedną rzecz. Nie mówcie nic Stanleyowi, oszczędźcie mu przykrych szczegółów. Proszę mu powiedzieć, że dostałem zawału, nie cierpiałem, i że bardzo go kochałem. Teraz już mnie zostawcie, oglądanie śmierci to smutna rzecz.

Knopf zamknął oczy. Suzie wzięła go za rękę i siedziała z nim do końca, Andrew przycupnął przy niej. Knopf wyzionął ducha piętnaście minut później. Suzie wstała, pogłaskała go po włosach i odeszli.



Schronili się w kawiarni w Bryggen. Było tu sporo turystów. Suzie siedziała wzburzona, nie odzywając się. Śmierć Knopfa wpłynęła na zmianę jej decyzji. Już nie było mowy o rezygnacji z misji, o której myślała przed podróżą do Norwegii.

Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej i wyjęła teczkę, w której zgromadziła wszystkie dotychczas zebrane materiały, między innymi znajomą Andrew zniszczoną kopertę.

– To ten list, który pani znalazła przy zwłokach dyplomaty w rozbitym samolocie?

– Niech pan popatrzy na podpis.

Andrew rozłożył list i przeczytał go jeszcze raz.

Drogi Edwardzie,

to, co miało być wykonane, zostało wykonane i odczuwam z tego powodu ogromny smutek, kiedy myślę o Panu. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane – „gorące” materiały znajdują się w miejscu, w którym nikt nie będzie miał do nich dostępu. Chyba że nie dotrzymano by obietnicy złożonej pod przysięgą. Podam panu dokładne dane wysłane w dwóch oddzielnych listach.

Wyobrażam sobie, jak bardzo musiało Pana zmartwić to dramatyczne rozwiązanie, ale jeśli to może przynieść Panu ukojenie, wyznam, że w podobnych okolicznościach postąpiłbym tak samo. Racja stanu jest najwyższym priorytetem i ludzie tacy jak my nie mają innego wyjścia, tylko służyć ojczyźnie, nawet jeśli muszą dla niej poświęcić to, co dla nich najcenniejsze.

Nie spotkamy się już, czego bardzo żałuję. Nigdy nie zapomnę naszych wypraw do Berlina, w pięćdziesiątym szóstym i potem w pięćdziesiątym dziewiątym, a zwłaszcza 29 lipca, gdy uratował mi Pan życie. Teraz jesteśmy kwita.

W razie wyjątkowej konieczności może Pan do mnie pisać na adres: 79, Juli 37 Gate, apartament nr 71, Oslo. Będę tu przez jakiś czas.

Proszę zniszczyć ten list od razu po przeczytaniu. Liczę na Pańską dyskrecję, żeby nie został żaden ślad, że byliśmy w kontakcie.

Z poważaniem

Ashton

– Mój dziadek nigdy w życiu nie był w Berlinie. To jest szyfr.

– A umie pani go odczytać?

– Pięćdziesiąty szósty, pięćdziesiąty dziewiąty, dwudziesty dziewiąty, potem siedemdziesiąt dziewięć, znów lipiec, trzydzieści siedem i siedemdziesiąt jeden... te liczby muszą coś znaczyć.

– Załóżmy, ale w jakiej kolejności, gdzie? To znaczy: co? Cały czas myślę o ostatnich słowach Knopfa i o miejscu, w którym mogłyby się znajdować te cholerne dokumenty.

Suzie nagle zerwała się z krzesła, objęła dłońmi twarz Andrew i ucałowała go.

– Jest pan geniuszem! – wykrzyknęła.

– To fantastycznie! Nie mam pojęcia, co takiego genialnego zrobiłem, ale wygląda na to, że uszczęśliwiłem panią, więc tym lepiej.

– Ustawiałam te liczby na wszelkie możliwe sposoby przez wiele dni, nie wiedząc, czego szukam. A pan mi to przed chwilą powiedział!

– Co takiego powiedziałem?

– Powiedział pan „gdzie”!

– Powiedziałem „gdzie”?

– Te liczby oznaczają położenie geograficzne! Ashton podał memu dziadkowi współrzędne miejsca, w którym ukrył dokumenty!

– Dlaczego miałyby informować o tym senatora?

– Ponieważ ten drań pracował dla niego, jego zamiary jako jedyne są podane w tym liście bez szyfru. Mój dziadek zapewnił sobie ubezpieczenie na życie, zdradzając żonę. Ashton zabił ją, ukrył dokumenty, zamiast je zniszczyć, i w ten sposób mój dziadek trzymał w ręku glejt zapewniający mu spokój do końca życia. Tyle że ten list nigdy do niego nie dotarł.

Suzie przepisała do notesu liczby figurujące w liście Ashtona.

– Pięćdziesiąt dziewięć stopni, pięćdziesiąt sześć minut, dwadzieścia dziewięć sekund i siedem tercji długości zachodniej, siedemdziesiąt dziewięć stopni, siedem minut, trzydzieści siedem sekund i siedemdziesiąt jeden tercji szerokości północnej... – nie można bardziej dokładnie określić miejsca, w którym spoczywa teczka z planami operacji „Śnieżka”. Ile zostało jeszcze panu gotówki?

– Mniej więcej połowa z tego, co pożyczył mi Simon.

– Korzystamy z pożyczonych pieniędzy?

– Zrobiłem, co mogłem, trudno by mi było wynegocjować zaliczkę od mojej szefowej. Na co pani potrzebne pięć tysięcy dolarów?

– Na wycieczkę na lodowiec! – powiedziała Suzie i zadzwoniła do pilota, który przywiózł

ich do Bryggen. Cztery tysiące dolarów gotówką wystarczyły, żeby przekonać go do tej propozycji. Obiecał, że jak najszybciej po nich przyleci.

15

59° 56' 29" 7" W. – 79° 7' 37" 71" N.

Nadszedł moment, gdy pokładowy GPS pokazał tę pozycję. Hydroplan wykonał zwrot

i wleciał w chmury zasłaniające ziemię, schodząc stopniowo ku pokrywie lodowej. W dali

kołysały się na powierzchni wody wielkie bloki kry. Światła hydroplanu oświetliły mleczny

grunt, z którego uniosła się w górę cienka warstwa śniegu. Koła umieszczone pod płozami

zamortyzowały uderzenie, hydroplan podskoczył i zaczął walczyć z bocznymi wiatrami, które

nim rzucały.

Wokół nich rozciągała się nieskalana biel. Kiedy otworzyli drzwiczki hydroplanu,

uderzyło ich w nozdrza powietrze tak czyste, jakim nigdy jeszcze nie było im dane oddychać.

Ciszę zakłócał tylko wiatr i jakieś dziwne, dochodzące z oddali skrzypienie. Oboje zwrócili

głowy w kierunku tego osobliwego dźwięku.

– Miejsce, którego szukacie, powinno znajdować się w tym kierunku, jakiś kilometr lub

dwa stąd. Uważajcie, bo na powierzchni lodu światło wypacza rzeczywistość, zmienia dystans

i ukształtowanie terenu. Można łatwo przejść obok wzgórza i wcale go nie zauważyć. Jeśli

samolot zniknie wam z oczu, możecie krążyć w kółko i nigdy go nie odnaleźć. Za godzinę

włączę reflektor i zapuszczę silniki, nie przegapcie tej chwili. Czuję, że pogoda się psuje, nie zamierzam tu stracić życia. Jeśli was nie będzie, odleczę sam. Wezwę służby ratownicze, ale do ich nadejścia będziecie musieli dawać sobie radę sami, a w tak niskiej temperaturze...

Suzie popatrzyła na zegarek. Dała znak Andrew i ruszyli w wyznaczonym kierunku.

Pilot miał rację. Zerwał się wiatr, za każdym powiewem uderzały ich w policzki chmury

śniegu. Odgłos skrzypienia wzmógł się, przypominał teraz skrzypienie starego zardzewiałego

wiatraka, z rodzaju tych, które widać na polach obok gospodarstw.

Byli niewystarczająco wyposażeni na tak surowe warunki pogodowe. Andrew marzył.

Gdyby pogoda się pogorszyła, szaleństwem byłoby kontynuować wędrówkę.

Myślał o tym, żeby zawrócić. Suzie wyprzedziła go i nie zatrzymując się, popatrzyła mu

w oczy, zmuszając do dalszego marszu.

Nagle na środku śnieżnej przestrzeni oczom ich ukazały się baraki dawnej stacji

meteorologicznej. Trzy baraki z blachy odcinały się na tle widmowej mgły, wyglądały jak

kadłuby statków uwięzionych w lodowym oceanie. Pośrodku strzelał w górę maszt, na którym

nie powiewała żadna flaga. Trochę dalej zostało usytuowane pomieszczenie gospodarcze

z zapadniętym dachem. Największy z baraków wyglądał jak wielkie metalowe igloo, miał około

trzydziestu metrów średnicy, kopułę z dwoma małymi kominami wyposażonymi w wiatraczek

i daszek.

Żelazne drzwi nie miały zamka. Po co było zamykać się pośrodku nicości. Suzie

nadaremno usiłowała przekręcić uwięzioną w lodzie klamkę. Andrew podszedł i otworzył drzwi

z kopa. Wnętrze umeblowane było po spartańsku. Drewniane stoły i ławki, dziesięć metalowych

szafek zamykanych na podwójne zamki, puste skrzynki. W tym drewnianym pomieszczeniu, do

którego weszli, musiały znajdować się urządzenia związane z pracami naukowymi, podczas gdy

pozostałe dwa baraki służyły prawdopodobnie za sypialnię i jadalnię. Na zakurzonych stołach

Andrew spostrzegł różne przyrządy miernicze. Wagi, próbówki, anemometr, kilka inkubatorów,

dwa przyrządy do filtrowania, kilka starych pomp i tyczek pomiarowych służących do pobierania próbek z bloku lodowca. Materiały te dowodziły, że działalność naukowa bazy nie ograniczała się do obserwacji zjawisk meteorologicznych. O ścianę oparty był stojak na strzelby, na co

najmniej dwadzieścia sztuk, a zakratowana szafa, z której zwisały kłódki, zawierała prawdopodobnie naboje do nich. Trudno było określić, ile czasu minęło, odkąd opuszczono to miejsce. Suzie z Andrew otwierali po kolei każdą szafę, wyciągnęli każdą szufladę, podnieśli pokrywy wszystkich skrzyń, wszystko było puste.

– To musi być gdzieś tutaj! – rzuciła Suzie wściekła.

– Nie chcę być pesymistą, ale czas mija. Słyszysz pani wiatr? Powinniśmy wracać do

samolotu.

– Niech więc pan nie będzie pesymistą i pomoże mi szukać.

– Gdzie, na Boga?! Niech się pani rozejrzy, to wszystko stare bezużyteczne graty!

Przeszli do pozostałych dwóch baraków.

Kilka minut wystarczyło, żeby przejrzeć barak służący za sypialnię. Stało tu dwadzieścia

łóżek polowych pokrytych szronem i tyle samo pustych skrzyń. Nie znaleźli niczego

interesującego. Kantyna była miejscem wyjątkowo ponurym. Odnosiło się wrażenie, że ci, którzy tutaj mieszkali, opuścili to miejsce, wiedząc, że nigdy nie wrócą, i pozostawiając naturze troskę o zrobienie z tym porządku. Na stołach można było policzyć brudne menażki i nakrycia. Na starym piecyku stał zniszczony czajnik. Wyposażenie kuchni nie wyglądało zachęcająco, kolacje tutaj nie mogły należeć do najprzyjemniejszych.

Andrew i Suzie wyszli na burzę śnieżną, żeby wrócić do laboratorium.

– Musimy już wracać! – powtórzył Andrew. – Boję się, że nie odnajdziemy samolotu!

– Jak pan chce, to niech pan wraca.

Suzie podeszła do stojących w rzędzie metalowych szafek i pchnęła z całych sił pierwszą,

a ta zachwiała się i przewróciła. Potem to samo spotkało drugą i trzecią. Andrew myślał tylko o powrocie do samolotu. Wiedząc, że Suzie nie ruszy się stamtąd, dopóki nie doprowadzi do końca swego planu, postanowił jej pomóc i zaczął przewracać pozostałe szafki. Gdy upadła

ostatnia, zauważyli w ścianie za nią drzwiczki małego sejfu. Były zamknięte.

Suzie podeszła i zaczęła się przyglądać zamkowi. Patrzyła chwilę na drzwiczki, po czym

odwróciła się i spojrzała na Andrew z prawie diabolicznym uśmiechem.

Zsunęła zamek błyskawiczny kurtki, sięgnęła pod kołnierzyk swetra i wyciągnęła

łańcuszek, na którym dyndał kluczyk, który nosiła na piersi. Czerwony kluczyk, który kilka

miesięcy przedtem zwróciły jej góry.

Podniosła mały palnik spirytusowy stojący przy probówkach i zapaliła

knot. Gdy

odmroziła zamek, kluczyk wsunął się weń, jakby tylko na to czekał.

W sejfie znajdował się duży zeszyt opakowany w plastikową torbę. Suzie wzięła go do

rąk z żarliwością gorliwego wyznawcy, który dotyka świętej relikwii, wyjęła go z folii i położyła na stole, następnie przysiadła na ławce i zaczęła przewracać strony.

Dokument zawierał wszystkie szczegóły operacji „Śnieżka” – nazwiska polityków, którzy

ją poparli, i tych, którzy ją sfinansowali. Było tu dużo kserokopii listów. Korespondencja między członkami rządu, senatorów z obydwu obozów, wysokich urzędników, dyrektorów agencji rządowych, finansistów kierujących spółkami naftowymi czy właścicieli szybów. Lista liczyła

ponad sto nazwisk osób zamieszanych w tę operację. Andrew nie wierzył własnym oczom.

Operacja „Śnieżka” zaczęła się na początku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego

roku. Łodzie podwodne zaczęły systematycznie torpedować warstwy lodowca znajdujące się

w głębinach, podczas gdy naukowcy pracujący w tej stacji badali efekty tych działań.

Andrew sięgnął do kieszeni po komórkę.

– Chyba tutaj nie ma zasięgu – powiedział, gdy Suzie rzuciła mu pełne dezaprobaty

spojrzenie, i zaczął obfotografowywać każdy dokument.

Kiedy skończyli, usłyszeli warkot silnika, wkrótce zagłuszony przez burzę śnieżną, która

zaczęła uderzać w ściany baraku.

– Mam nadzieję, że nasz pilot dotrzyma obietnicy i przyśle nam pomoc – powiedziała

Suzie, wyglądając przez okno na zaciągnięte szarością niebo.

– Nie wiem, czy to dla nas dobre rozwiązanie, bo, pani zdaniem, kto nas stąd wyratuje? –

spytał Andrew.

– Ja! – odezwał się mężczyzna z rewolwerem w dłoni, który stanął na progu.



Mężczyzna zdjął kaptur. Jego wychudzona twarz świadczyła o wieku i gdyby nie celował

do nich z pistoletu, Andrew łatwo by go unieszkodliwił.

– Siadajcie! – rozkazał spokojnie, zamykając drzwi.

Suzie i Andrew posłusznie usiedli. Mężczyzna usiadł przy sąsiednim stole. Był zbyt

daleko od nich, żeby Andrew lub Suzie mogli go zaatakować.

– Niech pan nawet o tym nie myśli – odezwał się, gdy dłoń Andrew powoli przesuwała

się ku piecykowi. – Nie jestem sam. Na zewnątrz czeka mój pilot i uzbrojony mężczyzna,

znacznie silniejszy ode mnie. Tak czy inaczej, nie przyszedłem tu, żeby was zabić. Gdybym

chciał to zrobić, byłibyście już dawno martwi. Jestem tu z innego powodu.

– Czego pan chce? – spytał Andrew.

– Proszę odłożyć te dokumenty na miejsce i oddać mi klucz od sejfu, w którym je

znaleźliście.

– A potem? – spytała Suzie.

– Potem i wy, i ja wsiądziemy do samolotu i opuścimy to miejsce. Zostawię was

w Rejkiawiku, tam wsiądziecie do samolotu i odleciecie, dokąd będziecie chcieli.

– A operacja „Śnieżka” pozostanie nadal tajemnicą?

– Tak jest.

– Pracuje pan dla nich? – Suzie stwierdziła raczej, niż zapytała.

– Myślałem, że jest pani równie inteligentna, jak była pani babcia, ale zawiodłem się.

Gdybym pracował dla nich, zabrałbym te dokumenty, nie prosząc was o nic, i sprawa byłaby

załatwiona.

– Kim pan jest? – spytał Andrew.

– Nazywam się George Ashton. Byłem przyjacielem Liliane.

– Niech pan przestanie! – odezwała się Suzie oschle. – Pan ją zamordował i Knopfa też.

Ashton wstał i podszedł do okna.

– Nie mamy wiele czasu. Za pół godziny nie damy rady wystartować. Tutejsze burze

potrafią trwać dwa tygodnie, a nie mamy żadnych zapasów jedzenia.

– Ile panu płacą za milczenie? Daję dwa razy tyle – rzuciła Suzie.

– Naprawdę niczego pani nie rozumie. Ci, których chce pani zdemaskować, są nietykalni.

Królują nad światem bezkarnie. Wystarczyło kilka pokoleń wysoko postawionych ludzi, żeby

mogli kontrolować najdrobniejsze tryby tego systemu, nikt ani nic nie jest im w stanie

przeszkodzić. Konsorcja naftowe, przemysł rolno-spożywczy, farmaceutyczny, elektroniczny,

systemy bezpieczeństwa państwowego, transport, banki – należy do nich wszystko, nawet nasze

najbardziej prestiżowe uczelnie, gdzie wykłada się przyszłym elitom piękną doktrynę, która

pozwole zachować stary system. Gdy prawa stają się tak skomplikowane, że niemożliwe do

wyegzekwowania w praktyce, wtedy wygrywa prawo silniejszego. Staliśmy się wszyscy

niewolnikami czarnego złota. Mniej nam zależy na etyce i prawdzie niż na posiadaniu urządzeń gospodarstwa domowego, samochodów, leków, sprzętu elektronicznego, światła o takim natężeniu, żeby nadać nocy cechy dnia... Ludzie stali się zachłanni na źródła energii, w których posiadanie weszli. Musimy mieć jej coraz więcej. Energia stała się spoiwem jedności społecznej, a panowanie nad nią daje najsilniejszą władzę. Gdzie prowadziliśmy ostatnio wojny w imię demokracji? Tam gdzie ropa naftowa płynie strumieniami, tam gdzie można założyć rurociąg,

tam gdzie znajdują się szyby wydobywcze... Czy policzyliśmy ofiary? Wielcy finansisci płacą za kampanie wyborcze, a politycy przez nich wybrani są im winni posłuszeństwo. Najważniejsze stanowiska obsadzone są przez ich ludzi. Banki centralne, Skarb Państwa, sądy, Kongres, komisje parlamentarne, wszyscy są im posłuszni, bo chcą zachować władzę. Oni skorumpowali cały system gospodarczy. Gdy społeczeństwo ogłasza, że zamierza wziąć swój los we własne ręce,

kiedy sprawy zaczynają wymykać się im z rąk, wystarczy naruszyć równowagę na rynkach

międzynarodowych. Co bardziej niż porządny kryzys ekonomiczny rzuci na kolana całe narody

i ich rządy? Najbardziej niezależny przedsiębiorca zawsze zależy od banku, któremu jest winien pieniądze, a nasze wspaniałe demokracje są zadłużone po uszy, podczas gdy korporacje międzynarodowe gromadzą więcej gotówki, niż nasze państwa będą kiedykolwiek posiadały.

Ludzie zaciskają pasa, narzuca im się coraz bardziej rygorystyczną politykę oszczędnościową, a tymczasem koncerny międzynarodowe nie podlegają żadnym prawom. Czy macie wrażenie, że od czasu wielkiego kryzysu dotrzymano obietnic wprowadzenia nowego ładu w działanie

wyższych sfer finansowych? Nawet gdybyście podali do publicznej wiadomości, co oni robili

w Arktyce czterdzieści sześć lat temu, żeby zawładnąć tutejszymi pokładami ropy naftowej, to nie oni będą mieli kłopoty, ale nasz kraj.

– I to czysty patriotyzm powoduje panem, gdy chce pan zataić ich działania przed

światem? – zauważyła sarkastycznie Suzie.

– Jestem starym człowiekiem, od dawna już nie mam obywatelstwa żadnego państwa.

– A jeśli odmówimy, zabije nas pan? – spytała Suzie.

Ashton odwrócił się i spojrzał na nią. Westchnął i odłożył broń na bok.

– Absolutnie nie, ale jeśli pani mi odmówi, zabije pani ją.

– Kogo mianowicie?

– Pani babkę, panno Walker. Ona jest dziś już bardzo starą kobietą, a te dokumenty są jej

glejtem od chwili, gdy uratowałem jej życie. Liliane chciała je wręczyć władzom Norwegii i w ten sposób położyć kres operacji „Śnieżka”. Ci, których chciała publicznie skompromitować, wydali na nią wyrok. Byłem szefem ochrony pani dziadka. Byłem niewidoczny, nikt mnie nigdy

nie zauważał. Z wyjątkiem sytuacji, gdy byłem przy pani babci. Za każdym razem, gdy podczas

rautu, koktajlu czy uroczystego wieczoru jakiś gość przechodził obok, jakby mnie tam nie było, przedstawiała mnie ostentacyjnie głośno: „A to mój bliski przyjaciel”. Naprawdę zresztą byłem jej przyjacielem i powiernikiem. Kto więc był na lepszym ode mnie miejscu, żeby ją zdradzić? Ci mężczyźni, tak dumni ze stanowisk, które zajmowali, i którzy tak się bali, że ona nie cofnie się przed skompromitowaniem ich, nie mieli pojęcia, gdzie ukryła obciążające ich dokumenty.

Wahali się, czy jej nie zabić, zanim je zdobędą. Moja misja była prosta, miałem przekonać pani babcię, żeby wzięła mnie z sobą, gdy będzie uciekać. Prędzej czy później musiałyby pójść po dokumenty, ja wówczas miałem je

skonfiskować, zniszczyć, a ją samą zabić. Ale zdziwiłaby się pani, gdyby pani zobaczyła, jak dwóch mężczyzn, których wszystko dzieli, może działać razem, gdy w grę wchodzi uratowanie kobiety, którą obaj kochają. Jej mąż i jej kochanek działali razem, żeby znaleźć dla niej wyjście z sytuacji na ich własnych warunkach i za wiedzą ich wspólników.

Po zniszczeniu dokumentów miałem umieścić pani babkę w jakimś odosobnionym miejscu,

którego, jeśli chciała pozostać przy życiu, nie wolno było jej opuszczać. Ufałem szczerości jej męża, ale, niestety, kochanek zachował się inaczej. Byłem pewien, że gdy tylko wykonam swoją misję, on każe ją zabić. Dlatego ja również podjąłem samodzielną inicjatywę. Zawiozłem pani babkę do miejsca, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć, i to samo zrobiłem z dokumentami. Nigdy nie wróciłem do Stanów Zjednoczonych, uciekłem do Indii i z Bombaju porozumiałem się z moimi przeciwnikami, dopiero wtedy odkrywając karty. Powiedziałem, że dokumenty są w pewnym miejscu tak długo, jak długo Liliane włos z głowy nie spadnie. W przeciwnym wypadku zostaną

one udostępnione prasie. I taki stan trwa od czterdziestu sześciu lat. Jej były kochanek nigdy nie pogodził się z tym, że po raz pierwszy to nie on szantażował, ale jego szantażowano. Gwiżdżę na konsekwencje, jakie przyniosłoby udostępnienie prasie treści operacji „Śnieżka”, ale jest jeden problem: żeby ten mężczyzna, który wspiął się na szczyty kariery politycznej, nie chciał się zemścić, gdyż myśl o zemście żyje w nim od tylu lat, i nie kazał zamordować Liliane. Teraz po raz ostatni was proszę: oddajcie mi dokumenty z sejfu i kluczyk.

Ashton znowu podniósł broń i wycelował ją w Suzie. Suzie próbowała coś odpowiedzieć,

ale nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Czy moja babcia żyje? – wydukała wreszcie.

– Mówiłem już, Suzie, to stara kobieta, ale żyje.

– Chcę ją zobaczyć.

Andrew spojrzął na zegarek i westchnął. Delikatnie wyjął teczkę z dokumentami z rąk

Suzie i poszedł odłożyć ją na miejsce. Zamknął sejf, wyjął kluczyk z zamka i podszedł do

Ashtona.

– Chodźmy, ale przedtem chciałbym, żeby pan uwzględnił moje żądania. Dam panu klucz

i zabierze nas pan samolotem do Oslo. – Andrew wyciągnął notes z kieszeni i popchnął go po

stole do Ashtona. – I napisze mi pan tutaj adres, pod którym przebywa Liliane Walker.

– Nie, o tym nie może być mowy. Ale mogę was do niej zawieźć – odrzekł Ashton,

wyciągając rękę do Andrew.

Andrew położył kluczyk od sejfu na dłoni Ashtona, a on wsunął go do kieszeni,

stwierdziwszy, że najwyższy już czas uciekać stąd.



Dwusilnikowy hydroplan potoczył się po lodzie, rozpędził i wystartował. Kiedy robił

zwrot, Andrew i Suzie zobaczyli oddalające się baraki bazy polarnej, której istnienia nie

zaznaczono na żadnej mapie. Dwa kilometry dalej wznosiła się w powietrze chmura dymu. To

dopalał się żółty beaver, któremu nie udało się wystartować.



Ashton dotrzymał obietnicy. Gdy tylko wrócili do Oslo, zawiózł Suzie i Andrew do

hotelu. Mężczyzna, który z nimi podróżował, został za kierownicą.

Ashton odprowadził ich do holu.

– Jutro wpadnę tu po was przed południem. Czeka nas trochę drogi.

Skorzystajcie z okazji

i pospacerujcie sobie po Oslo. Nic już wam nie grozi. Od tej pory jesteście wolni jak ptaki. Glejt Liliane Walker gwarantuje również wasze bezpieczeństwo. Możecie mi zaufać, osobiście negocjowałem warunki kontraktu.

Tak jak się umawiali, Ashton przyjechał po nich pod hotel. Przy wyjeździe z miasta nakazał im zasłonić oczy i nie zdejmować przepasek aż do końca podróży.

Jechali dwie godziny w kompletnych ciemnościach. Kiedy w końcu samochód zwolnił, Ashton pozwolił im zdjąć zasłony z oczu. Andrew rozejrzał się dokoła. Alejka wysypana żwirem prowadziła do klasztoru.

– To tutaj spędziła moja babka całe życie? – spytała Suzie przestraszona.

– Tak i była tutaj bardzo szczęśliwa. Zobaczycie sami, wchodząc tam, że miejsce jest urocze, a wewnątrz znacznie mniej surowe, niżby się mogło wydawać.

– Nigdy stąd nie wyjeżdżała?

– Czasami wybierała się do wsi, ale nigdy na dłużej. Wiem, że panią to zdziwi, ale gdy stąd wyjeżdżała, marzyła tylko o tym, żeby tu wrócić. Jeszcze jedna rzecz panią zaskoczy i z pewnością zawiedzie. Wolałem to pani powiedzieć w ostatniej chwili. Pani babcia czasem traci kontakt z rzeczywistością, nie żeby zwariowała, ale od dwóch lat odzywa się bardzo rzadko i mówi pojedynczymi słowami, przeważnie niezwiązanymi z tym, co się do niej mówi. To skutek otępienia starczego, a jej stan raczej się już nie poprawi. Przykro mi, Suzie, ale kobieta, którą pani zobaczy, nie będzie tą ze zdjęć, które karmiły pani wyobraźnię. W każdym razie już nie dziś.

– Kobieta, którą zaraz zobaczę, jest moją babcią! – odrzekła Suzie.

Samochód zatrzymał się przed bramą klasztoru.

Wyszły na ich spotkanie dwie zakonnice i poprowadziły je przez kolumnowy krużganek do klasztoru. Weszli po schodach na korytarz o ścianach wyłożonych boazerią. Obie zakonnice szły przodem, Ashton zamykał orszak. Zakonnice zatrzymały się przed drzwiami pokoju Liliane.

– Ona tu na panią czeka – odezwała się starsza siostra po angielsku z lekkim akcentem. – Proszę jej nie męczyć. Wizyta nie powinna trwać dłużej niż godzinę. Przyjdziemy po panią.

Suzie pchnęła drzwi.

Liliane Walker siedziała w fotelu tak wielkim, że wyglądała na bardziej kruchą, niż była.

Nieruchomo patrzyła w okno.

Suzie powoli podeszła do niej. Uklękła u jej stóp i wzięła do ręki jej dłoni.

Liliane zwróciła powoli głowę w jej kierunku i uśmiechnęła się w milczeniu.

– Odbyłam bardzo długą podróż, żeby się z panią spotkać – wyszeptała Suzie.

Położyła głowę na kolanach Liliane i wciągnęła do płuc zapach perfum starszej pani. Była to woń łagodna i słodka, zapach, który leczy wszystkie rany dzieciństwa.

Przez okno wpadł promień słońca i pieszczotliwie przesunął się po podłodze.

– Piękna dziś pogoda, prawda? – odezwała się Liliane jasnym głosem.

– Tak, bardzo piękna! – odpowiedziała Suzie przez łzy. – Nazywam się Suzie Walker i jestem pani wnuczką. Nigdy tak naprawdę nie poznałam pani, ale przez całe dzieciństwo towarzyszyła mi pani w myślach. Codziennie odprowadzała mnie do szkoły, pilnowała, żebym odrabiała lekcje. Zwierzałam się pani ze wszystkich tajemnic. Dała mi pani tyle siły! Dzięki temu pokonałam wszystkie trudności wieku dorastania. Prowadziła mnie pani. Kiedy coś mi się udawało, było to zawsze dzięki pani, gdy ponosiłam porażkę, było to z pani winy. Zarzucałam wówczas pani, że przez roztargnienie przestała pani na mnie uważać. Wieczorem, gdy się kładłam do łóżka, rozmawiałam z panią. Tak jak niektórzy recytują pacierz, ja mówiłam do pani.

Drżąca dłoń Liliane spoczęła na włosach Suzie.

Zapadła cisza, słychać było tylko tykanie zegara.

Rozległo się pukanie i w uchylonych drzwiach pojawiła się twarz Ashtona. Nadszedł czas rozstania.

Suzie pogłaskała policzek babci, objęła ją, przytuliła i ucałowała.

– Wiem wszystko – wyszeptała jej na ucho. – Wybaczam pani krzywdę, którą wyrządziła pani mojej matce. Kocham panią.

Spojrzała babce głęboko w oczy i wycofała się do drzwi.

Kiedy przy drzwiach odwróciła się, żeby wyjść z pokoju Liliane, nie widziała podenerwowanego wyrazu twarzy babki, która się do niej uśmiechała.



Ashton odprowadził ich do samochodu.

– Mój kierowca odwiezie was do hotelu, żebyście wzięli bagaże, i potem pojedziecie na lotnisko. Pozwoliłem sobie zafundować wam bilety do Nowego Jorku.

– Chciałabym zobaczyć ją jeszcze raz! – rzekła Suzie.

– Może kiedyś... Teraz musicie już wracać. To jest mój numer telefonu – Ashton wręczył

Suzie karteczkę. – Proszę dzwonić, kiedy pani chce, powiem pani, co u niej.

– Tak bardzo chciałabym, żeby mnie usłyszała – powiedziała Suzie, wsiadając do samochodu.

– Rozumiem... Ja odwiedzam ją codziennie i rozmawiam z nią. Czasem się do mnie uśmiecha, a ja wówczas chcę wierzyć, że zdaje sobie sprawę, iż to ja przy niej jestem. Dobrej drogi!

Ashton zaczekał, aż samochód zniknie za zakrętem, i dopiero wtedy zawrócił do klasztoru.

Wszedł do pokoju, w którym czekała na niego Liliane Walker, siedząc w fotelu.

– Nie żałujesz niczego? – spytał, zamykając za sobą drzwi.

– Tak, jak się zastanowię, na przykład, szkoda, że nie zobaczyłam Indii.

– Miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli, George, ale tak jest lepiej. Jestem już starą kobietą, wolę, żeby ona zachowała o mnie wspomnienia z jej marzeń. A poza

tym, z jej charakterem, gdybym okazała emocje, nie oparłaby się chęci ujawnienia prawdy, tak bardzo starała się doprowadzić do mojej rehabilitacji. Zobaczysz, jeśli mnie przeżyjesz, jestem pewna, że to zrobi, gdy tylko zamknę oczy. Jest tak samo uparta jak ja.

– Kiedy wszedłem do tego baraku, myślałem, że serce przestanie mi bić, tak jest do ciebie podobna.

– Serce masz ze stali, George, mój drogi, jak pomyślę o wszystkim, na co cię naraziłam, od czasu kiedy się poznaliśmy. Ach, wracajmy już do domu, to był piękny dzień, ale kompletnie mnie wykończył.

George Ashton pocałował Liliane w czoło i pomógł jej wstać.

Trzymając się za ręce, szli długim korytarzem klasztornym.

– Trzeba podziękować siostram za dzisiejszy dzień.

– Już to zrobiłem – odrzekł Ashton.

– Możemy więc wracać – westchnęła Liliane, opierając się na lasce. – Kiedy umrę, przekażesz jej ten klucz, obiecujesz?

– Sama jej go oddasz, z pewnością mnie przeżyjesz – odpowiedział George Ashton żonie.

Samolot wylądował w Nowym Jorku wczesnym rankiem. Suzie wróciła do wynajmowanego przez siebie apartamentu, Andrew do własnego domu. Spotkali się w barze Frankie's na obiedzie. Suzie czekała na Andrew przy jego ulubionym stoliku, na podłodze obok niej stała torba podróżna.

- Wracam do Bostonu – powiedziała.
- Już?
- Tak będzie lepiej.
- Być może – odrzekł Andrew.
- Chciałam panu podziękować, to była wspaniała podróż.
- To ja powinienem pani dziękować.
- Za co?
- Postanowiłem od tej chwili nie tknąć ani kropli alkoholu.
- Nie wierzę panu wcale.
- I ma pani rację! Wznosimy toast?
- Zgoda, nie wiem, za co, ale wnieśmy go, Stilman.

Andrew poprosił kelnerkę, żeby im przyniosła butelkę najlepszego wina, jakie było w restauracji.

Podczas tego posiłku niewiele mówili, ale rzucali sobie nawzajem ukradkowe spojrzenia.

Potem Suzie wstała, zarzuciła torbę na ramię i poprosiła Andrew, żeby nie podnosił się z krzesła.

- Nie jestem dobra w pożegnaniach – wyznała bez ogródek.
- Proszę więc po prostu powiedzieć mi: „Do widzenia”.
- Do widzenia, Andrew.

Suzie pocałowała go lekko w usta i odeszła.

Andrew popatrzył za nią. Kiedy zamknęły się za nią drzwi restauracji,

otworzył pierwszą stronę „New York Timesa” i zmusił się do przeczytania bieżących wiadomości.



Pod wieczór udał się do redakcji, zdecydowany na spotkanie z szefową i przyjęcie pierwszego zadania, jakie zechciałaby mu powierzyć. Przygotowując się na najgorsze, zaszedł po drodze do kawiarni. Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu, przestraszył się i wylał na siebie zawartość filiżanki z kawą.

– Słuchaj, Stilman, jak widzę, cały tydzień pracowałam na darmo, bo jakoś nie jesteś zainteresowany tym, co znalazłam?

– A co znalazłaś, Dolorès?

– Sporo rzeczy, jestem z siebie raczej dumna. Niech się pan wytrze i pójdzie za mną.

Udali się do biura. Dolorès kazała Andrew usiąść w fotelu i przechylając się nad jego ramieniem, wystukała na klawiaturze komputera hasło. Wydrukowała rezultat swoich poszukiwań i zaczęła czytać na głos:

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku Stany Zjednoczone zaczęły na wielką skalę prowadzić ćwiczenia wojskowe na biegunie północnym. Dzięki operacji „Musk Ox” za pomocą wielu lodołamaczy przebito szlak długości pięciu tysięcy kilometrów. Celem była ewaluacja ryzyka inwazji rosyjskiej od Północy. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym połączone eskadry lotnictwa wojskowego USA i Kanady odbyły serię lotów nad obszarem ponad miliona kilometrów kwadratowych nad biegunem północnym. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym okręt podwodny USS *Nautilus* dotarł na biegun pod warstwą lodu. Ta ekspedycja dowiodła, że Ameryka może uderzyć bronią atomową z Arktyki. Dwadzieścia lat później Rosjanie dokonali prób atomowych w rejonie koła podbiegunowego, niszcząc w ten sposób ponad osiemdziesiąt milionów metrów sześciennych lodu w rejonie Nowej Ziemi. Stany Zjednoczone podobnie jak Związek Radziecki brały pod uwagę możliwość używania ładunków jądrowych o niewielkiej mocy w celach handlowych i cywilnych. Rosjanie wielokrotnie dokonywali prób jądrowych, raz odbyło się to pod pretekstem zatkania sporej szczeliny, przez którą uciekał gaz w regionie arktycznym Peczory. Niepokój o promieniowanie radioaktywne nie

przeszkodził im w kontynuowaniu badań nad sposobem, w jaki energia jądrowa mogłaby ułatwić dojście do geologicznych zasobów Arktyki. Podczas konferencji w Anchorage szef Instytutu Kurczatowa wyjaśnił zebranym, w jaki sposób okręty podwodne o napędzie jądrowym mogą zapewnić transport płynnego gazu. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku amerykański tankowiec USS *Manhattan* użył szlaku północnego, płynąc z Prudhoe Bay aż do wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych, i kiedy rząd kanadyjski rozciągnął swoje granice terytorialne o dwanaście mil, stawiając Stany Zjednoczone przed faktem dokonanym, odpowiedź

nie dała na siebie długo czekać. Rząd amerykański poruszył kwestię bezpieczeństwa narodowego, żeby się temu przeciwstawić. Rząd kanadyjski wyłożył sto milionów dolarów, żeby sporządzić mapę zasobów geologicznych Arktyki kanadyjskiej, w celu jak najszybszego rozpoczęcia ich wydobywania. Kreml natomiast ogłosił ostatnio, że wydobywanie ropy naftowej i gazu w Arktyce to podstawowy czynnik umożliwiający Rosji pozostanie supermocarstwem energetycznym. Podobne stanowisko mają nawet władze Grenlandii, które uważają, że mają prawo wydobywać złoża naturalne w rejonie arktycznym, co stanowi o ich autonomii w stosunku do Danii. Ropa naftowa, gaz, nikiel i cynk – wszystkie bogate państwa chcą zawładnąć tymi bogactwami naturalnymi, nawet te, które nie mają żadnych praw terytorialnych do tych rejonów i które głoszą, że kontynent arktyczny jest wspólną własnością wszystkich narodów.

Odkąd otwarcie szlaku północnego uważane jest za bardzo bliskie, ze względu na topnienie lodowca, liczne kraje, w tym Francja, Chiny i Indie, monitorują stan i ruchy pokrywy lodowcowej, tak jak od lat monitorują rozwój wydarzeń politycznych nad Kanałem Panamskim.

W dwa tysiące ósmym roku Kanada ogłosiła, że rozpoczęła budowę portu dla łodzi podwodnych w Nanisiviku, który zostanie otwarty w dwa tysiące piętnastym, i że przeznaczono trzy miliardy dolarów na konstrukcję trzech specjalnych statków zaopatrzeniowych dla platform wiertniczych.

W dwa tysiące pierwszym roku, gdy rząd Busha kwestionował alarmujące wyniki badań naukowców o globalnym ociepleniu klimatycznym, amerykańska marynarka wojenna zwołała pierwsze sympozjum na temat konsekwencji militarnych, gdyby Ocean Arktyczny stał się dostępny dla

nawigacji przez cały rok. Norweskie Ministerstwo Obrony przedstawiło scenariusz, według którego rosyjskie koncerny naftowe miałyby rozpocząć wiercenia w poszukiwaniu ropy poza własnymi wodami terytorialnymi w ciągu dziesięciu najbliższych lat, i bez złośliwej gry słów zapewniło, że podział Arktyki rozpocząłby nową zimną wojnę między Wschodem a Zachodem.

Andrew podszedł do przypiętej pinezkami do drzwi gabinetu mapy świata.

– Tylko takie zrobiło to na panu wrażenie? – odezwała się Dolorès zrzędliwie.

– Gdybym pani powiedział, że to szaleństwo było planowane od półwiecza, uwierzyłaby mi pani?

– Jeśli pan tak mówi... Czy opublikuje pan coś na ten temat?

– Niestety, nie mam już w ręku dowodów, żeby na ich podstawie napisać artykuł na temat jednego z większych draństw zachodniej cywilizacji. A za to mógłbym dostać Nagrodę Pulitzera.

– Gdzie są te dowody?

– Tam! – Andrew wskazał palcem na mapie Północ. – Gdzieś w kieszeniach jej pięknego białego płaszcza.

– O kim pan mówi?

– O „Śnieżce”.

– Te dowody są definitywnie utracone?

– Kto wie? W końcu Pulitzer może poczekać kilka lat – dodał Andrew, kierując się do biura.

I kiedy znalazł się sam w windzie, włączył komórkę, obejrzał zdjęcia, które w niej miał, i uśmiechnął się. Może na myśl, że niedługo będzie mógł zamówić swój ulubiony fernet-branca z colą w barze Marriotta, a może nie.



Valérie jak co wieczór wyszła z pracy około szóstej i skierowała się do metra. Jakaś kobieta siedziała oparta o latarnię, przy jej nogach stała duża

torba. Valérie natychmiast rozpoznała osobę, która się w nią wpatrywała.

– Czeka na panią w barze w Marriotcie – odezwała się Suzie. – Jeśli panią poprosi, żeby mu pani dała drugą szansę, proszę się zastanowić. Andrew ma mnóstwo wad, ale to fantastyczny facet. Zalazła mu pani za skórę. Nie ma żadnego „za późno”, gdy ma pani to szczęście, że człowiek, który panią kocha, jest wciąż obok i gotów jest tego dowieść.

– Naprawdę to pani powiedział? – spytała Valérie.

– W pewien sposób tak.

– Czy spała pani z nim?

– Chętnie bym to zrobiła, gdyby zechciał. Bardzo dużo odwagi wykazał, żeby przebyć całą tę drogę, która prowadziła do pani.

– Ja też potrzebowałam sporo odwagi, żeby po jego odejściu zacząć wszystko od nowa.

Suzie popatrzyła Valérie w oczy i uśmiechnęła się.

– Życzę pani szczęścia – powiedziała.

– Pani również potrzebowała dużo odwagi, żeby się ze mną spotkać dziś wieczorem – rzekła Valérie.

– Odwaga to po prostu uczucie silniejsze od strachu – odrzekła Suzie, podnosząc swoją torbę podróżną.

Pożegnała Valérie kiwnięciem głowy i odeszła.



Kwadrans później na rogu Broadwayu i Czterdziestej Ósmej Ulicy zatrzymała się taksówka, z której wysiadła Valérie. Zapłaciła za kurs i szybko weszła do baru w Marriotcie.

Epilog

Dwudziestego czwartego stycznia następnego roku Suzie Walker z ekipą trzech przewodników podjęła wyprawę na Mont Blanc. Zwłoki Shamira przekazano jego rodzicom.

Suzie już nie wróciła do Francji. Dwa lata później, po wyczerpującym treningu, wspięła się na Mount Everest i gdy dotarła na sam szczyt, wbiła

swój czekan i przywiązała do niego szalik Shamira.

Ci, którym uda się podobna wspinaczka, mogą jeszcze dziś zobaczyć, jak ten kawałek czerwonego materiału powiewa na wietrze.

Od autora

Wszystkie informacje zawarte w raporcie Dolorès Salazar, który przekazała Andrew, są prawdziwe.

Źródła

Duncan Clarke, *Empires of Oil: Corporate Oil in Barbarian Worlds*, Profile Books, Londyn 2007.

Martha Cone, *Silent Snow: The Slow Poisoning of the Arctic*, Grove Press, Nowy Jork 2005.

Pier Horensma, *The Soviet Arctic*, Routledge, Londyn 1991.

Leonardo Maugeri, *The Age of Oil*, Praeger, Westport 2006.

Charles Emmerson, *The Future History of the Arctic*, PublicAffairs, Nowy Jork 2010.

Increase in the rate and uniformity of coastline erosion in Arctic Alaska, artykuł

w „Geophysical Research Letter”, 2009

I wiele innych artykułów.

Podziękowania

Oto lista osób, którym składam serdeczne podziękowania: Pauline, Louis i Georges.

Raymond, Danièle i Lorraine.

Susanna Lea.

Emmanuelle Hardouin.

Nicole Lattès, Leonello Brandolini, Antoine Caro.

Élisabeth Villeneuve, Anne-Marie Lenfant, Caroline Babulle, Arié Sberro, Sylvie Bardeau, Lydie Leroy i cała ekipa wydawnictwa Robert Laffont.

Pauline Normand, Marie-Ève Provost.

Léonard Anthony, Sébastien Canot, Romain Ruetsch, Danielle Melconian, Naja Baldwin, Mark Kessler, Stéphanie Charrier.

Katrin Hodapp, Laura Mamelok, Kerry Glencorse, Julia Wagner, Aline Grond.

Brigitte i Sarah Forissier.

1 FAA – Federal Aviation Administration (ang.) – Federalna Administracja Lotnictwa, organ nadzoru lotniczego w USA.

2 NSA – National Security Agency (ang.) – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, amerykańska wewnętrzna agencja wywiadowcza.

3 *Taylor* (ang.) – krawiec.